

KŁAMSTWO W SPRAWIE AUSCHWITZ

**Rafał A. Ziemkiewicz bezlitośnie
punktuje Grzegorza Brauna**



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 30/639 21-27 LIPCA 2025

CENA 12,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

**Koalicja Konfederacji z PiS?
– analizuje Warzecha**



PIOTR SEMKA

**O BARWNYM FESTIWALU
W EPOCE BIERUTA**

**Michał Krupa chce zakazu
wpuszczania do Polski
imigrantów**



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829

AFERA EPSTEINA – czy Mosad wpływa na Donalda Trumpa?

RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



K S I E G A R N I A D O R Z E C Z Y . P L



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Trump, czyli Biden 2.0

Donald Trump wielokrotnie powtarzał, że obecna wojna Rosji z Ukrainą to wojna Joe Bidena. Dodawał uparcie, że gdyby to on, a nie Biden był prezydentem USA w 2022 r., to do wybuchu konfliktu by nie doszło. Po ostatnim spotkaniu z sekretarzem generalnym NATO Markiem Ruttem tę opowieść amerykańskiego przywódcy śmiało można włożyć między bajki. Nie ma już wątpliwości, że Trump podążył dokładnie drogą wytyczoną przez swego poprzednika, którego tak ostro i bezpardonowo krytykował. To bowiem, co zaproponował 47. prezydent USA, to nic innego jak polityka Biden 2.0.

Podczas spotkania w Białym Domu zapowiedział on przekazanie Ukrainie broni o wartości „miliardów dolarów”. Nic nowego pod słońcem, zważywszy na to, ile miliardów USA wydały na militarną pomoc Ukrainie za Bidena.

Trump zagroził też Rosji, a także wszystkim państwom współpracującym handlowo z Moskwą, gigantycznymi, 100-procentowymi cłami, jeśli w ciągu 50 dni nie dojdzie do porozumienia.

Trudno uznać, żeby mogło to cokolwiek zmienić. Do tej pory na Rosję nałożono już kilkanaście pakietów sankcji, z których żaden nie zakończył się powodzeniem, to jest nie doprowadził do załamania rosyjskiej gospodarki i nie zatrzymał maszyny wojennej. Jednocześnie termin ultimatum – 50 dni – brzmi niepoważnie. Można go wręcz odczytać jako zachętę dla Rosjan, żeby szybciej prowadziła działania wojskowe. Podobnie osobliwie brzmi zapowiedź przekazania Ukrainie broni, w tym kolejnych wyrzutni rakiet Patriot. Specjaliści zwracają uwagę, że taki transfer będzie musiał zająć kilka miesięcy, a jego efekty trudno oszacować.

Podczas spotkania z Ruttem prezydent USA oświadczył, że

jest „bardzo niezadowolony” z Moskwy. Wspominał, że już cztery razy był bliski porozumienia z Putinem (pojawiało się słowo „deal”), ale że prezydent Rosji mówił przyjemne rzeczy, tylko nic ostatecznie z rozmów z nim nie wyszło. Na czym miał polegać ów „deal”, o którym mówił Trump, nie wiadomo.

To bardzo dziwne. Przecież Rosja wielokrotnie i na wszystkie możliwe sposoby – tak w oświadczeniach Putina, jak za pośrednictwem ministra Ławrowa – komunikowała wyraźnie, jakie są jej warunki zawarcia porozumienia. Przypomnę, że z góry odrzucała zawarcie tymczasowego rozejmu, którego to domagały się Ukraina i wspierające ją państwa europejskie. Podobnie deklarowała, że warunkiem pokoju muszą być jednoznaczna rezygnacja Kijowa z ambicji wstąpienia do NATO, ogłoszenie neutralności, akceptacja utraty części terytorium i zapewnienie praw mniejszości rosyjskiej.

W jaki zatem sposób Donald Trump mógł sądzić, że jest cztery razy bliski zawarcia porozumienia, jeśli – jak z kolei jasno wynika z oświadczeń Kijowa – Ukraina nie była gotowa spełnić żadnego z żądań Moskwy?

Nie wygląda to poważnie.

Czy prezydent Trump nie zrozumiał swojego rozmówcy? Czy brał za dobrą monetę grzecznościowy ton rozmowy? Trudno powiedzieć. W każdym razie do tej pory nie wydaje się, żeby Waszyngton chciał wywierać na Kijów na tyle poważną presję, żeby rosyjskie żądania spełniono. A skoro tak się nie dzieje, to żadnej szansy na porozumienie nie ma i nie było. Tak długo, jak prezydent Wołodymyr Zełenski będzie wierzył, że dzięki cudownej zachodniej broni wreszcie pokona Rosję, tak długo konflikt będzie trwał. Rosjanie

będą systematycznie posuwali się na Zachód, niszcząc przy okazji dalej ukraińską infrastrukturę. Będą też rosły straty ukraińskie.

Dość osobliwie brzmiały słowa Trumpa, że zawarł umowę dotyczącą wysłania broni i że będzie to „broń najwyższej klasy”. Słyszac takie deklaracje, nie mogę się uwolnić od pytania, w jakiej roli występuje prezydent USA. Jest on tu przywódcą i mężem stanu czy najlepszej klasy komiwojażerem amerykańskich firm zbrojeniowych? Czy „deal”, który tak zachwala, to faktycznie porozumienie pokojowe, czy największe w dziejach kontrakty zbrojeniowe dla amerykańskich korporacji? Te podejrzenia są tym bardziej uzasadnione, że znaczącą część swoich rozważań prezydent USA poświęcił kwestii tego, kto ma za broń dla Ukrainy zapłacić – oczywiście mają to być europejscy sojusznicy USA. To swego rodzaju paradoks: za kontynuację beznadziejnej wojny zapłacą ci, którzy najwięcej na trwaniu konfliktu gospodarczo tracą. I zrobią to jeszcze z radością i ze szczęściem.

Wprawdzie nie wszyscy, bo – jak ogłosił już węgierski minister spraw zagranicznych i handlu Péter Szijjártó – Węgry nie zamierzają uczestniczyć w zakupie broni od Stanów Zjednoczonych na potrzeby Ukrainy. „Mam szczerą nadzieję, że dyskusja o pokoju będzie kontynuowana. Ponieważ pokój leży w naszym interesie” – powiedział Szijjártó, dodając jednak, że „pieniądze narodu węgierskiego, węgierska broń i węgierscy żołnierze nie trafią na Ukrainę”.

Wszystko wskazuje na to, że prezydent Trump porzucił swój wcześniejszy plan pokojowy, jeśli go faktycznie miał. Konflikt na Ukrainie może eskalować, i to ze wszystkimi tego ryzykownymi skutkami. ©



TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH GOŁONKA
CIEŃ EPSTEINA NAD REPUBLIKĄ
USA: afera pedofilską i polityka

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
**PIS I KONFA:
BRĄĆ WŁADZĘ CZY CZEKAĆ
NA KRES TUSKA**
Czy opozycja wykorzysta słabość koalicji
13 grudnia?

24 ŁUKASZ WARZECHA
PIS NIE TĘSKNI ZA KONFEDERACJĄ

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
GRZEGORZ BRAUN: REDUKCJA

29 ARKADIUSZ SIWKO
**POWINNOŚĆ PREZYDENTA
NAWROCKIEGO**

32 ADAM HLEBOWICZ
KIM SĄ „NASI CHŁOPCY”?

34 RADOŚLAW WOJTAS
ZIEMIA OPUSZCZANA

KULTURA

36 WIESŁAW CHEŁMINIAK
CZARA PEŁNA SKORPIONÓW
Muzeum Narodowe w Warszawie: „Drogi do
Jerozolimy”

39 GRZEGORZ KONDRASIUK
**LATO Z MUZYKĄ
DAWNĄ I DZIWNĄ**

40 PIOTR GOCIEK
WIELKIE POWROTY

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 KRYSZTOF KRATIUŁ
PO CO JEST POLSKA?
Religia wraca do polityki

49 ANNA MANDRELA
**SŁOWA BRAUNA
TO NARRACJA
ANTYPOLSKA**

52 MICHAŁ KRUPA
**CZAS ZATRZYMAĆ IMIGRACYJNĄ
GORĄCZKĘ**

54 ROBERT BOGDAŃSKI
AI. HODUJEMY POTWORA?

HISTORIA

56 PIOTR SEMKA
**BARWNY KARNAWAŁ
W EPOCE BIERUTA**
Festiwal młodzieży w PRL

59 GRZEGORZ MAJCHRAK
**KATYŃ I AFGANISTAN
KONTRA IGRZYSKA
W MOSKWIE**

ŚWIAT

64 TERESA STYLIŃSKA
DANIA: MIGRACJA NET ZERO
Sprawdzać, wyrzucać, zniechęcać?

66 ROZMOWA Z WOJCIECHEM GÓRECKIM
LICENCJA OD PUTINA

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
**GORZKI POSMAK
DROŻYZNY**
Co się dzieje z cenami czekolady?

STYL

72 JOANNA BOJAŃCZYK
GOŁYCH NIE OBSŁUGUJEMY
Wokeizm kontra celebryci

WAKACJE

74 CEZARY GMYZ
**MIASTO OJCA MATEUSZA
I PROKURATORA SZACKIEGO**
Tratwą po Wiśle

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (i sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cośic (Bruksela),
Tomasz Cukierlik, Łukasz Czamecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki,
Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper,
Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka,
Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieroniewicz, Jakub Wozinski,
Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Budgar, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sieńkowski, Łukasz Żygadlo

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoredycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczak-Stefaniak**

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Lamkey Rod/CNP/Abaca Press/Forum**

WYDAWCA: Do Rzeczy SA

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej **PMPG Polskie Media SA**, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki



MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: Walstead Starachowice
PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasypocztya.pl,
www.pocztya.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829



Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Autorozbiory

Szanowni Państwo,
widok krążących po naszym zachodnim
pograniczu niemieckich radiowozów
policyjnych nasuwa skojarzenie z okupa-
cją pokojową. Tym uznanym w prawie
międzynarodowym terminem opisuje się
sytuację, gdy w czasie pokoju siły zbrojne
obcego państwa wkraczają na terytorium
innego, by zabezpieczyć własne interesy.

To na granicy. A wewnątrz naszej
ojczyzny „demokracja walcząca” – jak
sama nazwa wskazuje – prowadzi zupeł-
nie niepokojowe akcje, jawnie dążąc do
wywołania chaosu bliskiego wojnie do-
mowej. Autorytety prawnicze miotają się
jak w ukropie w poszukiwaniu pretekstu
do zlekceważenia 10,5 mln wyborców, ba,
wręcz bojkotu konstytucji przez władzę,
która żadną miarą nie jest w stanie
pogodzić się z wynikiem wyborów. Bo
przecież miało być tak fajnie w domknię-
tym systemie!

Przed 200 laty Polskę podzielili między
siebie trzej zaborcy, teraz ułatwiamy im

robotę i ochoczo dzielimy się sami: na
państwo i neopaństwo, każde ze swo-
imi rządem i neorządem, prezydentem
i neoprezydentem itd. Obecnie wystarczy
okupować nas już tylko pokojowo.

Ciekawe, która część naszej ojczyzny
zostanie uznana przez Unię Europejską,
a która przez USA.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Niemiecka odpowiedzialność

Szanowni,
[...] Każdy Polak przy zdrowych zmysłach
wie, że Merkel zapraszała migrantów do
Niemiec, mało – cały świat o tym wie!
To jak ci ochoczo podążający nachodzący
przez różne kraje mają dotrzeć do owego
gościnnego kraju-raju? Prą całymi rze-
szami, dniami i nocami przez różne kraje.
A więc – na logikę – dlaczego wszystkie
te kraje, obarczone nie z własnej przecież
woli dokuczliwością niemieckiej perfidii
robienia wyłącznie sobie dobrze, a kosz-
tem udręk, dewastacji i obciążen innych
krajów, mają jako poszkodowani ponosić
konsekwencje w nieskończoność? [...] za
ten niemiecki proceder i związane z nim
wszystkie ponoszone koszty, dłużnikiem
jest tylko i wyłącznie państwo niemiec-
kie! [...].

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Profesor Zoll odkrył metodę
odwraćania wyników wyborów





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

„Nasi chłopcy” pod lupą

Autorzy wystawy „Nasi chłopcy”, zorganizowanej przez Muzeum Gdańskie, deklarują, że pracowali nad nią przez ostatnie dwa lata. Ile czasu zastanawiano się nad jej tytułem? Czy wybrano go przypadkowo czy wskutek jakiegoś głębszego namysłu? Bo przecież główna fala krytyki dotyczyła zwłaszcza tytułu. Określenia, które sugeruje pozytywny emocjonalny stosunek do ludzi w mundurach Wehrmachtu.

A przecież można było wybrać zupełnie inny tytuł. Można ją było nazwać „Wbrew własnej woli” lub „Wtłoczeni w nienawistny mundur”. Stosunek autorów ekspozycji do tego epizodu z dziejów polskich terenów włączonych do Rzeszy byłby wtedy jasny. Ale nie. Nic z tego. Wybrano wieloznaczne określenie „nasi chłopcy”, aby prowokować. A gdy już oburzone głosy padły, bardzo często bez obejrzenia wystawy, Muzeum Gdańskie i stojące za nim murem Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego uniosły się świętym oburzeniem na niedozwoloną próbę ograniczania wolności badań naukowych.

Tyle że samo muzeum wykazuje się niekonsekwencją. Podtytuł

wystawy to „Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy”. Jednocześnie autorzy sugerują, że dotyczy ona Polaków w mundurach armii niemieckiej. Komunikat Ministerstwa Kultury broniący wystawy nadmienia, że „wystawa przybliży losy dziesiątków tysięcy Polaków, przymusem wcielonych do Wehrmachtu”. Jednocześnie w kontrowersyjnym zdaniu z opisu wystawy autorzy piszą, że powołanym do Wehrmachtu, „gdy wyjeżdżali z rodzinnych miejscowości, towarzyszył strach, przynębienie, ale nierzadko też ekscytacja wywołana nowym doświadczeniem i możliwością zobaczenia nieznanych dotąd stron”.

Jeśli więc wystawa ma dotyczyć Polaków w mundurach niemieckich, to wypadałoby dodać do tego parę zdań oceny takiego niedojrzałego zachowania. Wrzucić fragment o tym, że – owszem – mogło młodego Polaka zauroczyć noszenie munduru z hitlerowską wroną jako symbolem potęgi i przewagi nad uciemiężonymi tubylcami, ale jednocześnie ten sam mundur mógł skazać młodego poborowego z Pomorza czy Górnego Śląska na śmierć w lodowym

piekle kotła stalingradzkiego. Albo więc mówimy o mieszkańcach Pomorza i Górnego Śląska, zaznaczając jednocześnie różnice wśród poborowych w stopniu odczuwania polskiej tożsamości – od cichej wierności aż do zachłyśnięcia się niemieckością – albo pośrednio lukrujemy historię, sugerując, że każdy poborowy był polskim patriotą cierpiącym wewnętrznie z powodu tego, że musi nosić obcy mundur, i myślącym tylko, jak uciec do aliantów.

Jest w konstrukcji tej wystawy egzystencjalistyczne przekonanie, że nie można oceniać żadnych wyborów, bo wszystkie są równe pod względem moralnym. Tak nie jest. I właśnie z tego powodu na zasadzie przekory iluś internautów pisze, że nasi chłopcy to ci, którzy walczyli w AK czy w Batalionach Chłopskich, a nie ci, którzy zgodzili się nosić mundur feldgrau.

Gdy kończę pisać ten felieton, media donoszą, że muzeum nie zmieni tytułu wystawy. Czyli wybór jest przemyślany. ©

WIĘCEJ O WYSTAWIE W MUZEUM GDAŃSKA W TEKście ADAMA HLEBOWICZA NA STR. 32

POLSKA BEZ AMBASADORA NA WĘGRZECH. BUDAPESZT: TO KROK GODNY UBOLEWANIA

Sebastian Kęciek „zakończył pracę i przestał być ambasadorem na Węgrzech” – ogłosił rzecznik MSZ. Paweł Wroński przypomniał, że Węgry udzieliły azylu posłowi PiS Marcinowi Romanowskiemu. Na placówce w Budapeszcie został więc tylko charge d'affaires. „Węgry, mimo politycznych sporów, mają żywotny interes w dobrej współpracy z Polską. Wydaje się jednak, że obecne władze w Warszawie takiego interesu nie mają” – oznajmił szef dyplomacji Węgier Péter Szijjártó. ©



HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

WAKACYJNE CUDA II RZECZYPOSPOLITEJ



Od Helu do Okopów św. Trójcy – Przedwojenna Polska była turystycznym rajem, oferując urlopowiczom przyrodnicze i kulturowe bogactwo

Automobilowe szaleństwo – Samochód był w II RP bardzo rzadkim widokiem. Tylko najbogatsi mogli sobie pozwolić na automobilowe wojaże po kurortach

Krucjata Morela – Młody Brytyjczyk uparł się, by nagłośnić zbrodnie dokonywane w Kongu przez władcę Belgii. Zorganizował kampanię społeczną, która pokrzyżowała jego plany

Polska królowa pędzla i palety – Olga Boznańska przez wielu znawców, a także zwykłych muzealnych oglądaczy uważana jest za najwybitniejszą polską malarkę wszech czasów

Jana Parandowskiego sztuka mimikry – Miano olimpijczyka przyłgnęło do niego m.in. dlatego, że ten wybitny znawca antyku na gruncie piśmiennictwa polskiego zajmował pozycję bliską bogom na Olimpie

„Król” zagłębiowskich Żydów – Mojżesz Merin w czasie wojny niepodzielnie rządził żydowską społecznością Zagłębia. Wolną rękę dał mu w tym zakresie sam Heinrich Himmler

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA HISTORIA.DORZECZY.PL



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Ucieczka w „Iksa”

Wojciech Jaruzelski, im bardziej sypały się PRL oraz socjalizm i im bardziej nieskuteczne okazywały się sposoby, którymi chciał je ratować, tym więcej czasu poświęcał gładzeniu swych przemówień. Wedle jego współpracowników zamykał się w gabinecie i godzinami poprawiał jakąś mowę, która w ogóle nie miała większego znaczenia, dla równie mało znaczącego gremium. A gdy w końcu zwywał płk. Górnickiego czy kto tam był pod ręką, nie chciał słuchać nowin, tylko pytał, czy w drugim zdaniu trzeciego akapitu lepiej użyć „że” czy może „iż”. Historia zna wiele takich przypadków. Gdy problemy zaczynają rządzącego przerastać i całe jego panowanie

trzeszczy w szwach, władca ucieka w czynności, które go nie przerażają. Król Ludwik XVI do ostatniej chwili skupiał się na polowaniach, a w dniu wybuchu rewolucji zapisał w swym dzienniku: „nic”, bo nic akurat tego dnia nie ustrzelił.

Dawni władcy jednak mieli na tyle rozsądku, by swym eskapizmem nie epatować innych. O tym, czym się w kryzysie zajmowali Jaruzelski czy Ludwik XVI, dowiedziano się po latach. Z Donaldem Tuskiem jest inaczej: jego ucieczką stał się „Iks”, dawniej zwany Twitterem. Im gorzej idzie rządzić, im bardziej wykracza się nieudolnie prowadzony zamach stanu; im głośniejsze pomruki słyszeć z kraju i z europejskiej centrali, tym intensywniej premier skupia

się na internetowych kąśliwościach, zwischnufach i filipikach przeciwko PiS. A to, że nie cieszą się jak należy z lotu Polaka w Kosmos i sukcesu Polki na Wimbledonie. A to, że są moralnym skandalem i nie cofną się przed niczym, żeby odzyskać władzę. A to, że z powodu PiS w Moskwie się cieszą...

Nie jest to twórczość wybitna, ale ewidentnie ma znaczenie autoterapeutyczne. I cała Polska może dzień po dniu obserwować, jak jej premier, zamiast cymkolewów poważnym, zajmuje się osobiście internetowym ujadaniem. Pomyśleć, że gdy przed laty Tusk aluzyjnie wystąpił z pluszowym lisem w rękę, nikt nie dostrzegł w tym zapowiedzi, że sam się kiedyś w Lisa zmienia. ©



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Lepiej sami milczcie!

Gazeta „Wyborcza” na drugi dzień po wybryku posła Brauna na antenie Radia Wnet zaatakowała prezydenta, insynuując, że brak jego natychmiastowego komentarza to przyzwolenie. Na antyżydowskie ekscesy Brauna już wiele miesięcy temu publicznie i szeroko reagowali Andrzej Nowak, promotor kandydatury prezydenta Karola Nawrockiego, czy Sławomir Cenckiewicz, przyszły szef prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego. „Wyborczej” wygodnie udawać, że tego nie było, ale – zaznaczmy też jasno – sama „GW” nie ma żadnych kompetencji, by w debacie publicznej od kogokolwiek domagać się jakichkolwiek reakcji.

To na łamach „Wyborczej” Jerzy Urban (ku uciechu prowadzącego z nim wywiad) przekazywał swój polityczny testament (cytuje tak, jak w „GW”): „Dopier.alajcie katolikom! Dopier.alajcie nacjonalistom! Dopier.alajcie biało-czerwonym!”. To te wezwania, bezpośrednio poprzedzające aborcyjną rebelię 2020, skutkowały znieważaniem pomnika Państwa Podziemnego czy symbolicznym grobu re-demptorystów pomordowanych w czasie rzezi Woli.

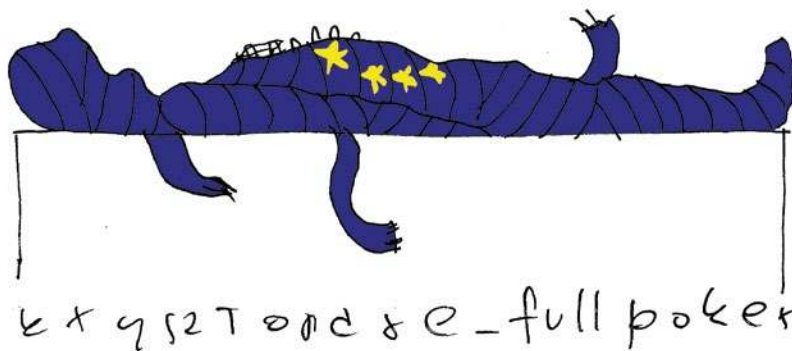
Wcześniej, gdy wicemarszałek Wanda Nowicka, broniąc wygłoszonej przez swego syna pochwały mordu w Katyniu, ogłosiła, że „syn ma prawo do lewicowych poglądów”,

tym bardziej że „jeżeli ktoś nie był komunistą za młodu, nie będzie przyzwoitym człowiekiem”, „GW” Nowickiej zawzięcie broniła. Udawała przy tym, że chodzi jedynie o obciążanie matki deklaracjami syna, a nie o otwarte usprawiedliwianie przez nią tych przerażających deklaracji. A ów „młodzieńczy komunizm”, o którym z humorem mówiła wicemarszałek, to nie była negacja, tylko otwarta pochwała ludobójstwa.

Istnieją obiektywne wymogi reakcji w życiu publicznym. „Wyborcza” jest ostatnia, by o nich pouczać i się ich domagać. Na jej temat mogę powtórzyć tylko to, od czego zaczyna się ten komentarz: sami lepiej milczcie! ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Rok 3000. Naukowcy badając
szczątki. Mumii Europejskie,
zastanawiają się, jakim cudem to
w ogóle żyło...



PIECZEŃ RZYMSKA

Awantura o ruskiego dyrygenta



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

Walerij Giergijew jest genialnym dyrygentem, dyrektorem teatrów operowych w Moskwie i Petersburgu. Dyrygował w La Scali, Nowym Jorku i Londynie. Jest też zaufanym Putina, którego wielbi publicznie. Wsparł aneksję Krymu i atak na Ukrainę. W związku z tym współpracę z nim zerwały m.in. nowojorska Carnegie Hall, La Scala i filharmonie w Monachium i Baden-Baden.

Ale 27 lipca Giergijew ma przybyć do Caserty i poprowadzić orkiestrę w ogromnym Pałacu Królewskim w ramach festiwalu „Królewskie Lato”. O to, czy pozwolić mu wystąpić czy nie, kłóci się teraz cała Italia. Protestowała wdowa po wykończonym przez ruskich Aleksieju Nawalnym, nazywając

dyrygenta „wspólnikiem zbrodniarza Putina”.

Decyzja należy do szefa regionu Kampanii Vincenza De Luki. Znają go wszyscy Włosi. Postać kolorowa, elokwentna i dowcipna. Mówią o nim „kacyk Kampanii”, bo rządzi tam od 10 lat. Powiada, że jest za pokojem i dialogiem, a przeciw cenzurze, i dlatego zaprosił Giergijewa. Decyzji trudno się dziwić, jeśli wysłuchać geopolitycznych analiz prezydenta De Luki, kiedyś komunisty, a dziś socjaldemokraty.

Trafiłem w sieci na siedmominutowe wystąpienie kacyka sprzed trzech miesięcy. Nie wiedzieć czemu, oświecał geopolitycznie Radę Regionu. Pokazał mapę Europy z zaznaczonymi państwami NATO z 1998 r., a potem drugą, aktualną. Tłumaczył,

że NATO ekspansją prowokowało Rosję, która na wieść o NATO-wskich aspiracjach Ukrainy musiała zareagować. Rymuje się to ze słowami papieża Franciszka o „szczekaniu NATO u drzwi Rosji”. Dalej było o „zachodnich debilach, którzy chcą upadku Rosji”, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji. Jako przykład podał Libię, w której na wojnę domową nakładają się wojny plemienne.

A potem pojechał standardem, że Rosja to jest wielka rzecz. Wymienił Dostojewskiego, Tołstoja i Czajkowskiego. Słowem: wspaniałe dziedzictwo rosyjskiej kultury to alibi dla rosyjskiego imperializmu.

Piszę o tym, bo bardzo wielu Włochów te opinie podziela, na lewicy i na prawicy. ©©

Ta autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

SZCZEPKOWSKA SUFLUJE

„Zaprzysiężenie się odbędzie albo nie” – stwierdziła aktorka Joanna Szczepkowska. Jak widać, na placu boju pozostali najwytrwalsi z wytrwałych. Porzuceni przez Donalda Tuska i chyba już nawet samego Romana Giertycha nadal walczą! O co? No jak to o co? O demokrację, praworządność itp., itd.! Niedawno prof. Andrzej Zoll stwierdził, że marszałek Sejmu Szymon Hołownia powinien zwołać Zgromadzenie Narodowe na 6 sierpnia, ale zawiesić



FOT. PAMEŁ WODZIŃSKA/EAST NEWS

obradę, co spowodowałoby formalny koniec kadencji prezydenta Andrzeja Dudy. Wtedy obowiązkowi głowy państwa przejąłby właśnie Hołownia i według Zolla byłby to czas m.in. na podpisanie przez niego jako prezydenta „ustawy incydentalnej”. Aktorka Joanna Szczepkowska twierdzi, że to dobry pomysł. – Uważam, że może on nas uratować. Konstytucjonalista znalazł takie wyjście prawne, więc nie jest to żaden zamach stanu, jak to nazywają przeciwnicy tego rozwiązania. Chodzi o to, żeby poczekać z przerwą do godz. 12. Wtedy skończy się kadencja prezydenta Dudy, wtedy wszystko się prawnie zmienia i marszałek Sejmu zostanie prezydentem. W tym bardzo krótkim czasie – być może byłaby to jedna noc – może dokonać jakiejś naprawy sytuacji prawnej – prze-

nywała aktorka w Polskim Radiu. Jej zdaniem zaprzysiężenie Nawrockiego „może się odbędzie albo nie”. – To wydaje się trochę jak z powieści, ale w tej chwili powołuję się na konstytucjonalistę i uważam, że to nie jest niemożliwe – zastrzegła. Szczepkowska twierdzi, że w sytuacji tak nadzwyczajnej ponowne przeliczenie wszystkich głosów byłoby zasadne. Aktorki nie przekonuje bowiem decyzja Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego o ważności wyborów prezydenckich. – Bo jeżeli dostrzeżono taką ilość nieprawidłowości, podmian głosów, to ja jako wyborczyni naprawdę muszę się zastanowić nad następnymi wyborami, jeśli to nie zostanie przeliczone. Bo po co mam się mobilizować, jeśli ktoś może po prostu spokojnie przełożyć mój głos do puli innego kandydata? To jest niebываły skandal. Należę do tych, którzy uważają, że zanim odbędzie się zaprzysiężenie, należy przeliczyć wszystkie głosy. Mam poczucie, że jest to sytuacja nadzwyczajna, w której nie ma stuprocentowej pewności, że wszystkie głosy były przeliczone prawidłowo – podkreśliła Joanna Szczepkowska. Podstawą prawną były już uchwały i wypowiedzi ministra, to może czas na nowy rodzaj – „poczucie Szczepkowskiej”?

(NIE) NA ZDROWIE!

Trenerka Ewa Chodakowska wywołała kolejną aferę. Zareklamowała pakiet badań, które – jak przekonywała – miała diagnozować endometriozę. To rzecz jasna element jednej z wielu współprac reklamowych fitnesscelebrytki. Szybko odezwały się głosy krytyki, bo Chodakowska oferowała badania w wyższych cenach niż te rynkowe, a poza tym pojawiły się liczne wątpliwości, czy aby na pewno zestaw ten gwarantuje kobietom prawidłową diagnozę. W emocjonalnym wpisie trenerka przyznała, że nie podeszła do tematu z odpowiednią wrażliwością. „Przepraszam. Przepraszam każdą kobietę, która poczuła się oszukana. Przepraszam za nieścisłość, która mogła wzmożyć poczucie niezrozumienia, samotności i frustracji” – napisała.

Chodakowska przyznała, że jej działanie mogło nieświadomie pogłębić cierpienie kobiet zmagających się z endometriozą. „Dotknęłam wrażliwego miejsca – rany zbiorowej, jaką jest endometrioza. To choroba, która wciąż jest bagatelizowana. To temat, o którym mówi się za mało, za cicho, za późno [...]. Choroba, która zabiera godność, energię, czas, relacje, pracę, płodność... a często zostaje niezauważona” – kontynuuje. Zapewniła, że nie chce szukać wymówek i bierze do serca całą krytykę. „Reakcje, które się pojawiły – nawet te bardzo ostre – traktuję z pełną powagą [...]. Przyjmuję tę krytykę i uczę się z niej. Nie chcę zamykać tego tematu. Chcę go otworzyć szeroko [...]. To dopiero początek większej rozmowy” – podkreśla trenerka. A może by tak raz być mądrą przed szkodą?

ZDRAJCY

W czerwcu Małgorzata Rozenek wraz z mężem Radosławem gościli w studiu „Pytania na śniadanie” w TVP. Ktoś zainteresowany powie: No i co z tego? Ano to, że małżonkowie są związani zawodowo z konkurencją, czyli TVN. Plotkarskie media donoszą, że wizyta Rozenek nie była przypadkowa. „Niewykluczone, że po wakacjach Gosia dołączy do zespołu śniadaniówki lub otrzyma własny program” – twierdzi informator Pudelka. Celebrytka ma być już zmęczona czekaniami na swój format w TVN. Dużo się o tym mówi, ale konkretnej oferty nadal nie dostała. Wizyta w śniadaniówce konkurencji wywołała oburzenie Lidii Kazen. Dyrektor programowa stacji z Wiertniczęj miała nawet wezwać „perfekcyjną” na dywanik, a między paniami „doszło do ostrej wymiany zdań”. „Od razu po skończonym programie zadzwoniła do niej Lidia Kazen i zapytała, czy jej udział w programie TVP2 to znak, że ma zamiar tam pracować. Doszło do ostrej wymiany zdań, w której padły słowa, że może warto się rozstać. Rozenek uważa, że jej potencjał nie jest wykorzystywany w pełni. Marzyła o prowadzeniu „Azji Express”, ale dyrektor programowa uznała, że do tej roli lepiej nadaje się Iza Krzan – ujawnia źródło. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, chyba zbyt mało uwagi poświęcaliśmy do tej pory tematowi mieszkańców tego kraju na wakacjach: ich zwyczajów, zachowań i preferencji, które niejedną osobę z wielkiego ośrodka, która przypadkiem trafiła w to samo miejsce wypoczynku co oni, doprowadzała do rozpacz, a nieraz do ostateczności w postaci wpisu w mediach społecznościowych.

W tym roku jednak okazuje się, iż zwyczajnie januszów i ich grażyn się zmieniają. Już nie zapaskudzą nadmorskich plaż i wydm, nie ociekają tłuszczem ze smażonego dorsza ani nie śmierdzą piwskim z promki 12 + 12 w biedrze. W tym roku częściej spędzają wakacje za granicą, gdzie zabierają ze sobą ten nieszczęsny polski mindset.

I tak, mamy na to badania. Otóż wyobraźcie sobie, iż 70 proc. Polaków na wakacjach zagranicznych przelicza sobie lokalne ceny na złotówki. Przeciesch to jakiś wstyd, jakiego świat nie widział. W jaki sposób mamy wejść do strefy euro, jeśli mając możliwość styczności ze wspólną europejską walutą, i tak jest ona przeliczana na cebulackie złote polskie? Pamiętamy czasy, jak nasi osobodziadkowie przeliczali swoje emerytury „na stare”. I co? Jak wejdziemy do strefy euro, to też się będą zastanawiać, ile to by było na złote?

Poza tym nawet na takich zagranicznych wczasach wychodzi polska cebulacka mentalność, iż taki janusz nie dość, że ogranicza „jedzenie na mieście” (wozi zagotowane słoiki z rosołem do Włoch pewnie...), to jeszcze aktywnie się targuje podczas zakupów. Tak w zasadzie to wciąż aktualna pozostaje porada, iżby na

Otóż dekonstrukcja jest narzędziem refleksji i krytyki. W przypadku rekonstrukcji pytanie, które stałoby przed premierem, brzmi: „Naprawmy to, co mamy”. Natomiast premier dekonstruktor mógłby zapytać: „A po co my to w ogóle mamy”? I my już wszyscy wiemy, o kim by to było, prawda? xD.

Pamiętajmy też, iż dekonstrukcja nie równa się destrukcji. Tych z was, którzy się zaniepokoiłi nader śmiałym konceptem, uspokajamy, iż rząd będzie nadal istniał, Pan Premier będzie nadal rządził, ale taki zdekonstruowany rząd nie dość, iż będzie bardziej etyczny, bo pozbędziemy się tych, którzy na władzę nie zasługują ze względów moralnych (jakieś nocne spiski i spotkania), to jeszcze będzie efektywniejszy, iż Pan Premier będzie miał swobodę w podejmowaniu i egzekwowaniu decyzji.

Czyli, jak widzicie, same zalety. Pytanie tylko, czy ten kraj jest gotowy na przeprowadzenie dekonstrukcji rządu. Nam się wydaje, iż nie,

bo jednak typowy wyborca, zwłaszcza na prawicy, jest jednak przywiązany do pewnego modelu, a słowo dekonstrukcja wiąże zazwyczaj z „tradycyjną rodziną” albo „rolami płciowymi” i się jej boi. Więc wicie, jak ze wszystkim – czas na zmiany, ale ten kraj do tego nie dorósł. ©©



wakacjach poza tym krajem nie mówić po polsku. Po co sobie robić wstyd, co nie?

Ponieważ wciąż czekamy na rekonstrukcję rządu, iżby wreszcie usunąć z niego pis, aby Pan Premier w spokoju mógł rządzić, mamy taki pomysł – może dość radykalny – iżby rekonstrukcję zastąpić dekonstrukcją.



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Superpomysł

Adam, musimy zrobić inicjatywę PR-owską. Musimy pokazać Babcię Kasię – że to jest miła, idealistyczna działaczka demokratyczna.

Donald, zapomnij. Nie da się. Próbowałem. Widziałem się z nią.

I?

Mówię normalnie „dzień dobry”, a ta do mnie: „Jaki, k..., dobry?! Pisiory nie siedzą. Duda, skur..., nie siedzi, debile jesteście, że ich nie powsadzaliście wszystkich!”

Wyjaśnię, czego potrzebujemy?

Nie zdążyłem. Torbą mnie pobiła.

OK. Może to nie jest superpomysł. Idziemy w inną stronę: zakażmy dzieciom kupowania słodczy, będzie porządna gównoburza. A i tak nic z tego nie wyjdzie. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Co ich wpieniło wczoraj? Polski astronauta. Przedwczoraj? Tryumf lgi”.

DONALD TUSK, premier RP, na X o PIS-owcach

We wtorek odbędzie się epokowe spotkanie: prezydent elekt Karol Tadeusz oraz klub parlamentarny PiS. Cel? No, taki ogólny. Zapoznawczy. Słusznie. Najwyższy czas, by człowiek, który został prezydentem, poznał wszystkich tych ludzi, którzy nigdy nie wierzyli, że może zostać prezydentem.

Po mieście krążą tymczasem plotki o ważnej roli prezydenta elekta Karola Tadeusza w tajnych negocjacjach PiS z Konfederacją. Dementujemy. Może kiedyś. Na razie Karol Tadeusz całkowicie skoncentrowany jest na układaniu kancelarii prezydenckiej. To koncept autorski do tego stopnia, że usłyszeliśmy nawet dowcip: Kto będzie szefem kancelarii Nawrockiego? Nawrocki.

Dowcip powstał nie bez powodu. Jak słyszymy, prezydent elekt potrzebuje ludzi, którzy będą ciężko pracować, ale niespecjalnie o czymś decydować. Stąd np. pomysł, żeby powołać silną dyrektora generalną kancelarii, która de facto równoważyć będzie, jeśli nie przyćmi, nominalnego szefa kancelarii itd.

Wracając do negocjacji PiS-Konfederacja. To, że oficjalnie ich brak, nie oznacza, że nie wywołują emocji. Otóż członkowie dwóch części Konfederacji, czyli Nowej Nadziei oraz Ruchu Narodowego, oskarżają się nawzajem o to, że potajemnie paktują z PiS. Temperatura tych dyskusji wzrosła zdecydowanie po ujawnieniu spotkania Hołowni z Kaczyńskim. Uświadomiono sobie bowiem, że jeśli szeregowy poseł Kaczyński może

w sekrecie gadać z Hołownią, to znaczy, że może to robić dosłownie z każdym. No, może oprócz naszych chłopców z Sopotu.

Na wypadek powstania nowej koalicji rządzącej przypominamy, że jako pierwsi ukuliśmy skrót „Ko-PiS” i będziemy domagać się respektowania praw autorskich. Chcemy też zauważyć, że trzeba bardzo uważnie zapisywać nazwę owej koalicji, gdyż w wersji

„Ko-PiS” oznacza „Konfederacja oraz PiS”, ale już w wersji KO-PiS – „Koalicja Obywatelska oraz PiS”. A tego byśmy dla Polski zdecydowanie nie chcieli.

Tymczasem w PiS. Potwierdzamy, że ma dojść do dużej konferencji programowej. W planach jest druga połowa października, a odpowiedzialnym za całość uczyniono prof. Piotra Glińskiego. Mile widziane uciekanie stanowisk oraz udział ekspertów, a nie polityków. Pożyjemy, zobaczymy. Pamiętamy bowiem, że podczas poprzedniej tego typu inicjatywy ekspertem w jednym z paneli miał być np. Oskar Szafarowicz.

Wraca nowe. Z okazji przedłużających się prac nad rekonstrukcją rządu przypomniał nam się wciąż aktualny dowcip z listopada 2013 r. Dla słabo pamiętających: tak, wtedy też rządził Tusk. Oto dowcip (źródło: ASZdziennik): „Nowi ministrowie zawiedli. Rekonstrukcja rekonstrukcji jeszcze przed świętami”. Chcemy jednak zauważyć, że tym razem trwają prace nad rekonstrukcją rekonstrukcji jeszcze niedokonanej. A to już wyższa szkoła jazdy.

Jednocześnie zanim jeszcze doszło do rekonstrukcji, z rządu zaczęto wyrzucać ministrów. Podobno za to, że piją. Na przykład Andrzeja Szejnę, wicką z resortu spraw zagranicznych. Przyszłość rządu widzimy czarno, w formie paraliżu. Niepijący ministrowie są bowiem w Polsce tradycyjnie w mniejszości.

Àpropos MSZ: Radek Sikorski wysłał démarche do Watykanu, bo jeden z polskich biskupów oświadczył, że rządzą nami polityczni gangste-

dwaj panowie **g**



FOT. ROBERT CAROZINSKI

Wraca nowe. Tym razem trwają prace nad rekonstrukcją rekonstrukcji jeszcze niedokonanej. A to już wyższa szkoła jazdy

rzy. Pochwalamy ruch Radka. Jedną z charakterystycznych cech politycznych gangsterów jest to, że przyłapani na gorącym uczynku krzyczą wniebogłosy, jak bardzo są niewinni i krzywdzeni. Co było do udowodnienia.

Czas na dowcip tygodnia. Autorką jest Małgorzata Kidawa-Błońska, marszałkonissima Senatu. Oto zdanie, które postanowiliśmy nagrodzić: „PSL, które naprawdę dba o tradycję, o honor”. Nie śmialiśmy się tak od czasu, jak Zgorzelski powiedział, że Trzecia Droga to sojusz świnek z kulkami.

Skoro już o zabawnych rzeczach: dawno niewidziany Ryszard Czarnecki, znany też jako Richard Henry, będzie teraz widywany częściej. Przynajmniej na YouTube. Założył tam kanał, na którym przeprowadzać będzie rozmowy z ciekawymi ludźmi. A teraz najlepsze: kanał nazywa się Bliskie Spotkania Trzeciego Stopnia. Nie wiemy, co powiedzieć.

Piłka nożna. Mamy nowego selekcjonera reprezentacji. To Jan Urban. Podobno prezes PZPN bardzo długo nie chciał go zatrudnić, gdyż uważał, że jest za miękki. Skąd powziął to przekonanie? Według dziennikarza sportowego Przemysława Langiera – od Grzegorza Schetyny. Nabab PO zatrudnił bowiem kiedyś Urbana w Śląsku Wrocław i podzielił się refleksją na temat jego charakteru z Kuleszą. Przytaczamy tę opowieść, by przypomnieć, że w Polsce to, co idiotyczne, ma zawsze związek z PO. Nawet gdy chodzi jedynie o piłkę kopaną.

Trwa spór o autorstwo wzruszającego listu, który zabrał ze sobą w Kosmos kolejny Polak w Kosmosie, Sławosław Uznański-Wiśniewski (przypominamy, że każdy, kto nie jest pierwszy, jest już tylko kolejny). Oto najbardziej emocjonujący fragment: „Wznosisz się gdzieś tam [...] z głową

wypełnioną doznaniem i ch.. wie czym”. Chcieliśmy zwrócić uwagę, że przede wszystkim jest to fragment nieprecyzyjny. Biorąc pod uwagę bezkresną głębię Kosmosu, powinno być „ch.. wie czym i ch.. wie gdzie”.

Dalej o słowie pisanym. A dokładnie w sprawie słynnej noty instytutu Schnepfa (dawniej Instytut Pileckiego). Tej dotyczącej komunistycznego zbrodniarza, czyli Schnepfa seniora. Że niby ludzie owego osobnika w 1945 r. to łagodne baranki, które na rozkaz Sowietów zagarnęły ledwie 22 Polaków (którzy potem gdzieś się zapodziali). Otóż nasze źródła ulokowane w instytucie Schnepfa (dawniej Instytut Pileckiego) są pewne, że autorką noty jest niejaka Luiza Jurgiel-Żyła. Została ona ścignięta do instytutu z tzw. rynku jako uznana specjalistka od komunikacji kryzysowej. Nam osobiście przypomina to sytuację nudzących się strażaków, którzy, żeby wykazać się bohaterstwem, wzniciali pożary.

Tymczasem Radek Sikorski publicznie zapewnia, że nie zamierza odwoływać z placówki w Rzymie Schnepfa juniora pilnującego ambasady w charakterze kierownika placówki. Tyle propagandy na użytek gawiedzi. Nieoficjalnie ludzie Radka zaczęli sondować, kogo

nie jest zadowolona z braku nad Tybrem prawdziwego ambasadora bratniej Republiki Polonia.

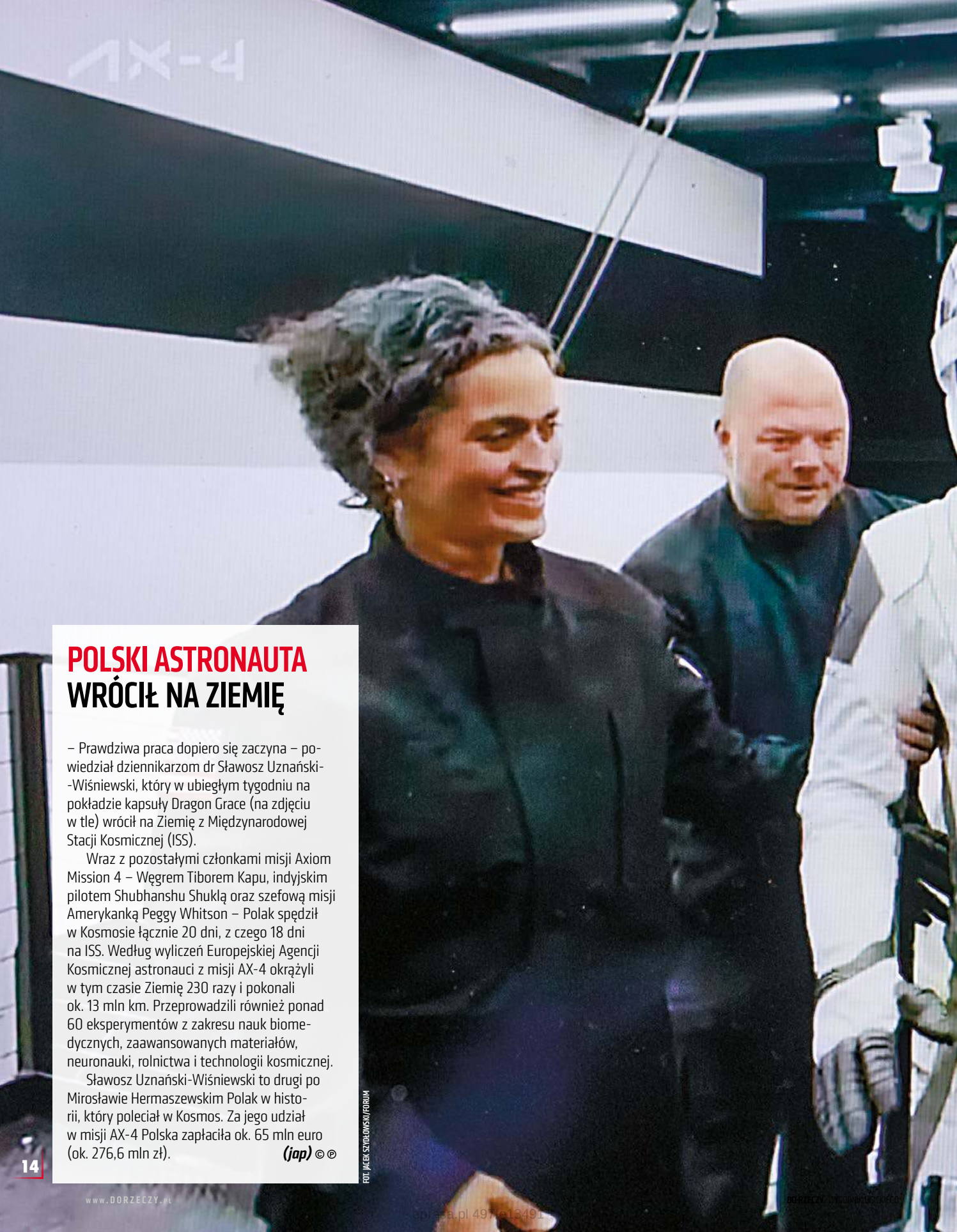
Nawiasem mówiąc, podobnie jest z kierownikiem innej placówki, Bogdanem Klichem. Departament Stanu też nie lubi, gdy się lekceważy taki kraj jak USA. A tak traktowane jest trzymanie na placówce posledniego urzędnika bez doświadczenia dyplomatycznego w charakterze cięcia czekającego, aż przyjedzie pełnoprawny ambasador. Nasze wiewiórki utrzymują, że Karol Tadeusz ma już kandydata na to stanowisko i na żadnego nominata Radka się nie zgodzi. Jednak jest otwarty na negocjacje w kwestii obsady kolejnych placówek.

Jest lato, wiadomo, sezon ogórkowy. O czymś jednak gazety muszą pisać. A ile w kółko można tylko o tym, że PiS sfałszował wybory? W związku z tym nastąpił wysyp informacji o tym, że ma powstać nowa partia. A w sumie – to bardzo wiele partii. Jedna miliardera Arkadiusza Musia. Jedna senatora Wadima Tyszkiewicza. Jedna posła Ryszarda Petru. Jedna Radka Sikorskiego, na bazie inicjatywy Zryw, czyli takiego kopiujuj-wklej Campusu Polska Trzaskowskiego. Oczywiście wszystkie te partie mają mieć charakter liberalny, obywatelski, no i reprezentować przedsiębiorców. Już ze wstępnych wyliczeń wychodzi nam, że wszystkie te partie powinny zdobyć w wyborach łącznie ok. 120 proc. głosów. Jeśli będzie inaczej, to znaczy, że PiS sfałszował.

Wszystkim zakładającym nowe partie przypominamy, że najważniejsza jest nazwa. Specjalnie dla nich przygotowaliśmy więc generator nazw postępowych partii politycznych. Należy na osobnych karteczkach umieścić słowa: NAPRZÓD, INICJATYWA, TERAŻ, LICZY SIĘ, NAJWAŻNIEJSZA, CZAS, NOWOCZESNA, PRZYSZŁOŚĆ, POROZUMIENIE, POLSKA, GOSPODARKA, WOLNOŚĆ, JEST, BLOK, OBYWATEL itp. Po dokładnym wymieszaniu karteczek losujemy trzy i składamy z nich nazwę. Nam najbardziej podoba się Blok Naprzód Teraz, ale inne propozycje też zaakceptujemy: Inicjatywa Liczy Się Wolność albo Polska, Przyszłość, Gospodarka. ©

Wszystkim zakładającym nowe partie przypominamy: najważniejsza jest nazwa

mógłby klepnąć prezydent Karol Tadeusz na pełnoprawnego ambasadora na Półwyspie Apenińskim. I wcale nie chodzi o to, że Radek chce Schnepfa odwołać – bo nie chce. Jednak będzie musiał. Gdyż ludzie włoskiego MSZ jednoznacznie dają do zrozumienia, że Giorgia Meloni

A photograph showing two astronauts in a space station module. In the foreground, a woman with curly hair, wearing a dark blue flight suit, is smiling and looking towards the right. Behind her, a man with a shaved head, also in a dark blue flight suit, is looking in the same direction. To the right, a portion of another astronaut in a white spacesuit is visible. The background shows the interior of a space station with white walls and structural elements. The text 'AX-4' is visible in the upper left corner of the image.

POLSKI ASTRONAUTA WRÓCIŁ NA ZIEMIĘ

– Prawdziwa praca dopiero się zaczyna – powiedział dziennikarzom dr Sławosz Uznański-Wiśniewski, który w ubiegłym tygodniu na pokładzie kapsuły Dragon Grace (na zdjęciu w tle) wrócił na Ziemię z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS).

Wraz z pozostałymi członkami misji Axiom Mission 4 – Węgrem Tiborem Kapu, indyjskim pilotem Shubhanshu Shuklą oraz szefową misji Amerykanką Peggy Whitson – Polak spędził w Kosmosie łącznie 20 dni, z czego 18 dni na ISS. Według wyliczeń Europejskiej Agencji Kosmicznej astronauta z misji AX-4 okrążyli w tym czasie Ziemię 230 razy i pokonali ok. 13 mln km. Przeprowadzili również ponad 60 eksperymentów z zakresu nauk biomedycznych, zaawansowanych materiałów, neuronauki, rolnictwa i technologii kosmicznej.

Sławosz Uznański-Wiśniewski to drugi po Mirosławie Hermaszewskim Polak w historii, który poleciał w Kosmos. Za jego udział w misji AX-4 Polska zapłaciła ok. 65 mln euro (ok. 276,6 mln zł).

(jap) ©

FOT. JACEK SZTOLCOWSKI/FORUM



Po ogłoszeniu przez amerykański Departament Sprawiedliwości, że nie istnieje tzw. lista Epsteina i że sam podejrzany, oczekujący na proces za handel nieletnimi w celu ich prostytuowania, na pewno popełnił samobójstwo w więzieniu w 2019 r., afera Epsteina wróciła w USA ze zdwojonym impetem. Stawką dla republikanów w obecnym wzburzeniu części elektoratu Donalda Trumpa jest utrzymanie władzy w Kongresie w wyborach uzupełniających w 2026 r. oraz przedłużenie rządów w Białym Domu po zakończeniu obecnej kadencji. Z kolei dla domagających się przejrzystości Amerykanów w grę wchodzi znacznie więcej: po pierwsze – ustalenie i rozliczenie tych członków amerykańskich elit (jak i z innych krajów), którzy ewentualnie korzystali z oferowanych przez Jeffreya Epsteina mrocznych usług pedofilskich; po drugie – definitywne wyjaśnienie kwestii, czy zbierając swe lubieżne kompromaty, Epstein operował na rzecz rodzimych lub zagranicznych służb wywiadowczych (w tym wypadku influencerzy polityczni otwarcie wskazują na Mosad); po trzecie – odpowiedź, w końcu, na pytanie, czy Ameryka jest jeszcze w stanie powrócić do republikańskiego ideału zakładającego kontrolę państwa przez obywateli, która dziś, jeśli chodzi o resorty siłowe amerykańskiego imperium, jest iluzoryczna.

Wydawało się, że wraz z podpisaniem 4 lipca 2025 r. „wielkiej pięknej ustawy budżetowej” nastąpi istny przełom w prezydenturze Donalda Trumpa, konsolidujący na dobre jego społeczne poparcie wraz z umożliwieniem spełnienia z rozmachem jego wyborczych obietnic. Ustawa ta miała bowiem udzielić Trumpowi skutecznych narzędzi budżetowych, których nie otrzymał za swej pierwszej kadencji (chodziło w niej zwłaszcza o kwestie bezpieczeństwa i narzędzia stymulujące rozwój gospodarczy, takie jak cięcia podatkowe). W rzeczy samej, po zażartych bataliach w obu izbach Kongresu ustawę tę udało się przegłosować, tak aby Trump mógł ją, zgodnie z zapowiedzią, podpisać w święto niepodległości Stanów Zjednoczonych – co też uczynił w uroczysty sposób, ogłaszając po raz kolejny, że Ameryka wkracza w swój złoty wiek... Tę nieco pompatyczną atmosferę, naznaczoną jednak realnymi sukcesami – w czerwcu

Jeffrey Epstein i Donald Trump
na Florydzie w roku 1997

FOT. DAVIDOFF STUDIOS PHOTOGRAPHY/GETTY IMAGES

Cień Epsteina nad republiką



Wojciech Golonka

Oficjalnie był błyskotliwym i prosperującym finansistą. Przede wszystkim jednak znany jest jako człowiek, który stworzył na Karaibach miejsce będące seksualnym piekłem nastolatek. Jego sprawa wróciła



po raz pierwszy od 2017 r. odnotowano miesięczną nadwyżkę budżetową w wysokości 27 mld dol. – uznano najwyraźniej za najodpowiedniejszy moment do, kolokwialnie rzecz ujmując, ukręcenia łba sprawie Epsteina. I to po tym, jak sama prokurator generalna Pam Bondi zapowiadała na początku prezydentury Donalda Trumpa stopniowe upublicznianie akt tej złożonej sprawy, a nawet informowała o dostarczeniu przez FBI dodatkowych dokumentów w tej kwestii o objętości ciężarów! Innymi słowy: rozgoryczenie części elektoratu Donalda Trumpa względem jego administracji, z Departamentem Sprawiedliwości i Federalnym Biurem Śledczym na czele, było proporcjonalne nie tylko do wieloletnich oczekiwań w tej sprawie, lecz także do wcześniejszych, bardzo mocnych deklaracji i obietnic bliskich współpracowników obecnego prezydenta.

KIM BYŁ EPSTEIN?

Przed swym upadkiem, a raczej stopniową demaskacją na przestrzeni lat Epstein, w największym skrócie, był swego rodzaju magikiem, czarującym swą epokę, z którym najwyraźniej ludzie niezwykle zamożni, wpływowi lub po prostu celebryci potrzebowali utrzymywać kontakty towarzyskie – to właśnie, zważywszy na wizerunkowe umocnienie całej tej śmietanki w tę sprawę, budzi tak wiele emocji. Urodzony w roku 1953 Jeffrey Epstein oficjalnie był błyskotliwym i prosperującym finansistą. Karierę zaczynał jednak jako nauczyciel matematyki bez dyplomu – nie ukończył żadnych z rozpoczętych studiów – który po kilku latach, w 1976 r., przekonwertował się na pracę w sektorze bankowości inwestycyjnej. Bardzo szybko zyskał opinię pożądanego doradcy najzamożniejszych klientów, doskonale pomagającego rozeznaczyć się w skomplikowanych produktach oraz dokonywać optymalizacji podatkowych, tak że już po pięciu latach, w 1981 r., był w stanie operować na własny rachunek w ramach swej doradczej firmy Intercontinental Assets Group. Co istotne, doradzał wówczas również rządowi, a także wykazywał skuteczność w pomocy najzamożniejszym w odzyskiwaniu środków z katastrofalnych inwestycji. Czy pomoc ta wynikała z czystej chęci zarobku, a sprawczość

– wyłącznie z osobistego doświadczenia i stale poszerzającej się sieci koneksji? Nie przesadzając, należy tu wskazać już wtedy istniejące poszlaki jego wątków agenturalnych oraz udokumentowane powiązania z międzynarodowymi handlarzami bronią, którzy w dobie zimnej wojny siłą rzeczy działali w orbicie służb wywiadowczych. Z tego też właśnie okresu pojawiają się w ogóle pierwsze doniesienia o jego możliwej pracy natury agenturalnej – zarówno raportowane anegdotalnie o jego własnych zwierzeniach współpracy z CIA, jak i intrygujące wskazówki. Otóż podczas drugiego śledztwa dotyczącego Epsteina przy okazji przeszukania jego nowojorskiej rezydencji w 2019 r. znaleziono jego austriacki paszport z lat 80., na inne nazwisko, z adresem zamieszkania w Arabii Saudyjskiej. Jego prawnicy argumentowali wówczas, że chodziło jedynie o środek bezpieczeństwa podczas przemieszczania się po Bliskim Wschodzie...

Bezpieczeństwo? Owszem, i to za-
stanawiające. W 1987 r. Epstein został wynajęty, za sowitym wynagrodzeniem, przez niejakiego Stevena Hoffenberga jako konsultant przy Towers Financial Corporation z jej funduszem skupującym długi, który kilka lat później okazał się jedną z największych piramid finansowych w amerykańskiej historii na kwotę przeszło pół miliarda dolarów. Gdy

Donald Trump znalazł się w sytuacji, która może w niedalekiej przyszłości kosztować republikanów utratę władzy

Hoffenberg poszedł siedzieć na 20 lat, Epstein, jego prawa ręka, zdążył opuścić tonący pokład przed ogłoszeniem bankructwa i uniknął wszelkich konsekwencji karnych. Finansista spokojnie kontynuował wówczas swoją działalność i nabierał coraz większego znaczenia w sferach towarzyskich. W 1996 r. jego firma przekształcała się w Financial Trust Company i – co niezwykle ważne dla tej historii – relokuje się na Wyspy Dziewicze, do rajów podatkowych podpiętego

■ zarazem do amerykańskiego systemu bankowego z racji bycia tzw. nieinkorporowanym terytorium zależnym od Stanów Zjednoczonym.

ZAMIENIĆ RAJ W PIEKŁO

Prosperujący Epstein się urządza, zresztą nie tylko na Karaibach. Prestiżowa rezydencja w Nowym Jorku, kolejna na Florydzie, ranczo w Nowym Meksyku, apartament obok Pól Elizejskich w Paryżu... Ale przede wszystkim to ten iście rajski zakątek na ziemi, Wyspa św. Jakuba (Little Saint James), nazwana od tego czasu potocznie Wyspą Epsteina lub Wyspą Pedofilów, stanie się dla wielu nastolatek piekłem napaści seksualnych, zarówno z jego strony, jak i – wedle ich oskarżeń – ze strony jego znajomych, którzy masowo nawiedzali Epsteina w jego karaibskich włościach. Modus operandi miał być następujący: młode, często nieletnie dziewczyny są werbowane w Stanach Zjednoczonych oraz w innych krajach. Wabiono je zarobkiem masażystek w prestiżowym miejscu, pomocą w karierze modelki etc. – system zresztą zakładał, aby raz pozyskane kandydatki namawiały do współpracy swe koleżanki. Operacją zawiaduje partnerka Epsteina, znająca doskonale jego gusta Ghislaine Maxwell, odgrywająca w tym procederze najwyraźniej rolę burdelmamy. W 2022 r. została ona skazana na 20 lat więzienia za handel nieletnimi w celach seksualnych i powiązane z tym zbieżne przestępstwa (zmowa, transport, namawianie). Maxwell w obecnej sytuacji z jednej strony chce zeznawać przed Kongresem o tym, co wie, z drugiej – walczy o wolność przed Sądem Najwyższym USA. Ale podkreślmy w tym miejscu jej nadzwyczajne międzynarodowe koneksje: urodziła się we Francji w 1961 r., jej matka była francuską historyk, ojciec zaś pochodzącym z Czechosłowacji Żydem, który został naturalizowanym Anglikiem. Zrobił on karierę i fortunę jako magnat prasowy w Wielkiej Brytanii i był podejrzewany przez tamtejszy rząd o bycie zagranicznym agentem. Otóż swymi różnymi dokonaniem Robert Maxwell bez wątpienia przysłużył się Państwu Izrael i zasadnicze pytanie brzmi tu: Jak bardzo się przysłużył, skoro na jego pogrzebie w Jerozolimie w 1991 r. pojawili się ówczesny premier Icchak Szamir, prezydent Chaim Herzog, a także

dyrektor Mosadu i kilku jego poprzedników? W każdym razie zważywszy na fakt, że Ghislaine Maxwell do śmierci ojca należała do jego najbliższych współpracowników, a następnie przeniosła się do Nowego Jorku, gdzie związała się z Epsteinem, w ludowych spekulacjach wskazuje się właśnie na nią, jednak bez żadnych twardych dowodów, jako ogniwo łączące Epsteina z Mosadem.

Wracając do procedury wykorzystywania ofiar: nieletnie dziewczyny miały być molestowane przy okazji świadczonych masażu lub okolicznościowych spotkań, dochodziło także do wymuszanego współżycia, a następnie były zastraszane, że mają o tym nikomu nie mówić – były być może za to dodatkowo wynagradzane. Otóż bank J.P. Morgan w którym Epstein w latach 1998-2013 posiadał łącznie kilkadziesiąt rachunków bankowych, w 2023 r. w ramach ugody z domniemanymi ofiarami Epsteina zgodził się wypłacić im sumę 290 mln dolarów za brak własnej czujności przy okazji licznych wypłat gotówki z jego strony, którą opłacał swe ofiary. Z kolei Deutsche Bank, do którego Epstein przeniósł się po 2013 r., zgodził się wypłacić jego oskarżycielkom 75 mln dolarów (J.P. Morgan zgodził się ponadto wypłacić, w ramach ugody, 75 mln dol. na rzecz amerykańskiej części Wysp Dziewiczych).

ZŁOTA UGODA Z PROKURATURĄ

Przy tym procederze seksualnego wykorzystania nieletnich należy także uwzględnić kwestię wszechobecnego w rezydencjach Epsteina monitoringu, z łazienkami włącznie, w formie ukrytych kamer pozwalających utrwać nieobyczajne sceny. W jakim celu? Wrócimy za chwilę do tej kwestii, ale najpierw zwińmy ten wątek biograficzny dwukrotnym pobytom Epsteina w więzieniu. Pierwsza sprawa wybuchła w 2005 r., kiedy to pewna kobieta na Florydzie zgłasza policji, że jej 14-letnia pasierbica została zabrana przez koleżankę do posiadłości Epsteina, gdzie zapłacono jej za jego masaż i striptiz. W tym czasie lokalna policja poprosiła o pomoc FBI, doszło do przeszkupienia jego domu, w którym znaleziono dużą liczbę zdjęć dziewcząt oraz rachunki za podręczniki o psychologicznej manipulacji niewolników erotycznych. Lista potencjalnych ofiar rozszerza się w trak-

cie śledztwa do kilkudziesięciu, pojawiają się doniesienia o sprowadzeniu mu na urodziny 12-letnich trojaczek z Francji, które miał zgwałcić. Dochodzi jednak do zaskakującej ugody z prokuraturą, która ucina trwające śledztwo FBI, mogące przecież jeszcze odkryć nowe ofiary i ewentualnych współwinowajców w tym procederze. Epstein przyznał się do winy w zakresie podżegania do prostytucji, w tym prostytucji nieletnich, w zamian za 18 miesięcy więzienia, z czego odsiedział tylko 13, i to połowicznie: w ciągu dnia mógł opuszczać więzienie (w którym skądinąd bez problemu podejmował gości) na rzecz dziennej pracy we własnym biurze. Ugoda z prokuraturą na Florydzie, w ramach właściwej jej jurysdykcji, stanowiła, że Epstein nie będzie ścigany w zakresie handlu ludźmi na tle seksualnym i powiązanych z tym przestępstw (co mogło się wiązać z karą dożywocia), oraz zapewniała bezkarność potencjalnym współnikom tych możliwych przestępstw (zatem i możliwym beneficjentem?), a sam jej fakt miał pozostać nieznanym ofiarom Epsteina, które przez to sądziły, że jego federalne ściganie w tym zakresie jest nadal możliwe. W zamian Epstein miał wynagrodzić zidentyfikowanym przez FBI ofiarom oraz zostać wpisanym na listę przestępców seksualnych.

Z dzisiejszego punktu widzenia ta „słodziutka” umowa była wprost skandaliczna, natomiast fakt skazania Epsteina mimo wszystko zaczął uwalniać kolejne języki, umożliwił śledztwa dziennikarskie – tak że w ostateczności dochodzenie w tej sprawie podjęli nowojorscy prokuratorzy. 6 lipca 2019 r. Epstein został aresztowany w Nowym Jorku pod zarzutami handlu nieletnimi na tle seksualnym i zmowy w tej kwestii. Alex Acosta, autor prokuratorowskiej ugody z Florydy, poddany przy tej okazji wielkiej medialnej presji, ustąpił ze stanowiska sekretarza Departamentu Pracy w pierwszej administracji Trumpa. Media donosiły zaś, że przed wejściem do rządu miał wskazać, iż wówczas polecono mu zawarcie tamtej umowy, ponieważ Epstein „należał do wywiadu”, a kwestia ta wykraczała poza jego kompetencje. Sprawa, która odżyła zatem w 2019 r. z sensacyjnymi wątkami, znalazła swój finał już miesiąc później, 10 sierpnia, kiedy to znaleziono Epsteina martwego w celi, a ekspertyza sądowa wskazała na

śmierć samobójczą (przy zastrzeżeniach zgłoszonych przez adwokatów zmarłego). Niedługo potem COVID-19 przykrył dosłownie wszystko, w listopadzie 2020 r. Trump przegrał wybory, a „lista Epsteina”, tj. wykaz jego potencjalnych współzberników, stała się popularnym narzędziem uderzania w demokratów, wówczas u władzy, ze strony republikanów, którzy byli w zupełnej defensywie.

Dla przykładu – w 2021 r. J.D. Vance pisał: „Jaki interes rząd USA miałby w utrzymywaniu [listy] klientów Epsteina w tajemnicy? Och...”. W 2023 r. syn Donalda Trumpa nawoływał: „Pokażcie nam natychmiast listę klientów Epsteina!!! Dlaczego ktokolwiek chroniłby te szumowiny? Zadawajcie sobie codziennie to pytanie, a odpowiedź stanie się jasna”. Z kolei na pytanie dziennikarza, „dlaczego FBI chroni pederastę o największej skali oddziaływania w historii”, Kash Patel, wówczas były pracownik FBI, a obecnie dyrektor tej służby, odpowiedział: „To proste, ze względu na to, kto jest na tej liście”. Nic zatem dziwnego, że tak rozgrzewany wtedy żelazny elektorat Trumpa obecnie kipi z wściekłości. I jeśli sam Trump nigdy nie grzał tego tematu, to przecież jeszcze w lutym br. zapytana o możliwość opublikowania listy Epsteina prokurator generalna odpowiedziała: „Leży ona teraz na moim biurku i czeka na przegląd – to było polecenie prezydenta Trumpa”. Kiedy więc Donald Trump próbuje dziś odciąć się od tematu odpowiedziami typu: „A wy wciąż mówicie o Epsteinie?”, „To naprawdę nudna sprawa” lub, co gorsza, że ta afera to w rzeczywistości mistyfikacja wymyślona przez demokratów, to tylko powiększa tę frustrację.

GORĄCY KARTOFEL

Przy czym na obecnym etapie można raczej jedynie spekulować, choć zasadnie, dlaczego Departament Sprawiedliwości zakończył sprawę, twierdząc, że nie znaleziono u Epsteina żadnej listy (gdy tymczasem należała taką listę po prostu porządzić na podstawie materiału dowodowego!). Czy liczne nagrania o charakterze pedofilskim, znalezione u Epsteina, nie umożliwiają identyfikacji sprawców? Czy nie da się ustalić i przesłuchać osób, które od lat 90. wpływały mu pieniądze, choćby w ramach świadczonych przezeń oficjalnie usług

doradztwa finansowego, na okoliczność, czy nie były to w rzeczywistości środki wymuszone szantażem lub po prostu opłaty za prostytutkę nieletnich?

Sęk w tym, że zważywszy na rangę tych osób (Epstein utrzymywał kontakty dosłownie ze wszystkimi, a na czele pojawiają się takie nazwiska jak Bill Clinton czy Bill Gates, także sam Donald Trump nie stronił w przeszłości od kontaktów z nim i laudacji na jego temat, o których dziś zapewne woli nie pamiętać), takie przesiewanie tego grona oznaczałoby otwarcie puszkii Pandory, o ewidentnie skrajnie negatywnym wydźwięku międzynarodowym dla reputacji Stanów Zjednoczonych (o politycznej wojnie domowej nie wspominając) – choć prawdą jest, że chyba coraz mniej osób żywi co do tej reputacji jakieś złudzenia. Nie podważając tragedii zidentyfikowa-

zjawisko, co widać w licznych obecnych komentarzach w USA: Jak człowiek pokroju Epsteina był w stanie zbić tak niewyobrażalną fortunę i czy jego li tylko indywidualna perwersja jest w stanie wytłumaczyć całą skalę procederu, który drobiazgowo zorganizował? Ale nawet wobec braku dowodów (czyż jakiś wywiad trzymałby w ogóle swe kompromaty u Epsteina?) wątek agentury nie wydaje się tylko czystym założeniem, ponieważ trudno przypuszczać, że wszystko to mogłoby odbywać się w takiej skali poza jakąkolwiek wiedzą służb wywiadowczych. Nawet więc gdyby nie były one w to bezpośrednio zaangażowane, to w jakim celu, jeśli nie właśnie zebrania kompromatów, pozwalałyby one na kontynuowanie tego procederu pod ich nosem? Ale w takim razie jak Trump miałby utrzymać swoją politykę między-

Operacją na wyspie Epsteina zawiadywała Ghislaine Maxwell, odgrywająca w pedofilskim procederze rolę burdelmamy. To córka znanego magnata prasowego, Roberta Maxwella

nych ofiar, trzeba też zaznaczyć, że ich zeznania są jak najbardziej wiarygodne w ich zbieżnym ogóle. Natomiast jeśli chodzi o wskazywanie przez daną ofiarę konkretnego sprawcy – polityka, celebryty czy bogacza – i szczegółów, to już jest żmudne zadanie wymiaru sprawiedliwości, aby ocenić tego obiektywność, co po latach od zdarzenia może być niewykonalne. Co jednak, jeśli na dnie tej puszkii rzeczywiście bulgocze kloaka w chwili, kiedy Ameryka broni swych imperialnych interesów w zaciętej międzynarodowej rywalizacji?

Ten gordyjski węzeł komplikuje się jeszcze bardziej możliwym wątkiem agenturalnym. Jeśli bliski Donaldowi Trumpowi były kongresman z Florydy, Matt Gaetz, jeszcze kilka tygodni temu mówił, że jego zdaniem Epstein zbierał kompromaty na rzecz obcego wywiadu celem zapewnienia poparcia amerykańskich i brytyjskich elit na rzecz wojny w Iraku, to czy zwierzał się z własnych domysłów, czy też był echem bardziej ugruntowanej u źródeł wiedzy? Wątek agentury jest tu zresztą założeniem mogącym doskonale racjonalizować całą

narodową, w tym względem Izraela – co jest dlań ewidentnym priorytetem – wychodząc jednocześnie do Amerykanów i mówiąc: „Wprawdzie w przeszłości CIA i Mosad maczały w tych bezeceństwach nieco swe palce i szantażowały nasze elity, ale zapewniam, że mam je już obie pod kontrolą i coś podobnego się nie powtórzy”? A Trump w 2017 r. rozporządzeniem prezydenckim rzeczywiście wypowiedział wojnę handlowi ludźmi.

Jeśli te mroczne wątki okazałyby się prawdziwe, to zapewne nie pozostałoby mu nic innego, jak rozpętać nieprzewidywalną w skutkach burzę lub – przeciwnie – ukreślić sprawę (i ideałom republikańskim zarazem) łeb, robiąc wszystko, co możliwe, aby dla osłody i ratowania sondaży przychylić Amerykanom gospodarczego nieba. Tego akurat autentycznie dla nich chce i w jego optyce – która naszą, a zwłaszcza Amerykanów być nie musi – zakopanie tej sprawy jest mniejszym złem w sytuacji bez dobrego wyjścia. Sytuacja ta jednak równie dobrze może w niedalekiej przyszłości kosztować republikanów utratę władzy.

PiS i Konfa: brać władzę czy czekać na kres Tuska



Piotr Semka

Przy łożu ciężko chorej koalicji 13 grudnia konfederaci i PiS-owcy, obserwujący polityczną agonię Tuska, łatwo mogą zapomnieć, że mają przed sobą wiele pracy domowej

Dwie największe partie opozycji – Prawo i Sprawiedliwość oraz Konfederacja – mają teraz niezłe używanie. Ekipa Tuska wyraźnie przeżywa kryzys, konflikty w łonie koalicji rozgrzewają uwagę mediów, a jeśli ktoś z opozycji ściąga oburzenie, to raczej Grzegorz Braun i jego Konfederacja Korony Polskiej niż partie Jarosława Kaczyńskiego i Sławomira Mentzena. Rosnące konflikty między Polską 2050 i PSL a Platformą Obywatelską tworzą

jednak nowy kontekst polityczny. Czy opozycja powinna myśleć o jakimś tymczasowym układzie politycznym z Szymonem Hołownią i Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem czy też twardo czekać na konstytucyjny termin nowych wyborów do Sejmu w 2027 r.?

ZAPAŚĆ PLATFORMY

„Od przegranych przez obóz liberalny wyborów prezydenckich Tuska w zasadzie nie ma. Nie chodzi nawet o to, że

nie występuje w mediach: członkowie jego władzy i jego partii narzekają na brak kontaktu z szefem [...] postarzał się? Zmęczył? Znudził się? Uwierzył w swój geniusz?” – to nie cytaty z „Gazety Polskiej”. Tak o liderze Platformy Obywatelskiej pisze „Gazeta Wyborcza”.

W obozie ideowym, który od ponad dwóch dekad traktował Donalda Tuska jako wyrocznię, dziś premier z Gdańska nie budzi już ciepłych uczuć. Liberalny guru – prof. Jan Zielonka – narzeka:



dotychczasowych koalicjantów: partię Nowoczesna i Inicjatywę Polską Barbary Nowackiej.

Jeśli w Platformie trwają jakieś dyskusje, to tylko o tym, jak uniknąć losu Ewy Kopacz. Coraz więcej polityków PO przypomina jej premierostwo i to, jak osoba operetkowej pani premier przyczyniła się do klęski wyborczej Platformy w 2015 r. Teraz w roli, którą wtedy odegrała Ewa Kopacz, występuje sam, niegdyś wielki Donald Tusk. I problem w tym, że nikt nawet nie ma pomysłu, kim zastąpić obecnego szefa rządu. Dlatego zjadliwe rady Marka Sawickiego z PSL: „Koledzy z PO, dobrze wam radzę, wymieńcie premiera już teraz. To ostatni dzwonek!” przechodzą bez większego echa.

Jedyny ewentualny kandydat do zastąpienia Tuska, czyli Radek Sikorski, nie wzbudza już specjalnego entuzjazmu w partii. Po pierwsze – nie ma zbyt silnego partyjnego zaplecza, a po drugie – przez wielu platformersów jest po prostu nielubiany i uważany za polityka nieodpowiedzialnego. A jeszcze inni pytają: „Niby czemu Sikorski miałby teraz chcieć być zarządcą masy upadłościowej po rządzie Tuska?”

Ta sytuacja głębokiego kryzysu Platformy i osobiście jej lidera – teoretycznie – powinna być alertem zarówno dla PiS, jak i Konfederacji. Tym bardziej że za chwilę – jak wszystko wskazuje – zostanie zaprzysiężony Karol Nawrocki i pole działania Donalda Tuska będzie jeszcze bardziej ograniczone. Kąśliwi publicyści wróżą Tuskowi, że jeszcze będzie wspominał z rozrzwinięciem Andrzeja Dudę. Karol Nawrocki na jego tle jawi się jako polityk z o wiele większym temperamentem – twardością fightera, który będzie narzucał rządowi tematy i na pewno nie będzie unikał zwarcia.

„Jestem prezydentem, na którego głosowało 10,5 mln Polaków” – powtarza w wielu wywiadach Nawrocki i widać, że czerpie z tej świadomości sporo pewnością siebie. Następcą Andrzeja Dudy może być punktem oparcia w tworzeniu nowej konstelacji. Jest przyjazny PiS, ale jednocześnie Konfederacja może postrzegać go jako kogoś, kto prowadzić będzie samodzielną politykę, bez wypełniania poleceń Jarosława Kaczyńskiego. Z ludowcami zawsze utrzymywał poprawne relacje,

a zwłaszcza od momentu, gdy PSL pomógł wybrać go na szefa IPN. W razie potrzeby będzie umiał znaleźć wspólny język nawet z Szymonem Hołownią.

CZY POKUSY ZAMIAENIĄ SIĘ W POLITYCZNE FAKTY?

Jeden z polityków PSL, który krytycznie patrzy na politykę swojej partii, tłumaczy: „Tacy ludzie jak Marek Sawicki w łonie PSL przypominają nieco erotomana gawędziarza. Uwielbiają dywagować w wywiadach z dziennikarzami na temat ewentualnej zamiany premiera Tuska na Władysława Kosiniaka-Kamysza, ale wystarczy, że Tusk popatrzy surowym okiem, i posłusznie stają do szeregu. Problem z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, a zapewne i z Szymonem Hołownią jest taki, że łatwo jest myśleć o zerwaniu z Tuskiem. Znacznie trudniej jest zdecydować się na taki krok w politycznym realu”. Te uwagi rozgoryczonego ludowca pokazują, jak rozliczne utarczki PSL i Polski 2050 z Platformą z jednej strony tworzą plotki o możliwo-

Jeśli w Platformie trwają jakieś dyskusje, to tylko o tym, jak uniknąć losu Ewy Kopacz

ści rozpadu Koalicji, a z drugiej strony wciąż wydają się być barierą nie do przebicia dla większości ludzi Hołowni i Kosiniaka-Kamysza.

Owszem, zdarzają się już takie incydenty jak wspólne przegłosowanie przez posłów Polski 2050 i PiS poprawek umożliwiających wykupowanie mieszkań komunalnych w polskich miastach poniżej 100 tys. mieszkańców, ale to wciąż odosobnione wypadki. Tyle że polityka co rusz przynosi kolejne przykłady napięcia między Platformą a dwoma partiami niegdyś Trzeciej Drogi. Oto w Senacie marszałek Małgorzata Kidawa-Błońska nie kryje, że ma ochotę odebrać Michałowi Kamińskiemu fotel wicemarszałka Senatu. Do jakiegoś działania może też zmusić Hołownię i Kosiniaka-Kamysza brutalna prawda najnowszych sondaży. W badaniach

„W polityce (polskiej) dominuje przypadek, emocje i kompletny brak racjonalności, a rząd Tuska zamiast rozwiązywać problemy Polaków – zajmuje się praniem własnych brudów i wewnętrzną reorganizacją”.

Sondaże wskazują, że reorganizacja rządu, która miała być okazją do wyjścia koalicji 13 grudnia z dołka, wzbudza zainteresowanie niewielu Polaków. Tak samo mało kto ekscytuje się informacją, że Platforma wchłonie dwóch

United Surveys dla Wirtualnej Polski PSL dostaje tylko 3,5 proc., a Polska 2050 jeszcze mniej – 2,8 proc. Dość podobny jest sondaż z 14 lipca, tym razem wykonany przez Ogólnopolską Grupę Badawczą. Patia Hołowni uzyskuje w nim jedynie 3,38 proc., a PSL – 3,13 proc. Z rozmaitych przecieków z rozmów w apartamencie Adama Bielana między Jarosławem Kaczyńskim a Szymonem Hołownią i Michałem Kamińskim wynika, że obie partie szukają jakiegoś rozwiązania, które dałoby im komfort przedłużenia tego Sejmu przynajmniej o dwa lata. Obaj liderzy są przekonani, że w ciągu tych dwóch lat do wyborów w 2027 r. będą umieli jakoś odbudować pozycje swoich partii. PiS z takich spotkań z przedstawicielami Polski 2050 i PSL jest zadowolony, bo kończy to epokę politycznej izolacji ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego. Jednak w samej partii nie ma aż tak wielu zwolenników wchodzenia w koalicję z PSL i Hołownią.

„Niech się Tusk wypali do końca”. Taka opinia jest bardzo popularna w największej partii opozycji. Z kolei Konfederacja prowadzi jak zwykle swoją politykę oczekiwania na wielki samodzielny sukces w 2027 r. Niedawno Przemysław Wipler, główny strateg konfederatów, w czasie wizyty w Radiu Zet od niechcenia rzucił, że Konfederacja mogłaby w przyszłości utworzyć sojusz z Koalicją Obywatelską. Oczywiście Wipler jest na tyle doświadczonym politycznym lisem, by zaraz dodać, że „wymarzony scenariusz konfederatów to rządy bez jakiegokolwiek koalicjanta”. Ale sygnał pragmatyzmu Konfy został wysłany.

W podobnym tonie wypowiadał się na niedawnym kongresie PiS w Przysusze sam Jarosław Kaczyński. Podkreślał on, że partia musi walczyć o wynik ponad 40 proc., aby móc rządzić samodzielnie.

Obie wypowiedzi doskonale pokazują, że dwie największe partie opozycji nie mają na razie ochoty na żadne zbliżenie. PiS ze swej strony ma niedobre doświadczenia koalicyjne z lat 2005–2007, gdy nie najlepiej rządziło mu się razem z Andrzejem Lepperem i Romanem Giertychem, a Konfederacja z kolei wciąż się boi, że PiS będzie traktował ją jak młodszego partnera, a w najgorszym wypadku, że będzie chciał Konfederację pożreć. Nieprzypadkowo poseł Michał Wawer

w trakcie wywiadu w studiu Onetu ponuro przepowiadał: „Zobaczmy jeszcze wiele prób zniszczenia Konfederacji”.

Ale największą przeszkodą w myśleniu o jakiejś układance PiS-Polska 2050-PSL-Konfederacja jest niechęć obu opozycyjnych partii do brania na siebie choćby części fatalnego odium, które kojarzy się z koalicją 13 grudnia. Oczywiście są tacy, którzy mówią, że samo utrzymywanie się u władzy Donalda Tuska jest dla Polski niszczące, ale to tylko efektowny slogan. W praktyce istnienie takiej tasiemcowej koalicji od Mentzena poprzez Kaczyńskiego do Kosiniaka-Kamysza i Hołowni byłoby mordęgą. Niedawno mogliśmy obserwować w Niemczech, jak krótkotrwała była tzw. koalicja światła ulicznych, czyli sojusz SPD, FDP i Zielonych. A co dopiero mówić o Polsce, gdzie konflikty polityczne są nieporównywalnie ostrzejsze.

PIS MA NAD CZYM MYŚLEĆ

Wygrana Karola Nawrockiego była dla partii Jarosława Kaczyńskiego jak ułaskawienie przed wyrokiem. Dopiero po sukcesie z niedopuszczeniem Rafała Trzaskowskiego do Pałacu Prezydenckiego widać, jak poważne były obawy pisowców, że w sytuacji domknięcia układu władzy zostaną aresztowani lub że ich partia zostanie zdelegalizowana. Dlatego teraz PiS delektuje się ucieczką spod platformerskiego noża.

Tyle że wprowadza to partię w stan pewnej drzemki. Nacieszono się już wygraną Nawrockiego, a teraz można delektować się degrengoladą Tuska i wyobrażać sobie powrót do władzy za dwa lata. Pytanie tylko, kto w PiS zastanawia się, z jakim programem partia ta ma wrócić do rządzenia. Zadania związane z wyzwaniem dotyczącymi strategii bezpieczeństwa, pozycji Polski w układzie sił w Europie czy rozwiązania choćby tak prostego dylematu, jak kwestia dopływu pracowników imigracyjnych niezbędnych dla polskiej gospodarki – to wszystko są problemy, nad którymi teraz powinny solidnie pracować zespoły programowe.

I kolejne pytanie: Kto ma być liderem partii w najbliższej kampanii parlamentarnej? Pozostawianie Jarosława Kaczyńskiego u władzy powoduje, że zarówno Mateusz Morawiecki, jak i Przemysław

Czarnek wciąż mogą myśleć o schedzie po wielkim prezesie. Ale rozstrzygnięcia nie ma. Przemysław Czarnek postawiony między propozycją objęcia stanowiska szefa Kancelarii Prezydenta Nawrockiego a pozostaniem wiceprezesem PiS wybrał jednak to drugie. Teoretycznie z racji okoliczności, że Czarnek znacznie lepiej niż Morawiecki dogaduje się z Konfederacją, to polityk z Lublina ma większe szanse na nominację na kandydata na premiera w przyszłych wyborach. Ale dopóki partią rządzi Jarosław Kaczyński, dopóty można się spodziewać, że będzie starał się utrzymywać jednak stan równowagi między Czarnkiem a Morawieckim. PiS ma teraz czas, aby zastanowić się nad wieloma rzeczami. Jak rozmawiać z Konfederacją? Jak rozmawiać z PSL? Na ile uznać Szymona Hołownię za wiarygodnego partnera? I wreszcie, całkiem realne pytanie: Jak doprowadzić do synergii między PiS a Pałacem Prezydenckim? Bo dziś już widać, że Nawrocki będzie życzliwym, ale twardym partnerem we wszystkich rozmowach z PiS. A niektórzy nawet wróżą, że może wywierać wpływ na największą partię opozycyjną ponad głową Jarosława Kaczyńskiego.

Z tymi dwoma latami do wyborów jest trochę jak z usypiającą perspektywą sześciu miesięcy do matury. Niby wszyscy uczniowie ostatnich klas liceów wiedzą, że trzeba się systematycznie uczyć, ale to bardzo często tylko teoria. To samo zresztą dotyczy Konfederacji. Czy ta partia ma naprawdę kadry pozwalające jej na obsadzenie wszystkich ministerstw w razie wygranej? Dodatkowo Konfederaci są w sytuacji ukrytej rywalizacji z Grzegorzem Braunem, który w niektórych sondażach dochodzi nawet do 8 proc. Niesłuchanie medialny Braun ma swoje porachunki ze Sławomirem Mentzenem i z przyjemnością przekabaci jakąś część obecnych wyborców Konfy na swoją rzecz. Tak więc przy łożu ciężko chorej koalicji 13 grudnia konfederaci i PiS-owcy, obserwując polityczną agonię Tuska, łatwo mogą zapomnieć, że mają przed sobą wiele pracy domowej. A gapienie się na schyłek Platformy z wyraźną schadenfreude to rozrywka miła, ale nie poprawiająca przygotowania prawej strony do przejęcia władzy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jak pobudka, tylko z nami! Zapraszamy do Republiki na pierwszy program śniadaniowy w Polsce. Styl życia, zdrowie, kultura, sztuka, edukacja, ciekawostki, aktywność fizyczna, historia, rodzina, prognoza pogody i kącik kulinarny. **Zapraszają Ilona Januszevska i Karol Kus.**

Od poniedziałku
do piątku

5:30

sobota i niedziela

7:05

REPUBLIKA
#wstajemy!

 www.radiotvrepublika.pl

 [Telewizja Republika](https://www.youtube.com/TelewizjaRepublika)

 [@RepublikaTV](https://twitter.com/RepublikaTV)

 [RepublikaTV](https://www.facebook.com/RepublikaTV)

 [@RepublikaTV](https://www.instagram.com/RepublikaTV)

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multiplexie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multiplex dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multiplexach z Ormontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzyć na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.



SKANUJ KOD QR
**WSPIERAJ
DOM WOLNEGO
SŁOWA**

Kolejne sondaże wskazują, że umownie rozumiana prawica (PiS, Konfederacja, Konfederacja Korony Polskiej) miałyby w nowym Sejmie większość, a nawet że jest już blisko większości konstytucyjnej. Potrzeba do tego 307 głosów. Pod próg spadają w kolejnych badaniach Polskie Stronnictwo Ludowe i Polska 2050 – to raczej stały trend. Różnie wygląda sytuacja Lewicy i Razem – w jednych badaniach rzutem na taśmę do Sejmu trafiają, w innych lądują pod progiem.

Koalicja Obywatelska częściej jest wciąż na pierwszym, czasem na drugim miejscu. Partia Grzegorza Brauna, która od wyborów prezydenckich zaczęła być uwzględniana w sondażach, notuje wyniki nawet lepsze niż jej lider w pierwszej turze. W świeżym sondażu CBOS KKP zdobyła 8 proc., z kolei w sondażu OGP – ponad 7 proc.

Na podstawie takich wyników większość komentatorów automatycznie przyjmuje, że niemal pewnym układem w nowym Sejmie – zwłaszcza gdyby obecna kadencja została skrócona – byłby ten z PiS i Konfederacją. Przeważająca część badań pokazuje, że te dwa ugrupowania miałyby wystarczająco wiele miejsc w izbie niższej, aby utworzyć stabilną większość. Czy jednak rozsądnie jest robić takie automatyczne założenie?

Podczas VII Kongresu PiS Jarosław Kaczyński w swoim wystąpieniu konsekwentnie odmawiał uznania, że jego partia w ciągu ośmiu lat rządów zrobiła cokolwiek źle (szeroko omawiałem przemówienie prezesa w wydaniu „Do Rzeczy” nr 28/2025 sprzed dwóch tygodni). Znalazł się tam charakterystyczny fragment, kiedy to Jarosław Kaczyński mówił o skutkach prowadzonej przez PiS polityki pandemicznej (która jego zdaniem była konieczna i bezalternatywna) i wspominał, że z powodu niezadowolenia, które wzbudziła, po prawej stronie wyrosły „pewne siły”, które wcześniej „nie miały większego znaczenia”. W ten to właśnie pogardliwy i jawnie niechętny sposób lider PiS odniósł się do potencjalnego koalicjanta – Konfederacji – choć tym razem nie wymieniając jej z nazwy. Wspominał o niej w jeszcze jednym miejscu – na sam koniec przemówienia, gdy przestrzegł członków partii przed przekonaniem, że wystarczy 30 proc. plus Konfederacja. „Nie! – grzmiał prezes wybrany po raz siódmy. – Ma być

PiS nie tęskni za Konfederacją



Łukasz Warzecha

Jeśli przyjrzymy się uważniej wariantowi przymierza rządowego między PiS a Konfederacją, to zobaczymy, że nie jest ono komfortowe dla żadnego z tych ugrupowań. Przynajmniej – to kluczowe zastrzeżenie – dopóty, dopóki na czele PiS stoi Jarosław Kaczyński i dopóki to on rozdaje karty oraz kształtuje linię swojego ugrupowania

40 proc.!” 40 proc. zaś oznaczałoby samodzielne rządy.

Trudno jednak założyć, żeby Jarosław Kaczyński był do tego stopnia oderwany od realiów, aby wierzył, że powtórzą się lata 2015 (gdy PiS zdobył samodzielną większość jedynie ze względu na niewiejsze do Sejmu lewicy) czy 2019. Dzisiaj powtórkę z samodzielnych rządów PiS mogą zakładać tylko najwięksi marzyciele wśród jego wielbicieli albo polityków. A to oznacza, że trzeba będzie dobrać sobie koalicjanta. I z tym PiS ma problem.

WSZYSTKIM NIEWYGODNIE

Jeśli przyjrzymy się uważniej wariantowi przymierza rządowego między PiS a Konfederacją, to zobaczymy, że nie jest ono komfortowe dla żadnego z tych ugrupowań. Przynajmniej – to kluczowe zastrzeżenie – dopóty, dopóki na czele PiS stoi Jarosław Kaczyński i dopóki to on rozdaje karty oraz kształtuje linię swojego ugrupowania.

Lista punktów zbieżnych pomiędzy oboma ugrupowaniami nie jest bardzo krótka, ale problem polega na braku wiarygodności PiS. Wiele bowiem z tych punktów – np. dotyczących Zielonego Ładu czy imigracji – ma dzisiaj wartość jedynie retoryczną, podczas gdy w czasie sprawowania rządów PiS podążał w tej

sprawie w głównym nurcie. Jest natomiast wiele punktów sprzecznych – przede wszystkim pomiędzy PiS a Nową Nadzieją Sławomira Mentzena, która ma znacznie mocniejszy rys wolnościowy niż Ruch Narodowy. PiS był i pozostaje partią daleko posuniętego etatyzmu i paternalizmu, głoszącą potrzebę mocnego zaangażowania państwa w gospodarkę, a opór wobec tych postaw jest charakterystyczny dla znacznej części elektoratu Konfederacji.

Przy tym ugrupowanie Mentzena i Bosa, choć w sondażach wciąż mniej więcej dwa razy słabsze niż PiS, miałyby w ewentualnych negocjacjach koalicyjnych pozycję paradoksalnie mocniejszą – o ile PiS nie miałyby alternatywy. Po pierwsze właśnie dlatego, że w takiej sytuacji bez Konfederacji nie byłoby rządu. Po drugie – ponieważ dla ugrupowania takiego jak Konfederacja, wyrosłego na wizerunku antysystemowym, pozostanie jeszcze przez jakiś czas poza strukturami władzy nie byłoby dramatem. Ba, mogłoby nawet w dalszym ciągu partie budować. Po trzecie – ponieważ dla Konfederacji rezygnacja z udziału w koalicji nie byłaby tragedią, podczas gdy dla PiS wygranie kolejnych wyborów czy nawet zdobycie drugiego miejsca, ale niestworzenie rządu po czterech latach demolowania państwa przez Koalicję Obywatelską pod kierownictwem Donalda Tuska

byłoby znacznie bardziej obciążające. PiS zacząłby wtedy oczywiście grę w obwiniania konfederatów i można mieć już dzisiaj pewność, że jeśli do takich negocjacji w przyszłości dojdzie, to wątek spychania winy na drugą stronę za niestworzenie rządu byłby bardzo mocny. Tak jak to się stało w 2005 r., gdy nie doszło do powstania PO-PiS. Tyle że w tej grze pozycja PiS nie byłaby już tak mocna jak wcześniej. Wiarygodność tego ugrupowania po prawej stronie jest poważnie nadszarpnięta dwiema kadencjami sprawowania władzy, podczas gdy wiarygodność Konfederacji nie miała się gdzie zużyć. Za to właśnie Konfederacja wielokrotnie zapowiadała, że podejmie się współzrządzenia z każdym, kto zapewni realizację wystarczająco dużej części jej programu.

PRÓBA SIŁ

Proszę sobie wyobrazić sytuację, w której ugrupowanie Mentzena i Bosaka stawia PiS warunki i te nie zostają spełnione. Kto poza twardym elektoratem PiS zostanie uznany za bardziej wiarygodnego: czy Krzysztof Bosak, stwierdzający, że niestety PiS nie był skłonny do zapisania ważnych dla Konfederacji punktów w umowie koalicyjnej, czy też Jarosław Kaczyński, Jacek Sasin albo Mateusz Morawiecki, powtarzający w tej sprawie propagandę skierowaną przeciwko Konfederacji, którą serwowała państwowa telewizja przed wyborami w 2023 r.? To oczywiście pytanie retoryczne.

Podobnie jasne jest, że sprzyjający PiS komentatorzy będą wówczas twierdzić, że Konfederacja powinna ustąpić „w imię dobra Polski”, ale taki szantaż nie będzie już robił wrażenia na wyborcach niepiśowskiej prawicy. Komentatorzy bliscy PiS mówią dzisiaj już tylko do twardego elektoratu tego ugrupowania. Dlaczego zresztą miałyby ustąpić właśnie Konfederacja, a nie skostniały, tkwiący w marazmie PiS, który silny jest wyłącznie porażającą słabością swoich przeciwników?

Konfederacja może zaś postawić wyśrubowane warunki. Byłyby wśród nich i te dotyczące spraw programowych – podatki, zniesienie ograniczeń wolności obywatelskich, twarde postawienie spraw w wielu dziedzinach dotyczących relacji z UE czy Ukrainą – i te dotyczące spraw personalnych. Trudno np. wyobrazić sobie wspólny rząd, w którym jakkolwiek funk-

Prezes PiS uważa, że sam staż w polityce powinien dawać mu uprzywilejowaną pozycję, a już szczególnie wobec pretendentów do miana prawicy

cję sprawowaliby Mateusz Morawiecki, Jacek Sasin czy Mariusz Kamiński.

Dla Jarosława Kaczyńskiego – w 2027 r. będzie miał już 78 lat – byłaby to sytuacja wprost traumatyczna. Doświadczenie koalicji z lat 2005–2007 z Samoobroną Andrzeja Leppera i Ligą Polskich Rodzin Romana Giertycha sprawiło, że prezes PiS ma alergię na rządy koalicyjne, a już zwłaszcza na te, w których partner ma pozycję na tyle mocną, że może stawiać warunki. Tu warto przypomnieć sobie reakcję prezesa na deklarację Sławomira Mentzena sprzed kilku tygodni, że gotów jest spotkać się i rozmawiać w sprawie „rządu technicznego”. Pytany o te słowa przez dziennikarzy Jarosław Kaczyński z wyższością stwierdził, że „jest jednak pewna proporcja odnosząca się i do wielkości klubu, i do doświadczenia politycznego”. Poza tym – oznajmił prezes PiS – „ja jestem z całkiem innego pokolenia, już raczej waszych [dziennikarzy] dziadków, a nie rodziców, i to ma jednak jakieś znaczenie”.

To znamienne słowa. Dla Jarosława Kaczyńskiego sama konieczność negocjowania z kimś takim jak Sławomir Mentzen, a co dopiero ulegania jego żądaniom i – o zgrozo! – rozmawiania jak równy z równym z przedstawicielem właściwie bezpośredniej konkurencji politycznej, byłaby również psychologicznym dramatem. Prezes PiS uważa bowiem – czemu wielokrotnie dawał wyraz – że sam staż w polityce powinien dawać mu uprzywilejowaną pozycję, a już szczególnie wobec pretendentów do miana prawicy. Ten świat się jednak kończy i nawet otoczenie Jarosława Kaczyńskiego widzi to coraz wyraźniej.

LEWAR NA KONFEDERACJĘ?

Dlatego nie można wykluczyć, że spotkanie z Szymonem Hołownią, poza sondowaniem jego intencji dotyczących aktualnej

sytuacji, miało również na celu wybadanie, jakie są możliwości przyszłej współpracy i „wyhodowania” sobie koalicjanta znacznie potulniejszego oraz łatwiejszego niż Konfederacja. Dzisiaj wydaje się to fantasmagorią, szczególnie wobec notowań Polski 2050 oraz działań części jej polityków (czy jednak taki np. Mikołaj Dorożała, wiceminister klimatu i zaprzysięgły wróg myśliwych, nie byłby dla Jarosława Kaczyńskiego idealnym sprzymierzeńcem?). Ale do roku 2027 jest jeszcze wiele czasu. PSL, choć nigdy nie weszło w koalicję z ugrupowaniem prawicy, jest przede wszystkim pragmatyczne, a Władysław Kosiniak-Kamysz, wpatrzony w Donalda Tuska, nie jest wiecznym prezesem. Polska 2050 natomiast może przed kolejnymi wyborami objawić się w nowej roli, zwłaszcza że postawa marszałka w sprawie zaprzysiężenia Karola Nawrockiego – autentycznie propaństwowa, niezależnie od motywacji – daje PiS asumpt, aby przedstawiać go jako wartościowego potencjalnego partnera. Wszak nie o takich ludziach Jarosław Kaczyński wyrażał się ciepło. W 2010 r. mówił o Józefie Oleksym „polski lewicowy polityk starszo-środkiego pokolenia”, odżegnując się od określenia „postkomuniści”, które wcześniej w uwielbieniu stosował. Miało to wtedy oczywiście kontekst wyborczy – w 2010 r. Jarosław Kaczyński kandydował (bezsukcesyjnie) na prezydenta po katastrofie smoleńskiej i starał się zjednać sobie lewicowy elektorat. Wtedy istniała pragmatyczna potrzeba polityczna i teraz istnieje również.

Nawet gdyby Jarosław Kaczyński nie traktował serio wariantu wchodzenia w koalicję z jakąś wersją ugrupowania Szymona Hołowni czy PSL, może przystosować wykorzystanie ich jako lewara na Konfederację – tak aby pokazać jej liderom, że nie mogą żądać zbyt wiele, bo on ma inne możliwości. To jednak może się okazać zwodnicze – Konfederację stać będzie wtedy, żeby powiedzieć „sprawdzam” i spokojnie patrzeć, co się stanie.

Te rozważania opierają się oczywiście na jednym założeniu: że za dwa lata nadal to Jarosław Kaczyński będzie liderem PiS. To zaś wcale nie jest pewne. Gdy obecny prezes z bieżącego życia politycznego zniknie, sytuacja zmieni się radykalnie. Dzisiaj bowiem kształtują je w dużej mierze jego prywatne ambicje, opory i obsesje.



Rafał A. Ziemkiewicz

Nie ulega wątpliwości, że Grzegorz Braun świadomie postanowił antyżydowskie emocje zagospodarować i w tym celu stać się dla establishmentu i mediów „naczelnym antysemitą RP”, co te oczywiście chętnie podchwyciły, gdyż bardzo takiego totemu potrzebują. Jednak Braun przekombinował

Sprawa stała się tak głośna, że czytelnik nie mógł dotąd o niej nie słyszeć, ale dla porządku przypomnijmy słowa Grzegorza Brauna, po których Łukasz Jankowski przerwał wywiad w Radiu Wnet. „Auschwitz z komorami gazowymi to niestety fejk” – oznajmił lider Konfederacji Korony Polskiej. Nie była to jedyna jego horrendalna wypowiedź ani aktywność w ostatnich dniach, ale przykryła wszystkie inne: i zablokowanie z grupą zwolenników przejazdu rabinowi Schudrichowi w Jedwabnem, i przypomnienie w tym samym wywiadzie, nieco wcześniej, o żydowskich „mordach rytualnych” na chrześcijańskich dzieciach, jakby były one faktem, a nie czarną legendą, wielokrotnie od czasów średniowiecza dezawuowaną zarówno przez władze kościelne, jak i historyków. Negowanie istnienia komór gazowych, opowieść, że Holocaust to współczesne zmyślenie, a dowody, iż miał miejsce naprawdę, takie jak obóz-muzeum Auschwitz, są tylko wykonaną już po wojnie atrapą, krąży bowiem uporczywie po Zachodzie, a zwłaszcza po świecie muzułmańskim, i Braun swoim krótkim twierdzeniem wpisał się w dyskurs dobrze znany i surowo potępiany.

Szybko okazało się, że słowa wypowiedziane w Radiu Wnet nie były przejęzyczeniem ani przypadkiem – po tym, gdy spadła na niego lawina krytyki, Braun konsekwentnie swe stanowisko podtrzymuje, ba, nawet „wyzywa na debatę” tych, którzy się z nim nie zgadzają. Zonglując szczegółami, anegdotami, źród-

Grzegorz Braun: redukcja

dłami – w tym, co szczególnie bolesne, fałszując raporty Witolda Pileckiego – rozmywa umiejętnie oczywiste fakty i zasiewa wątpliwości. Żydów nie gazowano w Auschwitz? Tak, bo głównie robiono to w Birkenau (czyli też w Auschwitz).

„Cyklon B” nie był przeznaczony do trucia ludzi, lecz do dezynsekcji? Tak, każdy wie, że pierwotnie po to go produkowano, zanim SS znalazła dlań nowe zastosowanie. Pokazywane w muzeum komory gazowe nie pochodzą z czasów



wojny? Fakt, zostały zrekonstruowane, bo uciekając, Niemcy je wysadzili, by zatrzeć ślady swych zbrodni. Z tego samego powodu nie widać komór na zdjęciach lotniczych z roku 1945. I tak dalej – to znana socjotechnika zasypywania

dziesiątkami mniej lub bardziej naciąganych wątpliwości, stosowana w życiu publicznym wielokrotnie. Ostatnio przez Romana Giertycha, „udowadniającego” tak sfalszowanie wyborów, wcześniej przez Antoniego Macierewicza. Stosując

ją, można w oczach swych wyznawców „udowodnić” wszystko i utrzymać ich w sekciarskim przekonaniu, że cały świat został opanowany przez oparty na wielkim kłamstwie spisek, a tylko oni jedni mają w posiadaniu Prawdę.

POTRZEBNY TOTEM

Pozostawiając na boku światową popularność negowania Holocaustu i jej socjologiczne przyczyny, zwróćmy tylko uwagę, że wszystkim, którzy to robią, bardzo sprzyja nieszczerne prawo o „kłamstwie oświęcimskim”, które wielokrotnie na tych łamach krytykowaliśmy. Przeciętny człowiek odruchowo rozumie tę sytuację tak, że skoro za kwestionowanie jedynie słusznej, obowiązującej wersji historii grożą kary, że ludzi, którzy to robią, cenzuruje się i zastrasza – to widocznie „coś w tym musi być”. Reszta jest kwestią emocji, które otwierają odbiorców na „zakazany” przekaz.

Nie ulega wątpliwości, że Grzegorz Braun świadomie postanowił antyżydowskie emocje zagospodarować, i w tym celu stać się dla establishmentu i mediów „naczelnym antysemitą RP”, co te chętnie oczywiście podchwyciły, gdyż bardzo takiego totemu potrzebują. Jest to niestety polityczne „win-win”: krytyka Brauna, im bardziej zmasowana i ostra, tym bardziej go uwiarygadnia w oczach radykałów, a z kolei jego kolejne horrendalne wypowiedzi i zachowania uwiarygadniają dyskurs liberalno-lewicowych elit o złych „populistach”, których za żadną cenę, także łamania elementarnych praw obywatelskich i zasad demokracji, nie wolno dopuścić do władzy czy choćby wpływu na życie publiczne.

Zwolennicy Brauna nie chcą tego przyjąć do wiadomości, ale ich przywódca, kreując się na wroga wszelkiego „żydostwa”, w istocie oddaje fantastyczne usługi tym kręgom amerykańskich Żydów, które nie myślą rezygnować ze złupienia Polski na grube miliardy pod pretekstem haraczki za „mienie bezspadkowe po ofiarach Holocaustu”. Sytuacja, w której Polska z jednej strony potrzebuje Ameryki Trumpa, z drugiej akurat Trump właśnie jest jednym z najbardziej proizraelskich i podatnych na wpływy lobby żydowskiego prezydentów USA i daje temu lobby znaczny wpływ na

FOT. PETER POLAK / PAP

formułowanie amerykańskich oczekiwań wobec Polski, jest dla nas wystarczająco trudna i bez ekscesów Brauna. Reakcja nowego ambasadora USA na jego zachowanie w Jedwabnem – powiedzmy sobie szczerze, bardziej w stylu gubernatora w kolonii niż ambasadora w kraju zaprzyjaźnionym – daje tego przedsmak. Bezsensowna agresja, okazana rabinowi podczas żałobnej ceremonii, skutecznie uodparnia świat na historyczne argumenty – składną niezbite, ale w światowym dyskursie nie istniejące – że opowieść o tej zbrodni, zmyślona przez Grossa, nagłośniona przez lobby „447” i – niestety – autoryzowana za prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego przez państwo polskie, zaprzecza historycznym faktom.

Braun doskonale wpisuje się też w potrzeby propagandowe liberalno-lewicowego „salonu”, zarówno jego polskiej ekspozytury, jak i zachodniej centrali. Można powiedzieć, że swym antysemickim zacietrzewieniem legitymizował on z mocą wsteczną 35 lat starań michnikowszczyzny o uniemożliwienie Polakom swobodnego wyrażania opinii i korzystania z elementarnego prawa demokracji, którym jest wybór takich rządzących, jakich chcą wyborcy, a nie tych „autoryzowanych” przez oświecone elity. Starania te, prowadzone od samego zarania III RP, uzasadniał przecież w swej publicystyce Michnik (i cały legion jego naśladowców) zupełnie otwarcie twierdzeniem, że w Polakach tkwią głęboko czarnosecinnie, „endeckie” żywioły, które raz nieopatrznie uwolnione, nieuchronnie doprowadzą w Polsce do pogromów, „państwa wyznaniowego” i faszyzmu – dlatego nie wolno Polakom dać pełnej wolności, zanim „pedagogiką wstydu” nie dokona się liberalnej „pierekowki duszej” w duchu „idei europejskiej” i postępowych wartości. Do tego czasu oświecone elity muszą nad tym ciemnym polskim żywiołem trzymać straż, a zachodnie demokracje liberalne – wspierać je w tym wszelkimi sposobami, przytykając oczy na pewne odstępstwa od zasad, do których dążymy, ale na które na obecnym „etapie” jeszcze tu za wcześniej.

Przez wspomniane 35 lat tworzono na potrzeby tej linii wiele propagandowych totemów „polskiego ciemnogrodu” – począwszy od roku 1990, wyciągnę-

Braun chce mieć wierną sektę, spojoną wiarą, że cały zewnętrzny świat to jedno zło i spisek. Jednak tego nie da się pogodzić z pozyskaniem poparcia na poziomie choćby trzyprocentowego progu, uprawniającego do budżetowej dotacji

cia przez „Gazetę Wyborczą” z niebytu Bolesława Tejkowskiego – ale wszystkie one miały zasadniczą wadę. Tejkowski, Maciej Giertych, Bubel, Bryczkowski etc. pozostawali zawsze na politycznym marginesie, w procedurach demokratycznych w ogóle nie istnieli, i przyklejanie ich do prawicowej opozycji działało słabo. Można było powiedzieć, że przecież tego rodzaju ludzie są wszędzie.

Teraz wreszcie dostał Michnikowy salon „polskiego antysemity”, o którym można powiedzieć, że cieszy się społecznym poparciem – 6 proc. w niedawnych wyborach prezydenckich, a w jednym z ostatnich sondaży partyjnych (jeszcze przed omawianymi tu ekscesami) aż 7,6 proc. Propaganda władzy nabrała rozpędu, nabrzmiała nieustającymi żadaniami, by wszyscy się od Brauna odcinali, od oskarżeń, że się nie dość odcinają, i ciągłego wyliczania na jednym oddechu – jak to wykonał Michnik na „festiwalu literackim” Olgi Tokarczuk – „Braun, Bąkiewicz, Menzten i Nawrocki”. Braun na tym medialnie rośnie i bez wątpienia przekraczając granice, których nie odważył się dotąd przekroczyć nikt, nawet Korwin-Mikke, na to właśnie liczył.

W BUTACH KORWIN-MIKKEGO

Na szczęście rozgłos medialny, czego przywołany tu nie przypadkiem Korwin-Mikke jest najlepszym dowodem, nie przekłada się automatycznie na popularność. Antyżydowskie emocje, na które nastawił swój polityczny żagiel Braun, owszem, narastają – Polacy są coraz bardziej zirytowani nieuzasadnionymi żydowskimi roszczeniami do „mienia bezspadkowego”, oburzają ich bezkar-

ność izraelskiego ludobójstwa w Gazie i obłuda, z jaką traktuje je zachodni establishment, gniew budzi uparte kreowanie się na jedyne ofiary Hitlera, z oczywistą krzywdą dla nas, a szczególnie kłamliwe przypisywanie Polakom współodpowiedzialności za zbrodnie nazizmu. Jednak żadna z tych emocji nie należy do tego, co polityczny marketing nazywa „topics”, czyli do kryteriów, podług których się głosuje. Niechęć do Żydów nie rozwiązuje nikomu żadnego realnego problemu, a w polityce stawiamy na tych, w których widzimy takie rozwiązania.

Korwin-Mikke wypracował specyficzny sposób funkcjonowania na scenie publicznej: byle o mnie mówiono, choćby nawet najgorzej. Dlatego, ilekroć przestało się o nim mówić, dokonywał kolejnego przekroczenia: kobiety są za głupie, żeby głosować, wprowadźmy karę chłosty, wróćmy do osobnej edukacji dla chłopców i dziewczynek... Rozgłos się po każdym takim wysoku wzmagął, ale notowania spadały: dziennikarze żartowali, że jak Korwin-Mikkemu za dobrze idzie, dokonuje „korekty notowań”, żeby go przypadkiem gdzieś nie wybrano i nie obciążono odpowiedzialnością za cokolwiek. Tak eskalując, w końcu zaatakował niepełnosprawne dzieci i podważył potępienie dla seksu z nieletnimi, i wtedy Konfederacja musiała go politycznie zezłomować.

Braun, jak się wydaje, powtarza jego drogę. Chce mieć wierną sektę, spojoną wiarą, że cały zewnętrzny świat to jedno zło i spisek. Jednak tego nie da się pogodzić z pozyskaniem poparcia na poziomie choćby trzyprocentowego progu, uprawniającego do budżetowej dotacji. Poczekamy na przyszłe badania opinii publicznej, ale wydaje się, że lider Konfederacji Korony Polskiej, uniesiony wynikiem wyborczym – i wcale nie wiedząc, czy uzyskał go dzięki antyżydowskiej retoryce czy pomimo niej – przekombinował. Jak się już rzekło, na antysemityzmie (ani na okazywaniu go, ani na przypisywaniu przeciwnikom) nikt dotąd u polskiego wyborcy niczego nie ugrał i nie widać powodu, dla którego nagle miałyby się to zmienić.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

O badaniach naukowych dotyczących komór gazowych w Auschwitz czytaj na str. 47.



Arkadiusz Siwko

System bezpieczeństwa europejskiego jeszcze nigdy po 1989 r. nie został poddany takiej próbie, jak podczas trwającej agresji Rosji na Ukrainę. Przed jakimi wyzwaniem staje Karol Nawrocki jako zwierzchnik Sił Zbrojnych?

Prezydent Polski jest w polskim systemie konstytucyjnym nie tylko głową państwa, symbolizującym na zewnątrz państwo polskie, lecz także zwierzchnikiem Sił Zbrojnych RP. Wynikają z tego określone kompetencje Prezydenta RP w zakresie czuwania nad bezpieczeństwem Polski i kreowania naszej narodowej strategii w tym względzie.

System bezpieczeństwa europejskiego i miejsce w nim Polski jeszcze nigdy po 1989 r. nie został poddany takiej próbie, jak podczas trwającej agresji Rosji na Ukrainę. Jesteśmy dzisiaj krajem przyfrontowym. W tym właśnie okresie na czele państwa polskiego staje dzisiaj Karol Nawrocki. Przed jakimi najważniejszymi wyzwaniami związanymi z bezpieczeństwem naszego kraju staje nowy Prezydent RP?

1. Wypracowanie aktualnej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego i sformułowanie założeń interesu narodowego w obecnej sytuacji Polski.

Prace nad nową Strategią Bezpieczeństwa Narodowego mają dzisiaj charakter priorytetowy. Andrzej Duda zostawił po sobie rozpoczęte prace nad tym dokumentem. Koalicja rządząca nie spieszyła się z pracami nad wytycznymi pozostawionymi przez prezydenta, zapewne licząc na wygraną Rafała Trzaskowskiego. Po wyborach prezydenckich już nie może dalej zwlekać. Prezydent Karol Nawrocki musi dokonać przeglądu wytycznych opracowanych przez ustępującego prezydenta i określić wyraźnie swoje priorytety w tym względzie.

Dokument, którym jest Strategia Bezpieczeństwa Narodowego, jest najważ-

niejszym dokumentem konstytucyjnym określającym warunki bezpieczeństwa Polski, najistotniejszym dokumentem państwa polskiego określającym miejsce Polski w Europie i świecie pod kątem naszego bezpieczeństwa. Nie można o tym zapominać. Określa, jakie są cele narodowe naszej ojczyzny i jak powinniśmy je osiągnąć. Jest deklaracją woli i intencji państwa w obronie swojej suwerenności. Ta Strategia będzie jednym z pierwszych dokumentów prezydenckich konstytuujących prezydenturę Karola Nawrockiego.

2. Ułożenie na zasadach partnerskich relacji z Ukrainą.

W relacjach z Ukrainą poszło za daleko. Doszło do tego, że prezydent Duda nazywany był w obiegu społecznym wiceprezydentem Ukrainy. Ewidencja naruszone zostały proporcje pomiędzy naturalną pomocą dla broniącego się przed bezprawną agresją państwa i społeczeństwa

Potrzeba polskiej polityki europejskiej w nowym wydaniu. Wyjścia z roli blokera i wejścia w rolę partnera broniącego własnego interesu. Przede wszystkim z punktu widzenia bezpieczeństwa Polski. Musimy jako państwo poważnie postawić sprawę dostępności dla Polski programów i środków europejskich na obronność. A są one niemałe. Jeżeli Unia Europejska ma działać, to jednym z warunków jest równoprawny dostęp do środków na obronność. A dla kraju potencjalnie frontowego, jakim jest Polska, muszą one być tym bardziej znaczące i tym bardziej dostępne. To jest jeden z warunków poważnej polityki europejskiej. Chodzi o to, byśmy potrafili to zrealizować.

To także postulat jasnego stawiania sprawy konieczności zbrojenia Europy. Polska jest już jednym z liderów wydatków na obronność. To musi przekładać się na oczekiwanie stanowczego wzmocnienia głosu Polski w Europie. Poza tym

Powinność prezydenta Nawrockiego

ukraińskiego a zabezpieczeniem polskich interesów. Takich interesów, jak polskie dziedzictwo materialne i duchowe we Lwowie. To także oczywisty postulat ochrony polskiego rynku rolnego. Na stole jest także kwestia zrealizowania dawno zapowiadanych ekshumacji na Wołyniu.

Nikt nie może oczekiwać, że Polska będzie pomagać Ukrainie kosztem ewidentnych polskich interesów. Trzeba to jasno powiedzieć. Karol Nawrocki rozumie to bardzo dobrze. Teraz trzeba to przekuć na realne działania, kiedy Nawrocki będzie już urzędującą głową państwa.

3. Ułożenie relacji Polski z Unią Europejską. Polska musi być poważnym beneficjentem europejskich środków na obronność.

na uzbrojonej i zdolnej do walki Europie zyskamy, a nie tracimy.

4. Skandynawia najważniejszym partnerem wspólnej obrony północnowschodniej flanki NATO.

Mimo wejścia Szwecji i Finlandii do NATO polska polityka zagraniczna wciąż bardziej się przygląda krajom skandynawskim, niż nawiązuje z nimi realną współpracę w dziedzinie bezpieczeństwa basenu morza bałtyckiego. Wciąż jesteśmy tylko gośćmi polityki skandynawskiej niż realnym jej partnerem. Okazję do takiej zmiany daje idea powołania Rady Państw Bałtyku. Nowa inicjatywa rozszerzenia dotychczasowej współpracy i ogłoszenie rozpoczęcia prac nad wspólną strategią obronną państw

■ NATO w rejonie Bałtyku, w związku z rosnącym zagrożeniem rosyjskim.

Wejście Szwecji i Finlandii do NATO dopełniło udział Skandynawii w sojuszu północnoatlantyckim, w którym znalazły się teraz wszystkie kraje skandynawskie od Danii, przez Norwegię i Szwecję, do Finlandii. To znaczące wzmocnienie potencjału NATO i ważny krok dla Polski.

Północna flanką NATO w postaci Skandynawii i państw bałtyckich to nasze najbliższe otoczenie geopolityczne. Bliiskość geograficzna ma istotne znaczenie w systemie wspólnej obrony. Oznacza to, że Polska powinna ustanowić specjalne stosunki przede wszystkim z państwami skandynawskimi w kierunku wspólnych sił obrony, najlepiej wspólnych sił szybkiego reagowania. Program taki z pewnością w pełni wpisywałby się w amerykańskie pragnienie większego udziału Europy w systemie bezpieczeństwa europejskiego. Dzisiaj jest dobry czas na rozmowy o takim kierunku działań.

5. *Polska realnym bastionem wschodniej flanki NATO.*

Musimy być realnie przygotowani do odparcia militarnej agresji. Szczególnie w pierwszych tygodniach potencjalnej wojny. A to oznacza, że Polska musi się stać krajem z największym potencjałem militarnym na wschodzie Europy. Niemcy także mają taką ambicję. Oni z niej nie zrezygnują. Jeżeli nie sprostamy temu wyścigowi, to pozostaniemy krajem drugiej kategorii europejskiej. Tylko budowa realnej siły militarnej może nas postawić w gronie europejskich liderów. Prezydent może inspirować działania zmierzające do tego celu, jasno określając swoje oczekiwania w tym względzie.

6. *Budowanie Biura Bezpieczeństwa Narodowego.*

Celem jest skupienie wokół tego konstytucyjnego Biura zespołu autorytetów i ekspertów z dziedziny bezpieczeństwa narodowego, którzy będą zdolni do sformułowania Strategii Bezpieczeństwa Narodowego – szerzej: strategii bezpieczeństwa Polski – i nadzoru nad nią, polityką zbrojną, przemysłem obronnym, geopolitycznymi wyzwaniami naszego kraju.

Nie udało się to prezydentowi Andrzejowi Dudzie. Nie stworzono centrum myśli o strategii przygotowania naszej



Prezydent elekt Karol Nawrocki przedstawia nowy skład Biura Bezpieczeństwa Narodowego. FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

armii do obrony kraju przed zagrażającą agresją, naszym bezpieczeństwie narodowym, naszej strategii bezpieczeństwa w Europie, naszego miejsca w NATO. A instytucja Biura Bezpieczeństwa Narodowego ma kompetencje i potencjał do stania się takim centrum myśli o bezpieczeństwie. Właśnie szerzej, nie tylko o samej organizacji armii. To także miejsce do głębokiej analizy strategii bezpieczeństwa Rosji oraz naszych sojuszników w NATO, by widzieć kierunki interesów narodowych naszego najbliższego i globalnego otoczenia.

7. *Polityka personalna w armii.*

Potrzeba stabilizacji i jasno wytyczonych ścieżek kariery dla dowódców. Aby każdy z nich wiedział, że osiągnięcie kolejnych szczebli kariery będzie skutkowało powierzaniem dowództwa niezależnie od koniunktury lub dekonunktury polityki wewnętrznej w Polsce. Bezpie-

czeństwo Polski nie ma barw politycznych. Dlatego jako państwo musimy zadbać o kadrę dowódczą o najwyższych kompetencjach bez względu na polityczne sympatie. To kwestia powagi państwa.

8. *Nowy system zarządzania armią. Docelowo liczebność Wojska Polskiego.*

Aktualne konflikty zbrojne, przede wszystkim agresja Rosji na Ukrainę, pokazują, jak zmieniają się warunki zarządzania armią w czasie wojny. Trzeba dopasować strukturę polskiej armii do tych warunków. Sztab Generalny już pracuje nad poważną reformą Wojska Polskiego w obszarze rezerwy, która miałaby zbliżać ją do żołnierzy zawodowych pod kątem uzbrojenia i ukończonych szkoleń. Ma to w założeniu umożliwić zwiększenie liczebności naszej armii poprzez uzupełnienie jej wyszkoloną rezerwą.

Osobną kwestią jest obrona cywilna. Oznacza ona m.in. sieć pomieszczeń, schronów, w których będzie można



9. *Pobór powszechny.*

Trzeba przygotować do tego polskie społeczeństwo. Prezydent państwa ma do tego największy mandat jako konstytucyjny zwierzchnik Sił Zbrojnych.

Kwestia obowiązkowej powszechnej służby wojskowej jest w Polsce tematem tabu. Wszystkie siły polityczne w naszym kraju solidarnie uciekają od tej dyskusji, uważając, że jej podjęcie odbije się negatywnie na poparciu. To nie jest poważna postawa. Trzeba mieć odwagę powiedzieć społeczeństwu prawdę. A prawda jest taka, że sama armia zawodowa nie wystarczy przy prawdziwej długotrwałej wojnie. Wszyscy o tym wiedzą. Wiedzą o tym kraje skandynawskie, które ogłaszają powszechną służbę wojskową. Wiedzą o tym Niemcy, które zapowiadają powrót do powszechnej służby wojskowej. A przecież Niemcy nie są obecnie krajem frontowym jak Polska.

10. *Wyposażenie polskiej armii.*

Prezydent jako zwierzchnik Sił Zbrojnych ma pełne kompetencje do nadawania kierunku polskiej polityce zbrojeniowej. Ma mocny konstytucyjny głos i inicjatywę w tym zakresie. Przede wszystkim musimy uaktualnić naszą strategię zbrojeniową wobec doświadczeń wojny na Ukrainie i wojny irańsko-izraelskiej. Musimy także wyciągnąć wnioski z aktualnego kierunku zbrojenia USA. Te doświadczenia pokazują wyraźnie, że współczesny kierunek uzbrajania armii to przede wszystkim bezałogowe drony dalekiego zasięgu, amunicja krążąca w postaci ściany roju dronów, strategiczne okręty podwodne zdolne wystrzeliwać rakiety dalekiego zasięgu, szczelna tarcza antyrakietowa. To także poważne aktualne doświadczenie systemu Żelaznej Kopuły, która chroni Izrael przed atakami z powietrza. USA zapowiedziały budowanie własnego systemu opartego właśnie na osiągnięciach Żelaznej Kopuły. Prezydent RP musi wyciągać wnioski ze współczesnego teatru wojennego i realnie kreować polską politykę bezpieczeństwa. Nie mamy czasu. Jesteśmy praktycznie krajem frontowym. To największe wyzwanie nowego prezydenta RP jako konstytucyjnego zwierzchnika Sił Zbrojnych.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

się ukryć podczas nalotów. To system organizacji pomocy medycznej w okresie kryzysu. To także przygotowanie i umożliwienie wdrożenia systemu ewakuacji. Na wczoraj potrzebujemy takich planów upgrade'u wcześniej wyznaczonych pomieszczeń. Wreszcie należy poinformować opinię publiczną, gdzie w sytuacji zagrożenia ludzie mają się schronić. Obecnie mieszkańcy Warszawy i innych miast nie wiedzą, gdzie mają szukać ochrony. Taka konstatacja jest naprawdę przerażająca. Przyjęta już przez Sejm ustawa o obronie cywilnej wymaga pilnego wdrożenia i prezydent RP z pewnością może podejmować wysiłki w celu przyspieszenia jej realizacji.

W Polsce trwa spór dotyczący wielkości armii. Część ekspertów uważa, że polska armia powinna być liczna, być może najliczniejsza wśród europejskich krajów NATO. Inni z kolei argumentują, że nie osiągniemy takiej liczby ze względu na malejący potencjał demograficzny

i to, że już obecnie mamy braki kadrowe w istniejących korpusach. Ci drudzy uważają, że wystarczy nam mniejsza liczba żołnierzy w armii, ale osiągnięta w rzeczywistości, a nie na papierze.

Należy przemyśleć tezę, że polska armia powinna liczyć taką liczbę żołnierzy pogrupowanych w konkretne korpusy i dywizje armijne, by na podstawie posiadanych zdolności bojowych i sprzętowych wytrzymać i odeprzeć pierwsze uderzenia wroga oraz utrzymać pozycje w potencjalnie długotrwałym konflikcie i przeprowadzić kontruderzenie.

Polska dysponuje już w tej chwili jedną z najsilniejszych armii lądowych w NATO. Liczy ok. 200 tys. żołnierzy i prowadzi prace nad zwiększeniem tej liczby do 300 tys. żołnierzy. Istotnym faktem jest to, że już teraz Polska ma w rzeczywistości trzecią co do wielkości armię w NATO. Trzeba utrzymać ten kierunek.



Adam Hlebowicz

Jak faktycznie wyglądało życie Polaków w mundurach ze swastyką? Wbrew temu, co zostało zaprezentowane w gdańskim muzeum, polskich rekrutów traktowano jak żołnierzy drugiej kategorii. Niemieccy koledzy i przełożeni nazywali ich pół ironicznie, pół pogardliwie „Kaczmareks” albo „Pollacken”

Prowokacja wywołana w sztuce niekiedy przynosi dobre efekty. Prowokacja w badaniach historycznych, a zwłaszcza w edukacji historycznej, z całą pewnością nie służy pogłębianiu i rzetelnemu poznawaniu faktów z przeszłości. Autorzy wystawy „Nasi chłopcy. Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy”, prezentowanej w Muzeum Gdańska od 11 lipca tego roku, zamierzony cel osiągnęli. Wywołali burzę, bo nie sposób posądzić ich o niewiedzę, po nadaniu takiego tytułu swojej prezentacji.

Oprócz prowokacji wydaje się, że twórcy wystawy dokładnie wiedzieli, co chcą w niej zawrzeć. Na planszy wyjaśniającej tytuł czytamy: „Zdjęcia młodych mężczyzn w hitlerowskich mundurach na wstępie do wystawy to wizerunki polskich obywateli służących w niemieckiej armii podczas II wojny światowej [...]. Byli to ludzie stąd, a więc »nasi chłopcy«”. Nie chodzi tu zatem o Polaków wcielonych do Wehrmachtu, a o obywateli polskich sprzed września 1939 r., którymi byli także Niemcy, mieszkańcy Pomorza i pewna grupa osób niemająca konkretnej tożsamości. Autorzy „Naszych chłopców” jednak nie są konsekwentni. W dalszej części wystawy poznajemy np. losy Wolfganga Oppenheimera, syna Waltera, obywatela Wolnego Miasta Gdańska. Może Wolfgang, jak 8,5 mln Niemców, był członkiem NSDAP, może niezrzeszonym nazistą? Tego z wystawy już się nie dowiemy.

Wyjaśnienie toku myślenia twórców wystawy zawiera się w jej zakończeniu. Autorzy piszą: „Za mało wierzymy, że jako



Fragment wystawy „Nasi chłopcy. Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy” w Muzeum Gdańska FOT. A. GRABOWSKA/MUZEUM GDAŃSKA

Pomorzanie mamy prawo do własnej pamięci i swojej opowieści o przeszłości. Wolimy wybierać tylko te wątki, które nawiązują do dominującej narracji o wojnie z innych części państwa polskiego”. Kim są wspomniani Pomorzanie? To mieszkańcy Bydgoszczy, Torunia, Koszalina, Słupska? Jestem gorącym zwolennikiem budowania silnej tożsamości regionalnej. Jednak nasze pomorskie, kaszubskie, kociewskie, śląskie historie tworzą większą wspólną, polską tożsamość. Nasi rodacy byli prześladowani przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej nie jako Pomorzanie, a jako Polacy. Fałszywa jest także teza, że jest tylko jedna, dominująca narracja o wojnie, pochodząca z centrum Polski. Przykładowo Kresy Wschodnie II RP – Wilno, Lwów, Wołyń – mają odrębne przeszłości z okresu drugiej wojny niż np. tereny, z których Niemcy utworzyli Generalne Gubernatorstwo. Za to z pewnością podobne, choć też nie tożsame są losy Polaków z Pomorza, Wielkopolski lub ze Śląska.

INACZEJ NIŻ W LUKSEMBURGU

Autorzy wystawy napisali, że tytuł to świadome nawiązanie do terminu, jakim określano w trakcie wojny będących w podobnej sytuacji Luksemburczyków („Ons Jongen”). Otóż historia wygląda nieco inaczej. Jak pisze w swoim opracowaniu André Hohengarten („Pobór Luksemburczyków do armii niemieckiej podczas drugiej wojny światowej”), mieszkańcy Księstwa faktycznie mówili tak o swoich młodych mężczyznach wcie-

lonych w szeregi armii hitlerowskiej, lecz z jednoznacznym przesłaniem – termin ten odnosił się do „naszych chłopców”, którzy byli przeciwni tej służbie. Gdy gauleiter Gustav Simon 30 sierpnia 1942 r. podał publicznie do wiadomości fakt wprowadzenia obowiązku służby wojskowej i nabycia niemieckiego obywatelstwa przez różne kategorie Luksemburczyków, w kraju wybuchł strajk. Protestowali chłopci, kupcy, uczniowie. W odpowiedzi Niemcy wprowadzili stan wyjątkowy i sądy doraźne. Aresztowano 338 osób, a 334 nieletnich wywieziono na pewien czas do obozów wychowawczych. Taka sytuacja na terenach polskich – wcielonych przemocą do III Rzeszy – była niemożliwa. Jakkolwiek masowy protest zostałyby utopiony w morzu krwi.

BEZ POGŁĘBIENIA

Na gdańskiej wystawie czytamy: „Wehrmacht oczekiwał od dowódców, że żołnierze III grupy nie będą dyskryminowani”. I na tym koniec. A jak faktycznie wyglądało życie Polaków w mundurach ze swastyką? Polskich rekrutów traktowano jak żołnierzy drugiej kategorii. Niemieccy koledzy i przełożeni nazywali ich pół ironicznie, pół pogardliwie „Kaczmareks” albo „Pollacken”. Nie ufając im, zakazano tworzenia z nich odrębnych pododdziałów, zalecono, w miarę możliwości, przydzielanie ich do plutonów pojedynczo lub co najwyżej po kilku. Sytuacja zmieniała się pod sam koniec wojny, gdy straty niemieckie były tak

wielkie, że na froncie zachodnim zdarzały się baterie artylerii złożone wyłącznie z naszych rodaków. Nierzadko skład takiej baterii wspólnie dezercerował na drugą stronę frontu.

Jednym z elementów wystawy jest spis rzeczy, które rodziny wysyłały żołnierzom na front, a tuż obok zestawienie, co z kolei ci młodzi chłopcy w mundurach wysyłali do domu, dla swoich bliskich. Czytamy, że w tej drugiej kategorii znalazły się m.in.: pieniądze, pończochy, torebki, futra, cukier, ryż, mąka. Ani słowem o tym, skąd te „cenne dary” pochodziły? Trudno sobie wyobrazić, że to armia niemiecka rozdawała swoich bojowcom futra, aby ci następnie przesłali je swoim matkom, żonom, narzeczonym.

Zaledwie wspomniane są takie elementy życia Polaków na służbie niemieckiej, jak opór, kary, które ich za to spotykały, konspiracja w szeregach wojskowych. Nieco szerzej opisano za to dezercje. Nie zawsze jednak przechodzenie na stronę aliancką było przyjmowane z euforią. Czesław Blicharski wiosną 1945 r. był bombardierem Dywizjonu 300 i tak zapamiętał odwiedzin w obozie jenieckim zlokalizowanym na terenie Wysp Brytyjskich: „Dowództwo angielskie obozu przyjęło nas z ciekawością i nie przeszkadzało w kontaktach osobistych. My mieliśmy nadzieję, że ich [Polaków na służbie niemieckiej] zwerbujemy. Czekaliśmy na rozczarowanie. Kontakty były sztuczne, podejrzewam, że byli trzymani na »uwięzi« przez wewnętrzny terror. Rozmowy nie kleiły się. Rozczarowani opuściliśmy obóz z... czekoladą, której nie było sensu zostawić im. Nikt nam nie kiwnął ręką na pożegnanie. Rozczarowanie i smutek utopiliśmy w przydrożnym pubie”.

Inny przykład charakterystycznych dla wystawy niedopowiedzeń. Na jednej z tablic czytamy: „W polityce historycznej powojennej Polski Niemcy stały się symbolem zła, a antyniemieckość jednym z głównych elementów polityki kulturalnej”. Tak, to prawda. Konieczne tu jest jednak wyjaśnienie. Niemcy stały się jedynym symbolem zła, podczas gdy o zbrodniach sowieckich, takich jak Katyń, wywózki na Syberię, zwalczanie polskiej partyzantki niepodległościowej, z przyczyn ideologicznych nie wolno

Polskie ofiary, przemocą wcielone do obcego wojska, zabite za nie swoją sprawę, nawet po śmierci nie mają nagrobków po polsku

było pisać i mówić. Czy jednak przez to Niemcy hitlerowskie przestały być wcielonym złem?

NADINTERPRETACJE

Zdaniem pochodzącym z wystawy, a szeroko komentowanym w sieci jest stwierdzenie: „Gdy wyjeżdżali z rodzinnych miejscowości, towarzyszył im strach, przynębienie, ale nierzadko też ekscytacja wywołana nowym doświadczeniem i możliwością zobaczenia nieznanych dotąd stron”. Hm... A może warto było sięgnąć po jeden z wielu zachowanych opisów, jak Pomorze żegnało swoich bliskich. Bolesław Dobrski w swoich wspomnieniach opublikowanych w Londynie w 2002 r. „Byłem żołnierzem Wehrmachtu” opisał, jak 11 lipca 1942 r., w samym środku wojny, jego rodzinne miasteczko Gniew żegnało wcielonych do niemieckiej armii. „Pociąg nieznacznie ruszył, a tłum żegnających szedł wzdłuż wagonu, zamieniając ostatnie słowa pożegnania i ostatnie spojrzenia. W tej chwili jakiś głos kobiecy zaintonował »Serdeczna Matko«. Pieśń została natychmiast podchwycona przez żegnających, ale trwało to tylko kilka sekund, gdy z głębi wagonu zabrzmiał potężny męski głos, który przejął już dalsze słowa, zmieniając na »Boże, coś Polskę: z kilku setek piersi popłynęła pieśń skargi, pieśń bólu i nadziei [...]». Tłum doszedł do końca peronu i zatrzymał się, słuchając oddalającej się pieśni. Jeszcze z daleka słychać było »Jeszcze Polska...«. Jakimże paradoksem było słyszeć poborowych do Wehrmachtu śpiewających polski hymn narodowy. Była to pieśń protestu synów Ziemi Pomorskiej za trzy lata zniewolenia i za wtłoczenie przemocą w niemiecki mundur”.

Jedną dużą ścianę wystawy zajmuje prezentacja umundurowania i wyposażenia żołnierza Wehrmachtu. Czy było to

konieczne? Ekspozowanie hakenkreuzów, swastyk, żelaznych krzyży? Wydaje się, że każdy odbiorca wystarczająco zna ten ekwipaż z filmu, dokumentu, fotografii.

W witrynie informującej o twórcach ekspozycji, tylko tych bezpośrednich, możemy odnaleźć ponad 30 nazwisk. Czytamy też, że jej twórcy przygotowali ją przez dwa lata. Jeśli tak, to jest to słaby efekt pracy tak licznej zespołu. Brakuje większej ilości notacji świadków, brakuje szerszego, pogłębionego spojrzenia na trudny, skomplikowany, a także ciekawy badawczo temat. Organizatorzy wystawy, a są nimi Muzeum Gdańskie, Muzeum II Wojny Światowej i Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie, zapowiadają na jesień wydanie katalogu wystawy, a na luty przyszłego roku – dyskusję wokół świadectw ludzi, których dotknął ten los, co może świadczyć o niepełnym i pośpiesznym przygotowaniu ekspozycji.

POLITYKA I HISTORIA

Politycznym pomysłem jest jedna z końcowych tablic wystawy, gdzie zamieszczono zdjęcia okładek „Dziennika Bałtyckiego” i „Gazety Wyborczej” z 2005 r. z tytułami: „Atak Wehrmachtem” i „PiS sięgnął po Wehrmacht”, uzupełnione zdjęciem ówczesnego kandydata na prezydenta Donalda Tuska. Poniżej w komentarzu możemy wyczytać, że Lech Kaczyński swoje zwycięstwo prezydenckie zawdzięcza głównie tym informacjom skierowanym wobec jego kontrkandydata.

Zadaniem polityków mogłoby być zadbanie o pamięć Polaków pochowanych na niemieckich cmentarzach wojennych. Takich jak w Monte Cassino (dokładnie w miejscowości Caira), gdzie ok. 25 proc. nagrobków nosi polskie nazwiska. Nie wszyscy oni uważali się za Polaków, było jednak także wielu Schulzów, Kreftów, Schmitów, którzy utożsamiali się z polskością. Nad tymi cmentarzami powiewają niemieckie flagi. Polskie ofiary, przemocą wcielone do obcego wojska, zabite za nie swoją sprawę, nawet po śmierci nie mają nagrobków po polsku. Może zorganizowanie odrębnych tablic z informacją, kto tam spoczywa, to zadanie dla polityków?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Instytutu Pamięi Narodowej.

Ziemia opuszczana

Nic w raporcie o stanie miasta za 2024 r. nie zmartał wód Zakopanego tak jak demografia. – Ubywa nam dramatycznie mieszkańców. To ogromny problem społeczny i gospodarczy, o którym niestety prawie się nie rozmawia ani w kraju, ani w samym Zakopanem – mówił wiceburmistrz Zakopanego Bartłomiej Bryjak, który zaprezentował raport. – W 2024 r. mieliśmy 152 urodzenia i aż 294 zgony. To oznacza ubytek 142 osób w jeden rok.

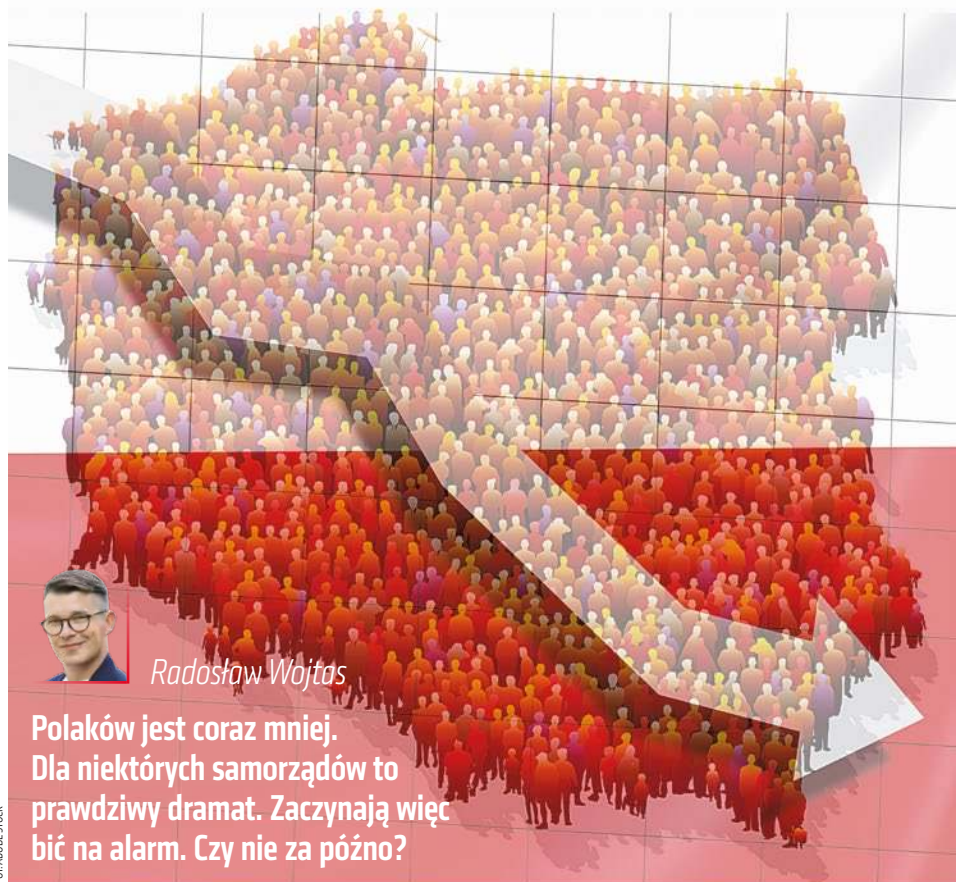
Problem nie jest oczywiście nowy. W ciągu dwóch dekad Zakopane straciło ponad 4 tys. mieszkańców. – To dramatyczny spadek przy naszej wielkości gminy. W 2004 r. było nas 29,3 tys., dziś – 25 tys. To ponad 10 proc. mniej w dekadę i 15 proc. mniej w dwie dekady – wskazuje wiceburmistrz. I bije na alarm, że czas coś wreszcie z tym zrobić, bo katastrofę demograficzną widać od lat, ale „nigdy nie towarzyszyła temu prawdziwa dyskusja”.

Alarm podniesiono w tym roku być może dlatego, że demograficzny kryzys odbije się na gospodarce jak nigdy dotąd. – Od dekady maleje liczba nowo rejestrowanych działalności, za to rośnie liczba tych wykreślanych. W ubiegłym roku po raz pierwszy ta równowaga została przełamana. Jesteśmy na minusie – martwi się Bryjak.

Powodem malejącej liczby ludności Zakopanego nie jest jedynie fakt, że pod Giewontem rodzi się coraz mniej dzieci. Młodzi wyjeżdżają, bo jest drogo, brakuje mieszkań, a w sezonie w mieście zalewanym przez turystów trudno żyć. Nie chcą lub nie mogą sobie pozwolić na to, by w Zakopanem za 1 mkw. mieszkania płać prawie 21 tys. zł, skoro w pobliskim Nowym Targu średnia to 11 418 zł.

Tylko że w podobnej albo jeszcze gorszej sytuacji jest wiele miast, miasteczek i wsi w Polsce. Pustoszeją także te miejscowości, w których trudno narzekać na nadmiar turystów czy wygórowane w porównaniu z sąsiedztwem ceny mieszkań czy działek budowlanych. Każda miejscowość ma swoje problemy, wszystkie – jeden wspólny: dramatycznie niską dzietność.

W roku 2024 r. w całej Polsce przyszło na świat 252 tys. dzieci, czyli prawie o 21 tys. mniej niż w 2023 r. To najgorszy wynik od zakończenia drugiej wojny



Radosław Wojtas

Polaków jest coraz mniej. Dla niektórych samorządów to prawdziwy dramat. Zaczynają więc bić na alarm. Czy nie za późno?

światowej. Przyrost naturalny w 2024 r.: –157 tys. Zawarto też mniej małżeństw niż przed rokiem. Perspektywy są fatalne.

TOPNIEJĄCE MIASTA

Mieszkańców tracą także duże miasta. Jak wynika z raportu GUS „Rozwój regionalny Polski – raport analityczny 2024” (opublikowany w maju 2025 r., zawiera dane do roku 2023), spośród 37 dużych ośrodków powyżej 100 tys. mieszkań-

ców ubytek ludności odnotowano w 30. W analizowanym okresie (od 2011 r.) największy spadek liczby ludności (od 16,4 proc. do 11,1 proc.) dotyczył: Wałbrzycha, Bytomia, Zabrze, Włocławka, Sosnowca, Częstochowy i Radomia.

Wałbrzych w zasadzie status miasta 100-tysięcznego już utracił. Stan na koniec 2024 r.: 98 748 mieszkańców. Już w 2017 r. znalazł się na przygotowanej przez PAN liście miast, którym grozi

społeczno-gospodarcza zapaść. „Z Wałbrzycha w ciągu 10 lat wymeldowało się ponad 11 tys. osób – pisze lokalny portal tvwałbrzych.pl. – Wystarczy przejechać się przez Strugę, Walim czy Szczawno-Zdrój. W nowych domach mieszkają dawni wałbrzysianie – nadal w Wałbrzychu pracują, robią zakupy, żyją... ale są zameldowani poza granicami miasta. Inni po prostu znikają z papierów – bo nie chcą płacić więcej, bo mają długi, bo boją się komornika. W 2023 r. wałbrzysianie byli liderami w kraju z najwyższym poziomem zadłużenia w Polsce. Co szósty mieszkaniec miał długi – średnio 23,7 tys. zł. To już nie jest statystyka. To dramat”.

Próba odwracania tego trendu przynosi marny skutek. Nie pomagają promocja zaklinająca rzeczywistość. „Wynagrodzenia wyższe niż średnia krajowa, niski koszt najmu czy zakupu metra kwadratowego mieszkania – to właśnie sprawia, że do Wałbrzycha tak chętnie przeprowadzają się ludzie poszukujący nowej pracy. Sprawdź, dlaczego wybierają akurat to miasto!” – zachęca artykuł sponsorowany na Onecie z 2022 r. Od tego czasu Wałbrzych stracił ponad 2 tys. mieszkańców.

W tym samym kierunku co Wałbrzych, ale z jeszcze większą prędkością dryfuje Łódź. Wśród miast wojewódzkich to właśnie Łódź wyludnia się najszybciej. Ma najniższe wartości przyrostu naturalnego. W 2023 r. miasta wojewódzkie wypadające pod tym względem najgorzej to, obok Łodzi (–7,4 promila), jeszcze Katowice (–6,0 promila) i Bydgoszcz (–5,9 promila). Dodajmy na marginesie, że miasta, w których różnica między liczbą urodzeń żywych a liczbą zgonów w przeliczeniu na 1 tys. ludności kształtowała się najkorzystniej – Rzeszów, Kraków, Białystok, Gdańsk, Wrocław, m.st. Warszawa, Olsztyn i Poznań – także są na minusie: od –0,1 promila do –2,7 promila.

W szczytowym momencie Łódź liczyła 854 tys. mieszkańców. Był to rok 1988 i od tamtej pory tylko ich traci. Dziś populacja tego miasta to – według GUS – 645 693 ludzi. W niecałe cztery dekady stolica województwa straciła ponad 200 tys. mieszkańców, a w najbliższych latach może ich tracić jeszcze szybciej. Unia Metropolii Polskich prognozuje,

że jeśli trendu nie da się odwrócić lub wyraźnie wyhamować, to do 2040 r. populacja Łodzi stopnieje do 562,9 tys., a dekadę później – do 508 tys.

Takie tempo nie dziwi, jeśli spojrzysz się na statystyki urodzeń. W 2002 r. w Łodzi urodziło się 5,4 tys. dzieci, w roku 2023 – 4,6 tys. Według prognoz w roku 2040 będą to już równe 4 tys., a w 2050 – 3,9 tys.

WYMIERAJĄCA PROWINCJA

Swoje problemy ma też Polska gminna i powiatowa. O ile ujemny przyrost naturalny w dużych miastach kompensują ludzie przyjeżdżający tam za pracę, o tyle dla małych miejscowości, migracja wewnętrzna także jest powodem do zmartwień. A dietność, kiedyś dużo wyższa niż w miastach, dziś jest na podobnym poziomie: 1,1 w miastach i 1,2 na wsi. Na początku III RP było to 1,6 w miastach i 2,6 na wsi (153 proc. średniej europejskiej!). Zawierane małżeństwa na wsi (na 1 tys. mieszkańców): 5 (59 proc. wyznaniowych) w 2024 r. wobec 10 (95 proc. wyznaniowych) w roku 1990.

Choć tytuły artykułów o wsi, w której jest więcej bocianów niż ludzi, mają brzmieć sympatycznie, to w istocie opisują prawdziwy dramat Polski gminnej. Żywkowo na Mazurach liczy 20 mieszkańców i ok. 160 bocianów. Wójt gminy Górowo Iławeckie, w której leży ta „bociania wioska”, załamuje ręce. – Są już nie tylko miejscowości, lecz także całe sołectwa, w których mieszka po kilkanaście osób. Jestem z rocznika 1985 i widzę, że większość moich znajomych wyjechała. Na palcach jednej ręki mogę policzyć tych, którzy zostali – mówi „Gazecie Wyborczej”.

I wylicza poważne problemy, które stwarza depopulacja tej przygranicznej (położenie na granicy z Rosją to dziś kolejny impuls do wyjazdu) wioski. W gminie są trzy szkoły. W klasach po kilku uczniów, ale ze względu na odległości przyzwolenia na zamknięcie żadnej ze szkół nie ma. Zresztą ich likwidacja oznaczałaby utratę pracy przez kolejnych mieszkańców. A o etat w gminie trudno. Budżetówka wszystkich nie zatrudni, mimo że ręce do pracy w zakładzie karnym w Kamińsku, no i oczywiście

w Straży Granicznej są potrzebne. Inny problem to ochrona zdrowia. Niemożliwością okazuje się znalezienie lekarza rodzinnego, bo żaden w gminie nie chce pracować.

Świątelnikiem w tunelu miało być uzdrowisko w Nowej Wsi Iławeckiej. Dotację wzięto, uzdrowisko zbudowano, ale w tym czasie na wschodniej granicy Polski zrobiło się niespokojnie, a uzdrowisko, które miało przyjmować gości m.in. z Rosji, świeci pustkami. Samorząd nie może znaleźć inwestora, który zbudowałby obok bazę hotelową. Jeśli do lutego 2027 r. uzdrowisko nie będzie w użyciu i nie osiągnie celów założonych w Regionalnym Programie Operacyjnym Województwa Warmińsko-Mazurskiego na lata 2014–2020, to pieniądze trzeba będzie zwrócić. Z odsetkami – ok. 60 mln zł. Dla gminy to widmo bankructwa.

ALBO WIĘKSZA DIETNOŚĆ, ALBO MIGRACJI

Mazowiecka gmina Kosów Lacki liczy 5779 mieszkańców. Problem jak w każdej podobnej gminie: ujemny przyrost naturalny, starzejąca się społeczność i duża dysproporcja, jeśli chodzi o płeć mieszkańców, zwłaszcza wśród młodych. Mężczyźni (to oni częściej zostają, więcej młodych kobiet opuszcza takie miejscowości), nawet jeśli chcą założyć rodzinę, to mają problem ze znalezieniem partnerki.

Burmistrz Jan Słomiak z otwartymi ramionami wita więc imigrantów. Jak podaje „GW”, w Kosowie pracuje 500–600 cudzoziemców (10 proc. populacji gminy) z Azji, Ameryki Południowej, Europy Wschodniej. – Dokładnie nie wiem ilu, bo to się zmienia. My im nadajemy PESEL-e i wszystko sprawnie idzie – opowiada burmistrz. Jak pisze w reportażu z Kosowa Jakub Chełmiński, do urzędu po te PESEL-e podjeżdżają całe autokary. Bo tu akurat praca jest, ale chętnych brak.

I w takim kierunku spoglądać będzie coraz więcej samorządowców. Już dziś, do czego przyczyniła się oczywiście wojna na Ukrainie, udział obcokrajowców w ogólnej liczbie pracujących wynosi 6,7 proc. Od początku 2022 r. grupa pracujących w Polsce imigrantów powiększyła się o ponad 30 proc. Życie nie znosi próżni.



Czara pełna skorpionów



Wiesław Chelminiak

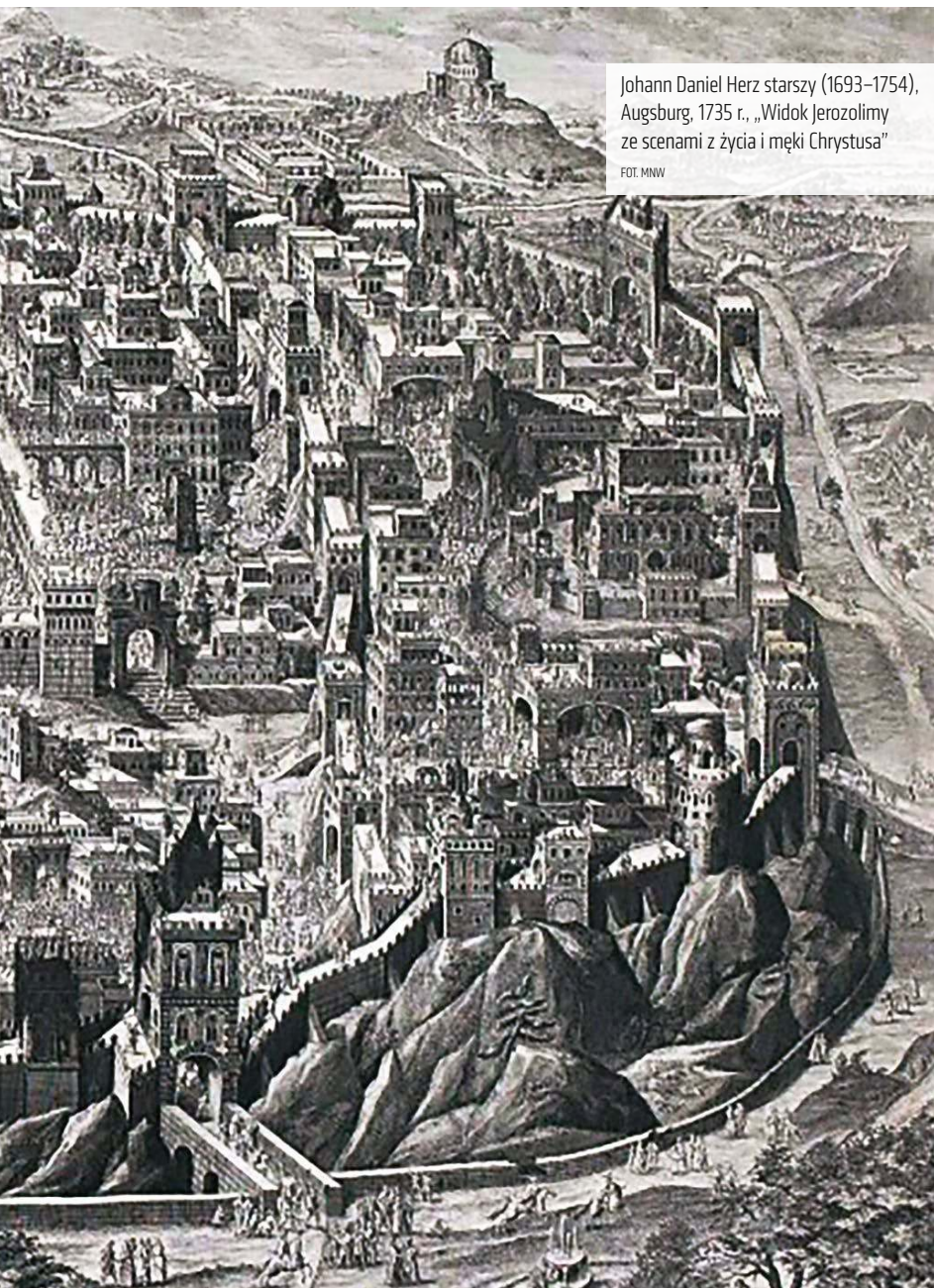
Środek świata. Mit i metafora. Kolebka trzech religii, stolica dwóch narodów. Miasto palimpsest. Przekleństwo polityków, natchnienie artystów i poetów

W notatniku Zbigniewa Herberta, który wyprawił się do Izraela, by odebrać nagrodę literacką, figuruje szkic wiersza: „chciałbym / jeśli to / nie za duży / zaszczyt / mieć grób w / Jeruzalem”. Wiele miało takie marzenie, lecz przywilej pochówku w katolickiej części cmentarza na Syjonie jest zastrzeżony dla lokalsów tudzież ludzi pokroju Oskara Schindlera. Dla XIX-wiecznych pielgrzymów i turystów wizyta w Palestynie często była roz-

czarowaniem. Ówczesna Jerozolima niewiele różniła się od innych mieścin położonych na peryferiach dogorywającego imperium Osmanów. Kontrast między wspaniałą przeszłością i żalosną teraźniejszością szokował, podobnie jak kłótnie miejscowych chrześcijan.

OGIEŃ W GROBIE

Hrabina Ewa Dzieduszycka, wizytująca z rodziną Betlejem, chciała spojrzeć na drogą sercu każdego katolika osadę



Johann Daniel Herz starszy (1693–1754), Augsburg, 1735 r., „Widok Jerozolimy ze scenami z życia i męki Chrystusa”

FOT. MNW

Święte miejsca zawsze przyciągają sekciarzy i fanatyków. Ich obecność w mieście, w którym Salomon wzniósł świątynię, by umieścić w niej Arkę Przymierza, zmarł i zmartwychwstał Jezus, a prorok Mahomet dostał wniebowzięcia, jest czymś naturalnym. W Jerozolimie historia świata się zaczęła i tu ma się zakończyć. Sąd ostateczny oddzieli złych od dobrych, którzy zamieszkają w nowym, niebiańskim Jeruzalem strzeżonym przez aniołów. W oczekiwaniu na ten moment wypatrujemy sygnałów od Stwórcy. W prawosławną Wielką Sobotę w bazylice Grobu Pańskiego od ponad tysiąca

Kontrast między wspaiałą przeszłością i żalosną teraźniejszością szokował, podobnie jak kłótnie miejscowych chrześcijan

lat pojawia się Święty Ogień. Wschodnie odłamy chrześcijaństwa twierdzą, że ów cud dowodzi wyższości kalendarza juliańskiego nad gregoriańskim, a przy okazji ich wyznania nad katolickim.

GODFRYD ZWYCIEŃSKI

Zmierzenie się z fenomenem Jerozolimy, realnej i wyobrażonej, to zadanie godne Herkulesa. Czy sprostali mu kuratorzy wystawy w Muzeum Narodowym w Warszawie? Zdaje się, że inny cel im przyświecał. Jaki? Na przykład pochwalenie się artefaktami rzadko opuszczającymi muzealny magazyn. Wśród 220 eksponatów, na różne sposoby wyrażających fascynację Miastem Apokalipsy, są skrzynka na Koran, korona na Torę, ikony, butle pielgrzymie, lampki oliwne, włoskie półmiski ozdobione scenami ze Starego Testamentu, napierśne krzyże z Etiopii, zasuszony kwiat z Góry Oliwnej, kamyczki wyłowione z Jordanu, manuskrypty, starodruki, tapiserie, pocztówki, fotografie tudzież akcesoria francuskich wolnomularzy (świątynia Salomona jest dla masonów symbolem doskonałości).

Gotycka „Pasja Chrystusa”, pochodząca z kościoła św. Jakuba w Toruniu, imponuje rozmiarami oraz starannością w oddaniu szczegółów jerozolimskiej

oczami pasterzy, którzy jako pierwsi złożyli hołd Dzieciątku. „Niestety, wyjście z uliczek w szczere pole okazało się tak pełne śmieci i nieczystości, że co prędzej wracaliśmy do naszych powozów, rezygnując z dalszego zwiedzania”. W korespondencjach, pisanych przez hrabinę do galicyjskiej prasy, brud, smród i nędza Ziemi Świętej nie były eksponowane.

Brytyjski historyk Simon Sebag Montefiore, autor monumentalnej monografii Jerozolimy, zwraca uwagę na inny

paradoks. Miejsce kompletnie pozbawione znaczenia strategicznego, położone na skraju pustyni, oddalone od handlowych szlaków, odznaczające się fatalnym klimatem, od stuleci zajmowało (i nadal zajmuje) światowe rządy. Kiedy dobiegnie końca kolejny akt palestyńskiego dramatu, nad Cedronem znów pojawią się cudzoziemcy, używający Biblii jako przewodnika, twierdzące, że Bóg powierzył im misję dokończenia dzieła zbawienia.

architektury. Anonimowy autor dał upust fantazji, ponieważ krajobraz miasta, będący tłem dla wydarzeń Wielkiego Tygodnia, nie ma nic wspólnego z realiami znanymi Europejczykom co najmniej od czasów krucjat. Na przeciwnym biegunie wypada umieścić cykl impresjonistycznych obrazów Jana Ciaglińskiego, który z 1901 r. odwiedził Palestynę. Ciekawostka: malarz większość życia spędził w Petersburgu, lecz ku zaskoczeniu Rosjan w testamencie zapisał wszystkie swoje prace polskiemu muzeum.

Na wystawie można znaleźć wizerunki postaci związanych z Jerozolimą: św. Hieronima, autora łacińskiego przekładu Biblii, patronki nawróconych grzeszników – Marii Egipcjanki czy Gotfryda z Bouillon, pierwszego władcy Królestwa Jerozolimskiego. Dziś w modzie jest odsądzanie krzyżowców od czci i wiary, ale w średniowieczu nikt – z wyjątkiem fanatyków – nie negował prawa chrześcijan do obecności w Ziemi Świętej. Poemat Tassa „Jerozolima wyzwolona” był zaś popularną lekturą jeszcze w epoce romantyzmu.

Z KIBUCU DO KOŚCIOŁA

Podróże do ojczyzny Jezusa długo były domeną duchownych i rycerzy. W 1518 r. do Palestyny dotarł, ryzykując życie i zdrowie, przyszły hetman wielki koronny Jan Amor Tarnowski. W cień zepchnął go jednak bardziej utalentowany literacko Mikołaj Radziwiłł, zwany Sierotką. Prezentowany w Muzeum Narodowym odpis oryginału „Peregrynacji”, wykonany czarnym i czerwonym tuszem, prawdopodobnie należał do autora. Na portrecie, również pochodzącym z Nieświeża, litewski magnat z dumą prezentuje szarfę z krzyżem jerozolimskim – atrybut Ryce-rza Grobu Świętego. Radziwiłł otrzymał ów tytuł od franciszkanów opiekujących się katolickimi pielgrzymami.

Zanim nastała era turystyki masowej, Jerozolimę odwiedzili polskojęzyczni żołnierze Napoleona. Juliusz Słowacki po powrocie z Palestyny stał się mistykiem, choć jej stolicę uznał za miasto „obumarłe duchowo”. Na początku XX w. zaczęły się wyjazdy organizowane przez Kościół. Dach nad głową zapewniały pielgrzymom dwa do dziś istniejące



Rękopis Koranu, Azja Środkowa, XVIII w. Fot. MNW

Domy Polskie, prowadzone przez siostry elżbietanki. W 1933 r. zafascynowany syjonizmem konserwatywny publicysta Ksawery Pruszyński popełnił książkę reportaż o żydowskich osadnikach budujących zręby Izraela. Można w niej także odnaleźć piękny opis wielkanocnych obchodów w Jerozolimie.

Po wybuchu drugiej wojny światowej zarządzana przez Brytyjczyków Palestyna stała się jednym z największych ośrodków polskiego uchodźstwa. Pod bliskowschodnim niebem pojawiły się takie tuzy jak Giedroyc, Czapski, Herling-Grudziński, Wańkowicz, Broniewski, Hemar czy Ordonówna. Żołnierze gen. Andersa odbudowali dwie zniszczone stacje drogi krzyżowej przy Via Dolorosa.



U góry: ilustracja na płótnie z wyobrażeniem różnych symboli wolnomularskich, Anglia, początek XIX w. Niżej: parochet na święto Sukkot, Polska, wieki XVIII i XIX

FOT. MNW

Bądźmy jednak szczerzy: to temat godny osobnej wystawy (zainteresowanych odsyłam do monografii pióra Jacka Pietrzaka). Kuratorzy z Muzeum Narodowego jedynie go sygnalizują.

Z NIEBA DO PIEKŁA

Polskie Jerozolimy, czyli kalwarie, tworzone z inicjatywy biskupów i pobożnych magnatów w Żebrzydowicach, Paclawiu czy podwileńskich Werkach, skwitowano zdjęciami, na których sacrum idzie pod rękę z profanum. Autorów ekspozycji bardziej zafrapowała żydowska osada, założona pod koniec XVIII w. na zachodnich rubieżach Warszawy. Nowa Jerozolima szybko zniknęła z map, ale dała nazwę miejskim rogatom i drodze, nazwanej potem Alejami Jerozolimskimi. Na ich początku, na wiślanej skarpie, wyrósł gmach MNW. Nieopodal rozpustny brat króla Stasia kazał zbudować minaret, a Joanna Rajkowska – palmę, aspirującą do miana nowego symbolu stolicy Polski.

Gra skojarzeń doprowadziła kuratorów aż do wspomnienia pogromu z roku 1881. Relatywizują natomiast trwający od dziesięcioleci pogrom palestyńskich Arabów, traktując go jako kolejne ogniwo łańcucha przemocy, któremu początek dali starożytni Rzymianie. Plakat „Heaven, Hell of a Place” wabi pocztówkowym widokiem miasta zwieńczonego złotą kopułą. Na pierwszym planie autor (Lahav Halevy) umieścił mur, którym Izraelczycy oddzielili się od sąsiadów.

„Jerozolima jest złotą czarą pełną skorpionów” – ostrzegął XI-wieczny uczony i podróżnik Al-Mukaddasi. Nigdy ta ocena nie była trafniejsza niż obecnie. Miasto Pokoju zasłuży na swą nazwę dopiero wówczas, gdy z trzech kultur w Ziemi Świętej zostanie tylko jedna. Wiadomo która. Wystawę kończy świetlisty krąg, przypominający gwiazdę z Apokalipsy św. Jana. Co prawda, hrabina Dzieduszycka oceniła, że miejsce sądu ostatecznego, czyli Dolina Jozafata, jest „tak wąskie, że trudno uwierzyć, żeby się na nim wszyscy zmarli mogli pomieścić”. Istnieją jednak sprawy, w których zdrowy rozsądek może się okazać kiepskim doradcą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Drogi do Jerozolimy” w Muzeum Narodowym w Warszawie była otwarta do 20 lipca.



Grzegorz Kondrasiuk

Jak co roku w wakacje życie kultury przenosi się w regiony miejscowości wypoczynkowych, w plenery, na plaże, amfiteatry oraz rynki miast i miasteczek. Na które wydarzenia warto zwrócić uwagę?

Justin Taylor, Marcin Masecki, Samuel Mariño, Le Consort, L'Arpeggiata, Akademia Bachowska, Nevermind, a na finał – Jakub Józef Orliński.

Wraca po raz trzeci festiwal „Metastasio bez granic” (14–17 sierpnia), odbywający się w Białymstoku i w Supraślu, prezentujący wydarzenia w Operze Podlaskiej, białostockim amfiteatrze i w supraskim kościele. Program zbudowany został wokół muzyki Georga Händla, Giovanniego Bononcini, Christophera Glucka, Mozarta, Johanna Hassego czy Pedra Avondana. Pomysł festiwalu opiera się na przypomnieniu postaci librecisty Metastasia, drukowanego w polskich tłumaczeniach przez supraskich ojców bazylianów w XVIII w.

Koniec wakacji to – jak zawsze mocny – program warszawskiego festiwalu „Chopin i jego Europa”, tym

razem ze zwiększoną obecnością kompozycji Bacha, w interpretacji Fabia Biondiego, Roela Dieltiens, Władysława Kłosiewicza czy Krzysztofa Chorzelskiego (20 sierpnia–6 września). Wśród innych gwiazd: Piotr Anderszewski, Mao Fujita, Vadym Kholodenko oraz zwycięzcy i laureaci konkursu chopinowskiego: Dang Thai Son, Yulianne Avdeeva, Bruce Liu, Ingrid Flitter, Erica Lu, Kate Liu, Aimi Kobayashi, Kyohei Soritę i (jak mówi dyrektor festiwalu, Stanisław Leszczyński) symbol „zwycięskiej porażki” – Ivo Pogorelicz.

Gdańskie Mozartiana proponują koncerty i spektakle w parku Oliwskim, we Dworze Artusa oraz w archikatedrze oliwskiej (17–23 sierpnia). W tym roku koncert „Mozart kameralnie” wykona Szymon Nehring, na plenerowej scenie w parku Oliwskim

(wstęp wolny) wystąpią m.in. Litewska Orkiestra Kameralna i Sinfonia Varsovia, odbędą się spektakle operowe, m.in. „Czarodziejski flet” w wykonaniu Teatru Marionetkowego Pałacu Schönbrunn. A w archikatedrze, na wielki finał, zabrzmie oratorium „Mesjasz” Händla, ale w opracowaniu Mozarta.

Teatralne spektakle muzyczne w bezpośrednim sąsiedztwie Bałtyku to specjalność teatru Atelier i Teatru Miejskiego w Gdyni, ich niemal codzienną ofertę koncertową i teatralną można zobaczyć na sopockiej scenie Atelier; na pokładzie „Daru Pomorza” i na Scenie Letniej na plaży w Orłowie. W repertuarze m.in. premiera Teatru Miejskiego „Na Ziemię! Czyli szał niebieskich ciał” Rafała Szumskiego czy „Przybora. Kabaret metapsychiczny” i „Osiecka. Archipelagi” Jacka Bały. A dla znajdujących się w lecie na Wybrzeżu wielbicieli nieco innych wrażeń muzycznych gdański Festiwal Szekspirowski (24 lipca–3 sierpnia) na swój finał proponuje koncert katalońskiej grupy awangardowo-kabaretowej The Tiger Lillies, „A Macbeth song” oraz warsztaty gry na pile i tarce muzycznej.

Poszukujący odmiennych formułek koncertowych powinni też zajrzeć na lubelski Carnaval, festiwal cyrku współczesnego (24–27 lipca), tu francuska My!Laika w spektaklu „Winter” uzupełni muzykę fortepianową o surrealistyczną mozaikę uruchamianą przez wyobraźnię cyrkową. Albo do Łodzi, na Festiwal Retroperspektywy, do Fabryki Sztuki, na koncert „Ballady i romanse”, muzyczno-futurystyczną operę „kosmiczną odyseję romantyczną” Ewy Żurakowskiej i Horsy’ego (30 sierpnia). ©

Choć wiele instytucji ma przerwy urlopowe, to nie brakuje specjalnych, letnich formatów, a wśród propozycji rozrywkowych pojawia się też sztuka o większych ambicjach. Panuje pełna różnorodność gatunków – od klasyki, muzyki dawnej, muzycznych spektakli teatralnych aż do opery i operetki – pokazywanych w niestandardowych lokalizacjach.

W Warszawie trwają Ogrody Muzyczne, odbywające się na dziedzińcu Zamku Królewskiego. To m.in. koncert koreańskiej muzyki tradycyjnej NaMu z wycieczkami w stronę jazzu, klasyki i elektroniki (25 lipca), spektakl „Otello i Jago – Szekspir w Maskach Korei” w tradycyjnym koreańskim gatunku talchum, łączącym teatr, taniec i muzykę (27 lipca), oraz L'Arpeggiata kierowana przez Christinę Pluhar, z repertuarem przypominającym dzieła barokowych kompozytorów XVII w., Barbary Strozzi, Francesci Caccini, Isabelli Leonarda i Antonii Bembo (31 lipca).

W ostatnim tygodniu lipca startuje niezwykle festiwal bachowski, organizowany przez Świdnicki Ośrodek Kultury wraz z Kościołem Ewangelicko-Augsburskim (24 lipca–2 września). Tegoroczna edycja opatrzona jest formułą: „W ścisłych formach kryje się tajemnicze piękno” i proponuje prawie 30 wydarzeń, głównie w katedrach i kościołach miast Dolnego Śląska (Świdnica, Jedlina-Zdrój, Pożarysko, Zastruże, Walim, Dziechmorowice, Olszyniec, Oleszna), a także na dworcu w Żarowie, w pałacu w Piławie Górnej, w winnicy w Bagieńcu, na zamku w Sobótce i... w areszcie w Świdnicy. Wśród zaproszonych artystów: Jean Rondeau,



Piotr Gociek

Co robić, gdy w kinach brak nowych, dobrych filmów? Odpowiedź jest oczywista: pokazywać ponownie te stare

Na pewno nie zliczyłem wszystkich, ale już pobieżny bilans pokazuje rzecz niespotykaną – w tym roku do polskich kin trafi przynajmniej 15 filmów opatrzonych etykietką „wznowienie”. Na swój użytek ukułem termin „re-premiera”, chodzi jednak o to samo: o ponowne wprowadzenie do dystrybucji kinowej tytułów, które teoretycznie dostępne dziś powinny być jedynie na płytach DVD czy Blu-ray, ewentualnie w serwisach streamingowych. Tymczasem głośne tytuły coraz częściej znów oglądać można na dużym ekranie. Jak szybko rozwija się ten fenomen? Wspomniana przeze mnie piętnastka przygotowana na rok 2025 to więcej niż liczba wszystkich „re-premier” w polskich kinach w latach 2022–2024. Nie mam wątpliwości, że w kolejnych latach może takich wznowień być jeszcze więcej. Powiem więcej: liczę na to, czekam na to i gorąco pomysłowi kibicuję.

Pamiętamy oczywiście, że klasyka nigdy całkowicie nie zniknęła z ekranów, dbały o to choćby kina studyjne, z warszawskim iluzjonem na czele. Pamiętamy jubileuszowe przeglądy twórczości tego czy innego reżysera: Hasa, Kurosawy, Felliniego; retrospektywy poświęcane całym zjawiskom w dziejach kina, jak czeska Nowa Fala. A gdy spojrzymy na przedsięwzięcia czysto komercyjne, to niczym niezwykłym nie były przecież bilety na organizowane przez multipleksy maratony „Gwiezdných wojen”, filmów z serii „Harry Potter” albo halloweenowe noce z horrorem.

„KINO KULTU”

Zjawisko, z którym teraz mamy do czynienia, ma jednak inne podłoże. Po pierwsze, owe „re-premiery” przestały być przedsięwzięciami okazjonalnymi, związanymi z jakimś jubileuszem. Po drugie, nie mają już związku jedynie



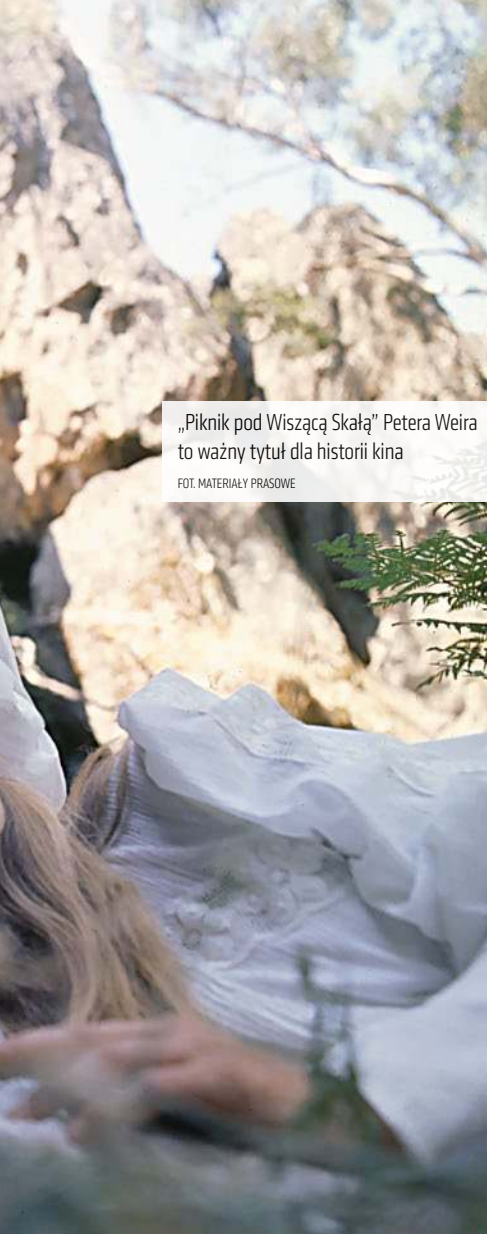
Wielkie powroty

z tzw. kultowymi franczyzami filmowymi. Po trzecie – i najważniejsze – jest to przede wszystkim odpowiedź na fatalny stan współczesnego repertuaru kinowego. Prawda bowiem jest taka, że niby nowości w kinach mnóstwo, ale po odjęciu filmów dla dzieci, horrorów oraz męcząco powtarzalnych superprodukcji (zwykle z uniwersów komiksowych) pozostaje niewiele. A i to, co pozostaje, to w dużej części manieryczne kino festiwalowe. Na koniec tej wyliczanki pozwól sobie zabrzmieć jak gderający starsuszek: no i to, co dziś uważa się za dobre kino, niekoniecznie musi być dobrym kinem w porównaniu z... No właśnie... Jakież to filmy powróciły do nas w tym roku?

Najwięcej sentymentalnych powrotów tego roku to filmy Davida Lyncha:

na ekrany trafiły ponownie „Mulholland Drive” (2001), „Prosta historia” (1999) i „Inland Empire” (2006), a przed nami wznowienie filmu „Człowiek słoń” (1980). Tu sprawa wydaje się prosta, a zarobek pewny, bo dokonania Lyncha kwalifikują się do szufladki „kino kultu” i mają swoje stałe grono zaprzysięgłych fanów. Co nie oznacza, że są to seanse tylko dla fanów – kto nie widział „Mulholland Drive” na dużym ekranie, ten nie wie, co stracił.

Swoje prezenty otrzymali miłośnicy poszczególnych kinowych gatunków: dla fanów horroru był to powrót oryginalnej „Teksańskiej masakry piłą mechaniczną” (1974) Tobe Hoopera oraz filmu „28 dni później” Danny’ego Boyle’a (2002). Miłośnicy anime dostali „Szopy w natarciu”



„Piknik pod Wiszącą Skałą” Petera Weira to ważny tytuł dla historii kina

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Wielkiego piękna” Paola Sorrentina (2013). To już za nami, natomiast na liście planowanych wznowień jesiennych czekają m.in. dwa filmy Miloša Formana: „Lot nad kukułczym gniazdem” (1975) oraz „Amadeusz” (1984). Przyznam, że ze szczególną niecierpliwością czekam na ten ostatni.

CZERWONA KARTKA

Kilkanaście lat temu podobna moda dotknęła branżę wydawniczą. Nagle wśród promowanych nowości książkowych zaskakująco wiele miejsca zajmować zaczęły wznowienia klasyki. Oczywiście od dawien dawna było to jeden z filarów tego biznesu, jakże wiele jest przecież książek, które sprzedają się zawsze (nie tylko lektur). Jednak naraz na celowniku nawet wielkich i prestiżowych oficyn znalazły się także zapomniane tytuły, niekiedy drugorzędnych autorów, przedstawiane czasem jako „zapomniane arcydzieła”. Cynicy widzieli w tym sposób na zmniejszenie kosztów – martwym od dawna pisarzom nie trzeba nic płacić. Nazwiska zwykle też mają już wypromowane – kolejna oszczędność.

Jednak kryła się za tym wszystkim sprawa poważniejsza. Co łączyło owe nowe, ale stare przeboje rynku wydawniczego? Zwykle były to bardzo sprawnie napisane, tradycyjne historie. Tradycyjne, to znaczy ciekawe, zajmujące, zaskakujące, bezpretensjonalne. O kobietach i mężczyznach zachowujących się jak kobiety i mężczyźni, a nie jak dysponenci 57 płci. O tym, że zło trzeba tępić, a dobro może wygrywać. Była to czerwona kartka wystawiona przez czytelników autorom współczesnym, tak głęboko pogrążonym w literackich dekonstrukcjach, szukaniu moralnych dwuznaczności lub ideologicznym wygibasom, że zapominającym o swoim zadaniu numer jeden: zaspokajaniu potrzeb odbiorcy. I inny przypadek szczególnie: kiedy tylko współczesna literatura rozrywkowa zaczęła być nadmiernie obciążona ideologicznie lub zanadto eksperymentalna, rynek natychmiast zareagował pojawieniem się hitów self-publishingu, amatorzy zaczęli pisać takie książki, jakich nie znajdowali w księgarniach.

AKT BUNTU

Powrót kinowej klasyki do kin interpretować powinniśmy szerzej. Tak, to

oznaka słabości współczesnego repertuaru kinowego. To zarazem skok na kasę tych widzów, którzy chętnie wydadzą pieniądze na ponowne obejrzenie filmów, które kształtowały ich wyobrażenie, kiedy byli młodzi. To jednocześnie efekt wszechogarniającej kultury nostalgii, kultury retro. Spójrzcie na filmiki z YouTube – sentymentalnych powrotów do tytułów sprzed lat znaleźć tam można tyle samo (jeśli nie więcej), co recenzji kinowych i serialowych nowości. Jednak niekiedy to także... konieczność. Dlaczego?

Bo zostaliśmy oszukani rzekomym bogactwem streamingu. Film „Wielkie piękno” Paola Sorrentina dostępny jest w Polsce dziś jedynie w dwóch serwisach VOD: MOJEEKINO i E-kino Pod Baranami. Niech mi ich operatorzy wybaczą, że odnotuję: nie są to strony szczególnie popularne. Próżno przeglądać będziecie ofertę Netflixa czy HBO Max. „Amelia” Jeuneta – do znalezienia jedynie w TVP VOD lub CDA. „Pikniku pod Wiszącą Skałą” Weira nie oferuje do obejrzenia nikt. Nigdzie nie znajdziecie też głośnego filmu „Nienawiść” Mathieu Kassovitza (1995), a przecież dzięki modzie na kinowe wznowienia mogliśmy obejrzeć ten tytuł w styczniu tego roku.

Okazuje się więc, że wyprawa do kina na wprowadzany ponownie do dystrybucji po półwieczu od premiery film jest aktem buntu przeciw ogłupiającemu i zubażającemu naszą kulturę systemowi. Co ważne, wznowienia, o których dziś piszę, coraz częściej stają się nie tylko domeną kin studyjnych. „Piknik pod Wiszącą Skałą” np. zawitał tego lata do sieci Multikino.

Kibicuję więc tym przedsięwzięciom i czekam na kolejne propozycje; marzy mi się obejrzenie na wielkim ekranie nie tylko wielkich spektakli, jak „Lawrence z Arabii” Davida Leana, lecz także wielu pomniejszych tytułów. Każdy zapewne ułoży swoją listę marzeń. W epoce rozdrobnienia, atomizacji, fragmentyzacji, wymuszonej samotności przed telewizorem czy smartfonem kino zostało ostatnim wielkim bazarzem: zbieramy się razem w ciemnej sali, by z wypiekami na twarzy chłonąć niezwykłą opowieść. I czynić to tak, jak bazarzy słuchać należy: we wspólnocie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Isao Takahaty (1994), a zwolennicy kina bardzo, bardzo artystycznego – „Piękna żółśnice” Jacques’a Rivette’a (1991).

Najciekawiej jednak robi się, gdy spojrzymy na pozostałe tytuły. Nie ma tu już mowy o szukaniu niszy, są to nie tylko pozycje ważne dla historii kina, niezapomniane, lecz także o wielkim potencjale, jeśli idzie o ściąganie znów do kin widzów środka, widzów oczekujących dobrego albo nawet wielkiego kina, ale niechętnych nadmiernie ryzykownym eksperymentom. Popatrzmy: od komercyjnego fenomenu francuskiego kina, którym była „Amelia” Jeana-Pierre’a Jeuneta (2001), przez przełomowy tytuł w dziejach kina australijskiego, czyli „Piknik pod Wiszącą Skałą” Petera Weira (1975), aż do oszałamiającego wizualnie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

max

Opowieść z Babilonu



★★★★★

REŻ. MARISKA HARGITAY

„MOJA MAMA JAYNE” („MY MOM JAYNE”)

DOKUMENTALNY, USA 2025

Mam jedno wspomnienie matki” – mówi Mariska Hargitay. „Mam trzy lata, mama rozczesuje moje włosy. Ale nie wiem, czy tak się wydarzyło czy tylko to sobie wyobraziłam”. Reszta jest tragedią: jej matka, filmowa gwiazda Jayne Mansfield, ginie w wypadku samochodowym. Dzieci jadące na tylnym siedzeniu przeżyją cudem. Wychowa je ojciec, Mickey Hargitay; zresztą chyba najbardziej zakochany w Mansfield ze wszystkich mężczyzn, z którymi w życiu flirtowała i za których wychodziła.

Po latach Mariska nagrywa wspomnienia rodzeństwa, przyjaciół rodziny, sięga po archiwalne

materiały, otwiera po raz pierwszy od 1967 r. rodzinny magazyn z pamiątkami. Wszystko po to, by spróbować bliżej poznać utraconą niegdyś matkę. Zapis owych poszukiwań staje się filmem dokumentalnym „Moja mama Jayne” pokazywanym w tym roku na festiwalu w Cannes.

Z jednej strony jest to historia, jakich wiele, bo Mansfield nie była jedyną zdeterminowaną, by zrobić karierę, dziewczyną z prowincji, która przerobiła się na platynową blondynkę. Nazywano ją „Marilyn Monroe dla biedaków”. Miała atrakcyjne ciało i nie wahała się go użyć. Z drugiej strony ochrzczona została „najmądrzejszą z głupiutkich blon-

dynek”. Prawda jest brutalna. Gdy po latach oglądamy ją na ekranie, widać więcej seksapilu i śmiałości niż talentu.

Druga historia – historia córki – jest o wiele ciekawsza, bo śledztwo w sprawie, „jaka właściwie była mama”, przynosi szokujące rezultaty – człowiek, który ją wychowywał i uwielbiał nad życie, Mickey Hargitay, nie był jej biologicznym ojcem. Jayne Mansfield zmieniała bowiem facetów jak rękawiczki, romansując a to z zaprzyjaźnionym prawnikiem, a to z poznanym w Las Vegas komikiem. Ta opowieść z Babilonu okazuje się mieć wielkiego, zapomnianego, pozytywnego bohatera. Mickey Hargitay, świadomy, że dziecko nie jest jego, bez wahania przyjął je jako własne. Po pierwsze dlatego, by chronić karierę i wizerunek byłej żony, po drugie – z nieuleczalnej miłości do wszystkiego, co związane z Mansfield. Jest więc możliwa prawdziwa, bezwarunkowa miłość w bagnie Los Angeles. Szkoda, że tak rzadko. A prawda, która wyzwala, często także musi najpierw zabołeć. ©©

GRA TYGODNIA: „SYSTEM SHOCK 2: 25TH ANNIVERSARY REMASTER”

Coś dla zgredów, którzy ponad ćwierć wieku temu z wypiekami na twarzy próbowali przetrwać na pokładzie statku kosmicznego Von Braun. Chyba spora część z nas wciąż znajduje czas na granie, skoro odświeża się taką starość. Remaster trzyma klimat

i wciąż może się podobać. Docenić należy wierność oryginałowi przy uwspółcześnieniu grafiki, ale nie da się nie zauważyć, że jak na te czasy produkcja jest dość surowa. Czy zainteresują się nią nowi gracze? Dla młodych będzie to jak wizyta



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

w muzeum. Ja bawiłem się świetnie. Zgred. ©© **Radosław Wojtas**

• **Gatunek:** akcji, FPP
• **Platforma:** PS5, PS4, XONE, XSX, NS, PC
• **Producent, wydawca PL:** **Nightdive Studios**

Selfik z impresjonistą

KINO

Są takie bajki, które mimochodem wiele mówią o rzeczywistości. Film Cédrica Klapischa, ozdoba tegorocznej kanikuły, dostarcza bezcennych informacji o stanie ducha Francuzów, o tym, jak rodacy Emmanuela Macrona widzą siebie i jakimi chcieliby być widziani przez postronnych. Zaczniemy od czasów współczesnych. Dzisiejsi paryżanie są tacy sami jak mieszkańcy innych metropolii: zapracowani neurotycy, którzy nie mają czasu na nic i żyją w permanentnym stresie. Zwykle samotnie lub w związkach na krawędzi rozpadu, bo dwa egoizmy w jednej łódce daleko nie dopłyną. Pozostaje przeszłość, w której króluje mit belle époque – niby odległa, lecz w gruncie rzeczy bliska. Sama sobie wydawała się strasznie nowoczesna, dziś jest symbolem starych, dobrych czasów. Francja dyktowała światu modę i styl życia, Paryż był wyrocznią oraz natchnieniem dla elit władzy, pieniądza tudzież koryfeuszy kultury.

Było, minęło? Nie do końca. Trzydziestoro prawnuków i praprawnuków Adèle Meunier musi rozstrzygnąć los opuszczo-



★★★★★

REŻ. CÉDRIC KLAPISCH
„PEWNEGO RAZU W PARYŻU”
 („LA VENUE DE L'AVENIR”)
FRANCJA 2025

wyst. Suzanne
 Lindon, Abraham
 Wapler, Vincent
 Macaigne

nego domu w Normandii. Znalazł się inwestor, który chce zbudować w tym miejscu hipermarket. Odtąd akcja biegnie dwutorowo. Śledzimy poczynania delegacji spadkobierców i perypetie Adèle, która w 1894 r. samotnie wyprawiła się do stolicy. Los niepiśmiennego dziewczęcia ze wsi w prawdziwym Paryżu byłby marny, ale tu Montmartre i nadbrzeża Sekwany są krainą łagodności.

Płeć piękna realizuje swą wolność, pozując do aktów lub dotrzymując towarzystwa klientom przypominającego pałac burdelu. Spodziewałem się, że w którymś momencie zza węgła wyjrzy figlarnie uśmiechnięta Amelia, lecz nie doceniłem fantazji Klapischa: upchnął w jednym kadrze prawie wszystkich impresjonistów. Ba, w roli obłęsnego starucha obsadził Victora Hugo! Promowanie

czegoś, co zostało już dawno wypromowane, to wdzięczne zadanie, a przy tym współgra z przekazem: „My, Francuzi, nie przestajemy być uroczy, nawet gdy się złościmy, kłócimy i zadzieramy nosa”. Poznając przeszłość, poznajemy siebie, n'est-ce pas? Kiedy jeden z bohaterów radzi: „Jeśli chcesz prawdziwej miłości, to jedź do Włoch”, wiemy, że wkrótce się zakocha. Oczywiście w paryżance. ©© **Wiesław Chelminiak**

WALENTYNKI 1900

Brytyjska cywilizacja kontra australijska natura. Pięćdziesiąt lat po premierze wraca na ekrany najbardziej inspirujący z filmów wyprodukowanych na antypodach. „Piknik pod Wiszącą Skałą” uchylił bowiem drzwi, które ostatecznie wyłamał z zawiasów David Lynch i Chris Carter. Sprawca zamieszania, czyli Peter Weir, zawiódł potem koneserów, idąc na zgniłe kompromisy z hollywoodzkimi groszorbami, lecz umiejętności uszlachetniania przedsięwzięć zgłębiał rozrywkowych nie zatracił. W „Pikniku...” ważniejszy od z góry zapowiedzianego dramatu jest sposób, w jaki reżyser ogrywa tajemnicę skały, zdającej się wywierać hipnotyczny wpływ na jednostki ulegające emocjom złe widzianym w epoce gorsetów. „Wszystko kończy się w odpowiednim czasie i miejscu”. Radzę jednak unikać serialu z roku 2018, w którym magii jest mniej niż trucizny w zapalcie. ©©



★★★★★

REŻ. PETER WEIR
„PIKNIK POD WISZĄCĄ SKAŁĄ”
AUSTRALIA 1975

wyst. Rachel
 Roberts, Anne
 Louise-Lambert,
 Margaret Nelson

KINO

DO ZOBACZENIA

Od kołyski po grób



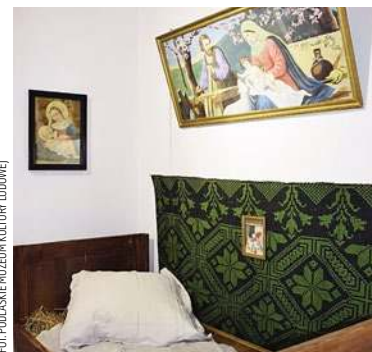
**RADOSŁAW
 WOJTAS**

GDZIE? Podlaskie
 Muzeum Kultury
 Ludowej
KIEDY? do
 15 października

Autorki wystawy „Od świtu do zmierzchu – obrzędowość rodzinna”, która opowiada o (nie tak znowu) dawnych zwyczajach i obrzędach charakterystycznych dla mieszkańców wsi północno-wschodniej Polski, skupiły się na trzech kluczowych wydarzeniach w życiu każdego człowieka: narodzinach, zaślubinach i śmierci.

Tym wydarzeniom towarzyszyły rytuały (na wystawie

podkreślono różnice w zwyczajach dwóch żyjących obok siebie społeczności: katolickiej i prawosławnej), których bezwzględnie przestrzegano. „W obrzędach ważną rolę odgrywały konkretne przedmioty, takie same mimo upływu lat. Były to m.in.: łóżko (miejsce porodu, konania, łoża małżeńskie) czy stół, przy którym celebrowano uroczystości, i te radosne, i smutne. Przy nim odbywały się przyjęcie z okazji



FOT. PODLASKIE MUZEUM KULTURY LUDOWEJ

chrztu, uczta weselna, poczęstunek po śmierci bliskiej osoby” – piszą kuratorki. Ale to również odpowiednie do okoliczności potrawy, stroje, a przede wszystkim ziola. ©©

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ćwiczenie z pamięci

Pani nazywała się Baranowa, ale nie wiem, jak miała na imię. I nie jestem pewny, czy w ogóle kiedykolwiek wiedziałem. Coraz bardziej doskwiera mi fakt, że nie znam jej imienia” – pisze Piotr Szewc w najnowszej książce „Było”, będącej jednym wielkim niedopowiedzeniem. Bo czegoż można być do końca pewnym z odległych przecież niczym wieczność lat dziecięcych? Pamięć pozwala nam przybliżyć to, co było. „Ile jednak – pyta autor – można złowić w sieć coraz bardziej dziurawą i o dużych okach”?

W tekście pomieszczonym na okładce książki znajdujemy skądinąd retoryczne pytanie: „Wiemy, że nie da się ponownie zamieszkać w przeszłości, ale czy warto się od niej odwracać?”. Jasne, że nie warto, zresztą to niemożliwe, chyba że przekroczymy granice zakłamania i wymyślimy sobie samych od nowa. Dałbym więc temu pytaniu nieco inne zakończenie: „Ale co nam szkodzi spróbować?”.

Piotr Szewc zaryzykował i udało mu się. „Było” osadzone jest w małej ojczyźnie autora udanej i głośnej swego czasu „Zagłady” – na ziemi zamojskiej. Pisarz wprowadza nas po Czołkach, Tomaszowie Lubelskim i Zamościu, takich, jakie widział w latach 60. zeszłego wieku i jakie zapamiętał. Nie są to jednak proste wspomnienia. Piotr Szewc wskrzesza tamto swoje widzenie, usiłując przywołać dawne emocje i zauroczenia. Tych ostatnich było niemało, choć z dzisiejszego punktu widzenia tamten świat wydawać się może nieciekawym, byle jaki, w najlepszym razie banalny. I taki może i był, ale przed tym, by uznać go za nudny i szary, chronili ludzie, zwyczajni, ale w oczach dziecka absolutnie



FOT. ZBICHO/WNPEDACE B-S4.40

niezwykli, a także rzeczy, np. butla z wiśniowym sokiem, gumowy pingwin, zdjęcia aktorek wiszące na ścianie sklepu.

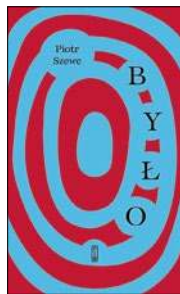
„Zabawki nudziły mnie – powiada autor – bo nie potrafiłem znaleźć z nimi wspólnego języka. Co innego zaglądać do żłobu w oborze, gdzie okociła się kotka, a ja co dzień sprawdzałem, czy małe już widzą. Co innego głaskanie cielęcia. Wkładanie ręki pod kwokę w gnieździe, żeby sprawdzić, czy wykluło się pierwsze pisklę”. Ciekawe, że sklep z zabawkami przynębiał swą brzydota, olśniewał natomiast odpustowy kram jawiący się jako pełen niezwykłości Sezam. Że tandetny? Cóż z tego, skoro kolorowy, mieniący się barwami niczym kalejdoskop. Tyle że i ten kalejdoskop w końcu przestał być atrakcyjny, nie mówiąc o odpustowym korkowcu cieszącym dzień zaledwie. Może jeszcze o smakach z tamtych czasów i miejsc należałoby wspomnieć. Ale jak przywołać smak odpustowego (znów) przysmaku, jakim były szczypcy? Pamięć przechowała rozmowy ze starszymi, babcią, dziadkiem, panem Kawą, który

swojego kilkuletniego rozmówcę traktował z całą powagą i z tego powodu przede wszystkim na pamięć tę zasłużył.

Przeszłość tworzy całość zamkniętą i, niestety, bezpowrotną. No bo np. co się stało z ogródkiem, którym zajmowała się babcia? „Coraz starszej babci musiało starczyć sił na najkonieczniejsze przydomowe obowiązki, gdy nie żył już dziadek, nie było krów ani konia. Ogródek dziczał jak maliny za ścianą domu. Ścieżki zarastały chwastami. Daremnie szukając ocalenia, ponad lebiodą i perzem, na długich łodygach obracały się rozczochrane, czerwone głowy piwonii. Uważam, że ogarniała je trwoga. Ich krótkotrwały żywot mogło przedłużyć tylko nasze spojrzenie. Pośród jaskrów i krwawnika nierówno walczyły o życie goździki. Powój dusił floksy i purpurową różę. Ogródek umierał, rodziło się dzikie królestwo”. Nieuchronność tego procesu jest oczywista, jednak – jak śpiewał Bułat Okudźawa – „wsio tak i żał”.

Liczy Piotr Szewc kocie łby na swojej uliczce na przedmieściu, składa rozsypane elementy, kawałeczki, części. Przypomina ludzi, których uważał za starych, a przecież byli młodszy niż on dzisiaj: „Babcia miała w tamtych czasach czterdzieści kilka lat...”. No tak, no tak.

Swoją nową książką udowodnił nam autor „Było”, że naprawdę, mimo upływu lat, wciąż nie opuszciliśmy miejsc naszego urodzenia, dzieciństwa, dojrzewania. Mamy swoje Czołki, Tomaszowy, Zamoście. To, co się działo tam i wtedy, niezmiennie jest istotne. Wciąż jednak fascynuje, choć – przyznajmy – bywa, że i męczy. Bo też jak, co cholery, miała na imię pani Baranowa? ©



★★★★★
PIOTR SZEWC
„BYŁO”
PIW 2025



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Lubta mnie!

Interpretatorzy, jak wiadomo, wiedzą wszystko lepiej od pisarzy. Kłopot zaczyna się wtedy, gdy pisarze nie mogą się już bronić. Nick Groom jest interpretatorem zawodowym, od dekad prowadzi na angielskich uniwersytetach zajęcia z Tolkiena. Napisał książkę nierówną, która ukazuje go tyleż jako kompilatora i researchera, co zawodowego podlizywacza.

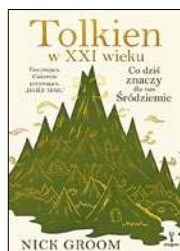
Komu miałby się podlizywać? Publiczności, czyli studentom, przynajmniej tak wnioskuję z jego wywodów. Niegdyś uniwersytety potrzebne były, by kształcić i uczyć samodzielnego myślenia. Dziś służą do tego, by mówić studentom to, co chcą usłyszeć. I oto Nick Groom podlizuje się dzieciakom, twierdząc, że równie ważne dla niego są wywiedzione z dzieła Tolkiena gry komputerowe, komiksy, adaptacje filmowe, ruch fanowski. A właściwie dlaczego? Większość opisanych zjawisk to tylko żerowanie na popularności oryginału. Dlaczego mielibyśmy szukać kluczy do Tolkiena poprzez tych, którzy ich szukaniem nie są zainteresowani?

Dochodzimy do sedna sprawy. Zgodnie z tym, co mówi tytuł „Tolkien w XXI wieku. Co dziś znaczy dla nas Śródziemie”, Grooma interesują

społeczne i popkulturowe echa dokonań pisarza. Na szczęście nie tylko. Są tu rozdziały bardzo ciekawe, gdy autor rozważa kwestię zła, dobra, odkupienia i katharsis u Tolkiena (inna sprawa, że najciekawszy jest, gdy cytuje innych autorów). Ale w innych miejscach trafia kulą w płot.

Jakże miał Tolkien piętnować „fasyzm”, skoro największy wpływ na ukształtowanie się Mordoru we „Władcy Pierścieni” miały przeżycia autora podczas pierwszej wojny światowej? Jakże idiotyczne jest wezwanie, by nie interpretować powieści jako katolickiej, choć sam Tolkien pisał, że jest to „dzieło religijne i katolickie”? I cóż to za argument, że „jest to niestosowne w społeczeństwie wielowyznaniowym, wieloetnicznym, wielokulturowym”? I czemu ten argument cytowany jest za dziwną postacią, którą jest prof. Ronald Hutton – idol ruchu neopogańskiego? Czy faktycznie dzieje Númenoru to potępienie kapitalizmu i kolonializmu?

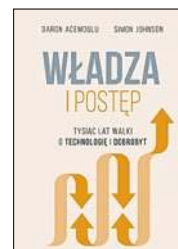
Wieloaspektowy XXI-wieczny przemysł tolkienowski to określenie, którego używa sam autor. Jego książka jest po prostu częścią tego przemysłu. Do myślenia i interpretacji musimy zabrać się samodzielnie. ©©



★★★★★
NICK GROOM
„TOLKIEN W XXI WIEKU”
INSIGNIS 2025

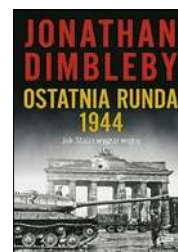
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Co przyniosła 1000-letnia walka o technologię i dobrobyt? Zdaniem autorów, laureatów Nagrody Nobla z ekonomii, przełomowe wynalazki dają władzę, a dziś są też narzędziem, które wzmacnia wąską elitę i niszczy demokrację.



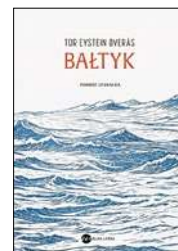
DARON ACEMOGLU, SIMON JOHNSON
„WŁADZA I POSTĘP”
ZYSK I S-KA

„Jak Stalin wygrał wojnę” – podtytuł książki to herezja dla zachodnich czytelników – pisze autor. Rok 1944 to fundament sowieckiej okupacji Europy. Bardziej dzieło dziennikarza niż historyka, więc barwnie napisane.



JONATHAN DIMBLEBY
„OSTATNIA RUNDA 1944”
ZNAK

Efekt długiej wyprawy wokół Bałtyku. Celny podtytuł „podróż literacka”, bo norweski autor patrzy przez okulary innych pisarzy, a także zapisuje unikatowy – bo z niespodziewanej perspektywy pisany – dziennik i katalog refleksji.



TOR EYSTEIN ØVERÅS
„BAŁTYK. PODRÓŻ LITERACKA”
WIELKA LITERA

Ceniony autor SF („Nakręcana dziewczyna”) tym razem proponuje powieść fantasy o świecie przypominającym nieco renesansowe Włochy. Trochę w klimacie „Tigany” G.G. Kaya, ale bardziej akcyjnie, mniej zaś refleksyjnie. ©©

recenzuje Piotr Gociek



PAOLO BACIGALUPI
„NAVOLA”
VESPER

KOMIKS TYGODNIA: BAJKI ROBOTÓW

Duet znany z serii „Ratman” oraz niezliczonych innych (i zawsze piekielnie zabawnych oraz inteligentnych przedsięwzięć) nie zawodzi. „Robocizna” to zbiór komiksowych historyjek w najlepszym duchu „Cyberiady” Stanisława Lema. Bawią już same imiona bohaterów: Akrobot, Elektroliterat,



GRZEGORZ JANUSZ, TOMASZ NIEWIADOMSKI
„ROBOCIZNA”
KURC 2025

Nanowak. Jeden z najlepszych albumów roku, bez dwóch zdań. ©©

Piotr Gociek



Krystian Kratiuk

Polscy politycy, ogłupieni postulatami „neutralności światopoglądowej”, „rozdzielenia Kościoła od państwa” albo „religii jako sprawy prywatnej”, przegapiają właśnie wielki powrót idei religijnych do polityki. Chodzi o powrót na Zachodzie, gdyż na szeroko pojętym Wschodzie religia przecież od polityki nie odeszła

W czerwcu 2025 r., podczas kolejnej wojny na Bliskim Wschodzie, wielu Europejczyków zachodziło w głowę, dlaczego USA za każdym razem tak chętnie popierają Izrael w jakimkolwiek konflikcie. Przez ostatnie dekady wielu speców od geopolityki, tłumacząc to, powtarzało po prostu truizmy o „amerykańskiej strefie wpływów” w regionie. Tym razem nie było inaczej. Ale wzrost antypatii wobec Izraela, a także szczerość, która się ujawniła wśród niektórych wpływowych Amerykanów, sprawiły, że rozgłosu nabiera inna odpowiedź – otóż Stany Zjednoczone chronią Izrael ze względu na zapatrywania religijne swoich licznych przedstawicieli.

Jakie to zapatrywania? Chodzi rzecz jasna o „chrześcijański syjonizm”, ruch religijny popularny szczególnie wśród amerykańskich protestantów, zwłaszcza ewangelików, wskazujący na rzekomy obowiązek ochrania państwa Izrael przez... wyznawców Chrystusa. Jego istotą jest przekonanie, że Państwo Izrael ma centralne znaczenie w planach Bożych i wypełnianiu biblijnych proroctw, a jego powstanie i rozwój to znaki czasów poprzedzające powtórne przyjście Chrystusa. Ruch ten odwołuje się m.in. do wersetu z Księgi Rodzaju 12, 3, gdzie Bóg powiedział Abrahamowi: „Będę błogosławił tym, którzy ciebie błogosławić będą, a tym, którzy tobie będą złorzeczyli, i ja będę złorzeczył. Przez ciebie będą otrzymywały błogosławieństwo ludy ca-



Po co jest Polska?



Ted Cruz jest prominentnym przedstawicielem chrześcijańskiego syjonizmu. FOT. EVAN GARCIA/REUTERS/FORUM

America Great Again – ten, który wyniósł Trumpa do władzy – w niezwykle ostrych słowach krytykował prezydenta. Donald Trump obiecał wszak zakończenie amerykańskich interwencji wojskowych z dala od Ameryki. Wielu działaczy z kręgu MAGA uznało to za złamanie obietnic wyborczych i radykalne odejście od zapowiadanego kursu. Oskarżali rząd o uleganie wpływom neokonserwatystów oraz Izraela, co rozwścieczyło znaczącą część tej bazy wyborczej republikanów.

Ktoś mógłby powiedzieć, że reakcje te to zwykły antysemityzm – jak próbuje to przedstawiać Izrael – i nie mają nic wspólnego z religią. Czyżby?

Otóż jeden z medialnych przedstawicieli ruchu MAGA, znany dziennikarz Tucker Carlson, przeprowadził w tamtych dniach wywiad z senatorem Tedem Cruzem, niezwykle wpływowym politykiem republikanów, reprezentującym Teksas, a więc jeden z najbardziej konserwatywnych stanów. Zapytany o to, po co USA wspierają Izrael, odpowiedział: „Po pierwsze, jako chrześcijanin wychowany w szkółce niedzielnej [...] nauczono mnie z Biblii, że ktokolwiek błogosławi Izraelowi, będzie błogosławiony, a kto przeklina Izrael, będzie przeklęty. Z mojej perspektywy wolę być po stronie błogosławieństwa”. Potem dodał jeszcze, że „zgodnie z Biblią mamy obowiązek wspierać Izrael”. W kolejnej części wywiadu, gdy Carlson pytał o Iran, Cruz powtarzał, że wspieranie izraelskich działań militarnych – w tym ewentualne uderzenia – jest „uzasadnione zarówno strategicznie, jak i religijnie”, a kluczową przesłanką jego stanowiska jest właśnie przywołany werzet biblijny.

Ted Cruz, ewangelik, jest prominentnym przedstawicielem chrześcijańskiego syjonizmu. O szczegółach tego ruchu można przeczytać w pierwszym numerze e-kwartalnika PCh24.pl (do pobrania na tym portalu) oraz w najnowszej książce Pawła Lisickiego „Mesjasz i Trzecia Świątynia. Herezja chrześcijańskiego syjonizmu, jej wyznawcy i ich wojny” (wydawnictwo Fronda).

Ruch ten zauważyli również przez lata sprzyjający przeciw Izraelowi i wszelkim formom poprawności politycznej przedstawiciele lewicy – pisali o nim zarówno amerykański „New York Times”, jak i brytyjski „The Guardian”. Ale za

przykład niech posłuży nam duży tekst opublikowany pod koniec czerwca 2025 r. na łamach portalu CNN. Diana Butler Bass, progresywna badaczka religijna, argumentuje w nim, że reakcja amerykańskich chrześcijan na konflikt Izrael – Iran „kierowana jest bardziej Biblią niż analizą polityczną”.

Doprawdy, miliony czytelników tego portalu mogły być zaskoczone, gdy na stronie głównej przeczytały tytuł: „To nie polityka, ale proroctwa wpłyną na konflikt między Ameryką a Iranem”. A jeszcze bardziej ochoczo łapali się za głowę, gdy przeczytali tam, że ich przywódcy „wierzą, iż wojna wywoła serię wydarzeń, które doprowadzą do powrotu Jezusa na ziemię”.

Oczywiście coraz większa liczba tytułów prasy liberalnej i lewicowej podnoszących ten temat świadczy nie tyle o niechęci wobec Izraela jako takiego (choć i tu widzimy ogromną zmianę w porównaniu z poprzednimi dekadami), ile raczej o niechęci wobec religii, chrześcijaństwa (nawet w tak wypaczonym rozumieniu), no i rzecz jasna Donalda Trumpa.

DYPLMACJA OPARTA NA WIERZE

Przedstawiciele chrześcijańskiego syjonizmu nie „łowią” jednak, rzecz jasna, jedynie w USA. Niech świadczy o tym choćby niezwykle historia z Republiki Południowej Afryki z 2024 r., opisana niedawno przez Gedaliaha Bluma, założyciela Heartland Initiative, organizacji skupiającej się na dyplomacji opartej na wierze (faith-based diplomacy) i wspieraniu Izraela poprzez budowanie relacji ze środowiskami religijnymi na całym świecie.

Otóż w RPA od lat rządzi partia o nazwie Afrykański Kongres Narodowy (ANC), w ostatnich latach sympatyzująca z Teheranem. I co? Oto do Izraela przybyła delegacja przedstawicieli Shembe Baptist Church – jednego z największych kościołów w RPA, liczącego ok. 8 mln członków. W trakcie wizyty w jerozolimskim Friends of Zion Museum duchowy przywódca tego Kościoła wygłosił przesłanie: „Jeśli głosujecie na rząd ANC, to głosujecie przeciwko Bogu”.

To mocne stwierdzenie, zaniesione potem pod południowoafrykańskie strzechy, wywołało ogromny rezonans

łej ziemi”. Interpretacja jest prosta – kto pomaga Izraelowi, ten będzie błogosławiony przez Boga.

Z chrześcijańskiego syjonizmu wynika zatem gorące, bezwarunkowe poparcie dla polityki Izraela, również tej militarnej, a także postulat odbudowy Świątyni w Jerozolimie, co w oczach wyznawców tego nurtu ma przyspieszyć Armagedon i ponowne przyjście Chrystusa. Szczególne znaczenie odgrywają tu Apokalipsa św. Jana (Ap 16, 16) i List do Rzymian (Rz 11, 25), przepowiadające powrót Żydów na Ziemię Obiecaną i ich przyszłe nawrócenie jako elementy poprzedzające „tysiącletnie królestwo Mesjasza”.

ZDUMIENIE W MAGA

Gdy USA bombardowały opustoszałe obiekty nuklearne w Iranie, ruch Make

■ – przekaz rozszedł się w kraju dwa tygodnie przed wyborami. Jak wskazuje Blum, to właśnie przez ten akt „dyplomacji opartej na wierze” wyrażonej w tak jednoznacznym komunikacie wynik wyborów został radykalnie zmieniony. „Dyplomacja oparta na wierze uderzyła w samo serce antyizraelskiego ruchu politycznego – nie za pomocą broni czy umów gospodarczych, ale za pomocą wiary i prawdy” – utrzymuje Blum.

Skutki tego działania były rzeczywiste zaskakujące. Otóż po raz pierwszy od ponad 30 lat ANC utracił samodzielną większość w parlamencie i zmuszony został do zawarcia koalicji z bardziej umiarkowaną Democratic Alliance. ANC otrzymał aż o jedną trzecią głosów mniej niż w ostatnich latach!

„Dyplomacja oparta na wierze” nie jest oczywiście jedynie domeną Zachodu. Od lat przecież na odwołaniu do sentymentu religijnego i wiary prawosławnej swoją pozycję w regionie (a także daleko poza regionem, trafiając do serc i umysłów niektórych konserwatystów w Europie i USA) buduje Rosja Władimira Putina. Podobne działania są oczywistością dla wielu państw, w których dominuje islam z irańskim rządem ajatollahów na czele, nie mówiąc o Arabii Saudyjskiej, Pakistanie czy nawet – wciąż formalnie świeckiej – Turcji.

Indie, choć konstytucyjnie również pozostają świecką republiką, w ostatnich latach doświadczyły wyraźnego przesunięcia ideologicznego w stronę nacjonalizmu religijnego. Od objęcia władzy przez Indyjską Partię Ludową (BJP) i premiera Narendrę Modiego w 2014 r. wzrosło znaczenie hinduizmu – ideologii utożsamiającej indyjską tożsamość narodową z hinduizmem. W praktyce przekłada się to na reinterpretację historii w duchu hinduistycznym (np. pomniejszanie roli dynastii mużmańskich), wspieranie symbolicznych działań religijnych, takich jak budowa świątyni Ram w Ajodhji, a także na działania legislacyjne, jak uchwalona w 2019 r. ustawa o obywatelstwie, która uprzywilejowuje niemuzułmańskich uchodźców.

Mogłoby się wydawać, że oczywiście będzie stwierdzenie, iż jeśli nie politykę, to dyplomację opartą na wierze prowadzi też Watykan, jedyne teokratyczne państwo Zachodu. Ale musiałoby

Czy ktoś z nas wyobraża sobie któregośkolwiek z polskich posłów lub senatorów powołujących się na Pismo Święte, Katechizm lub po prostu na Pana Boga, gdy mówią o polskiej polityce zagranicznej?

to oznaczać, że katolicyzm równa się wyłącznie pacyfizmowi, „prawom człowieka” i trosce o ekologię.

Nieszczęsny przykład Watykanu, położonego wszak w Europie, pokazuje, w jakim kryzysie i zapóźnieniu względem świata znajduje się Stary Kontynent. Oto przecież niemal wszystkie państwa europejskie z niejakim wstydem odnoszą się do religii, gdyż ich mieszkańcy coraz rzadziej mają z religią cokolwiek wspólnego. Czasem tylko któryś z konserwatystów ośmieli się powiedzieć coś o „chrześcijańskim dziedzictwie”, a i wtedy jest z miejsca przywoływany do porządku.

Podobnej religijnej autocenzury nauczani jesteśmy również w Polsce – kraju, który wciąż jeszcze może poszczycić się katolickimi odruchami politycznymi. I dotyczy to także prawicowych polityków.

Czy ktoś z nas wyobraża sobie któregośkolwiek z polskich posłów lub senatorów powołujących się na Pismo Święte, Katechizm lub po prostu na Pana Boga, gdy mówią o polskiej polityce zagranicznej? Tak jak robi to Ted Cruz? Owszem, od czasu do czasu któryś z polityków powie coś o tym, że „prywatnie jest katolikiem”, więc „jego zdanie w kwestii aborcji jest jednoznaczne”. Choć tyle. Na mapie Europy to i tak bardzo wiele.

Ale wyobraźmy sobie Polskę prowadzoną przez prawicę, wraz z milionami polskich katolików (tak, wciąż jest nas tyłu), która próbuje urządzić nie tylko wewnętrzne, lecz także dyplomatyczne porządki, powołując się na wiarę katolicką. I powołując się wprost na nią?

Przywykliśmy jednak do frazesów o „neutralności światopoglądowej”, a więc o czymś, co nie istnieje i co służy

jedynie jako pałka do bicia co bardziej wyrywnych w sferze publicznej katolików. A i Polska, pod rządami prawicy, mogłaby przecież prowadzić dyplomację opartą na wierze, stając się niejako miejscem wsparcia, a może i azylu wobec coraz bardziej zagrożonych konserwatystów w całym regionie.

Czy trudno wyobrazić sobie Polskę jako przedstawiciela cywilizacji chrześcijańskiej, upominającą się o prawo do życia, łamane w tak wielu miejscach świata? Mimo trwania tych aborcyjnych reżimów „prawo do aborcji” ma wielu przeciwników. Czy zdajemy sobie sprawę, jak wielu przyjaciół, wśród zwykłych ludzi, nagle uzyskałaby Polska? A przecież tak lubimy, gdy nas chwala za granicą.

Czy trudno sobie wyobrazić prawicowy rząd Rzeczypospolitej, który upomina się o ofiary bezkrwawych prześladowań związanych z tzw. mową nienawiści? A więc ludzi wsadzanych do więzienia za niechęć wobec ideologii LGBT i łamiących zasady absurdałnej politycznej poprawności. Zyskalibyśmy jeszcze więcej przyjaciół i sympatyków. A państwa, łamiące te zasady we wszelkich pozostałych dziedzinach, w których współpracują z nami do tej pory, nadal musiałyby to przecież robić. Albo czy trudno wyobrazić sobie Polskę jako lidera oporu wobec prześladowań chrześcijan na całym świecie, zwłaszcza w krajach islamskich?

Można tak wymieniać bardzo długo. Zyskać moglibyśmy nie tylko przyjaciół, lecz także wdzięcznych naszej kulturze azylantów, prawdziwie potrzebujących i w jakiś sposób zbliżonych kulturowo do Polaków, wymierających przecież z powodu braku dzieci na własne życzenie. Lepšie to niż przyjmowanie nachodźców, nieprawdaż?

Ale by to zrealizować, trzeba zdawać sobie sprawę, że jak świat długi i szeroki, religia przestała być gorszą siostrą polityki. I trzeba rozumieć, po co rządzą się państwem, którego ster się przejmują. Hinduiści w Indiach wiedzą, po co są Indie. Amerykańscy protestanci są przekonani, że wiedzą, do czego służą USA. Żydzi doskonale wiedzą, do czego potrzebne jest im Państwo Izrael.

Który z polskich polityków wie i zechce głośno powiedzieć, po co jest Polska?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorem jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.



Anna Mandrela

Zwolennicy negowania istnienia komór gazowych nazywają swoich oponentów „wyznawcami religii Holokaustu” lub „filosemitami”. Nie jestem w stanie zrozumieć, czemu ma służyć używanie tego typu określeń. Masowe morderstwa dokonywane przez Niemców na Żydach z całej Europy to udowodniony historycznie fakt. Nie możemy temu zaprzeczać niezależnie od tego, jak oceniamy obecną politykę Izraela

Nie milkną echa dyskusji po wywiadzie Grzegorza Brauna dla Radia Wnet, który został prze-rwany przez redaktora Łukasza Jankowskiego. Dla wielu publicystów i internautów sprawa jest jasna – Braun, negując istnienie komór gazowych, działał na niekorzyść Polski, a do tego jego słowa przysłoniły dyskusję na temat Jedwabnego, rocznicy krwawej niedzieli na Wołyniu i rocznicy oblawy augustowskiej. Czytając komentarze internautów na portalach społecznościowych, widzimy, jak słaba jest wiedza polskiego społeczeństwa na temat zbrodni dokonanych przez Niemców na ziemiach polskich.

Dla zwolenników Grzegorza Brauna ważniejsze jest szukanie najróżniejszych usprawiedliwień dla jego słów niż prawda historyczna. Ci internauci i publicyści idą w zaparte, twierdząc, że Braun wcale nie zanegował zbrodni dokonywanych przez Niemców przy użyciu gazu. Jeden z argumentów, który często pojawia się w komentarzach, to ten, że komory gazowe na terenie obecnego muzeum zostały zrekonstruowane i że rzekomo to miał na myśli europoseł Braun, używając słowa „fake”. Takiej argumentacji brak jednak logiki, ponieważ w dalszej części wypowiedzi dla Radia Wnet Grzegorz Braun stwierdził, że „badania właśnie owych komór gazowych są uniemożli-

wiane przez samo Muzeum Auschwitz-Birkenau”. Jeśli ktoś twierdzi, że komory gazowe zostały w muzeum całkowicie zrekonstruowane, to dlaczego miałyby narzekać na brak badań? Komu przyszłoby na myśl badać ślady cyklonu B w pomieszczeniach, które miałyby być całkiem zrekonstruowane?

BADANIA POLSKICH NAUKOWCÓW

Czy rzeczywiście takich badań nie było? Oczywiście nie jest to prawda. W 1994 r. Instytut Ekspertyz Sądowych w Krakowie przeprowadził ponownie badania śladów pestycydu w ścianach komór gazowych byłych obozów koncentracyjnych Auschwitz i Birkenau. Potwierdziły one, że komory służyły do zabijania ludzi. Badania przeprowadził

rękę i wysłał je do laboratorium, nie informując o kontekście ani o potrzebie wykrywania nawet śladowych ilości cyjanowodoru. Następnie stwierdził, że komory gazowe nie mogły być używane do masowych mordów. Badania polskich naukowców obaliły całkowicie twierdzenia Leuchtera. Systematyczne badania, przeprowadzone z użyciem najczulszych metod analitycznych przez Instytut Ekspertyz Sądowych, potwierdziły obecność związków cyjanku we wszystkich rodzajach ruin komór gazowych – nawet w piwnicy bloku 11 w Auschwitz, gdzie doszło do pierwszych eksperymentalnych aktów gazowania ofiar za pomocą cyklonu B.

Niektórzy, broniąc słów Brauna, twierdzą, że Niemcy mordowali przy użyciu gazu jedynie w Birkenau, a Braun słowa

Słowa Brauna to narracja antypolska

zespół polskich naukowców: dr Jan Markiewicz, dr Wojciech Gubała i inż. Jerzy Łabędź. Ich celem była odpowiedź na kłamstwa tzw. rewizjonistów. Chodziło tu zwłaszcza o kontrowersyjny „Raport Leuchtera”. W 1988 r. amerykański technik elektronik Fred Leuchter został zatrudniony przez obrońcę Ernsta Zündela – niemieckiego neonazysty sądzonego w Kanadzie za rozpowszechnianie negacjonizmu. Leuchter pobrał próbki ze ścian komór gazowych na własną

„fake” miał użyć jedynie w kontekście Auschwitz. Jednak obóz Birkenau zaczął funkcjonować w marcu 1942 r., a pierwszego masowego mordu przy użyciu gazu Niemcy dokonali we wrześniu 1941 r.! W piwnicach bloku 11 zamordowano wtedy 600 sowieckich jeńców wojennych oraz 250 chorych więźniów. Relacjonował to w swoich wspomnieniach komendant Auschwitz Rudolf Höss. Twierdził, że nie był obecny przy pierwszym uśmiercaniu ludzi w piwnicach

bloku 11, ale przyglądał się kolejnym. Pod koniec września 1941 r. przebudowano kostnicę przy krematorium w Auschwitz na komorę gazową. Niemcy kontynuowali w niej uśmiercanie sowieckich jeńców oraz chorych Polaków. Höss w swoich wspomnieniach opisał moment zagazowania 900 Rosjan, który szczególnie utkwił mu w pamięci. Miał

przed komisją złożoną z kilku esesmanów i komendantki obozu. Te, które były za słabe, żeby biegać, wysyłano na blok 25 zwany „blokiem śmierci”, a następnego dnia mordowano w komorze gazowej.

DZIECI Z ZAMOJSZCZYZNY

Zachowały się jednak relacje mówiące o transportach Polaków z Zamojszczy-

Komory gazowe to nie „fake”. Niemcy mordowali w nich również polskie dzieci!

wtedy po raz pierwszy zobaczyć w takiej liczbie zwłoki zagazowanych.

NIE TYLKO ŻYDZI

Zwolennicy negowania istnienia komór gazowych nazywają swoich oponentów „wyznawcami religii Holocaustu” lub „filosemitami”. Nie jestem w stanie zrozumieć, czemu ma służyć używanie tego typu określeń. Masowe mordy dokonywane przez Niemców na Żydach z całej Europy to udowodniony historycznie fakt. Nie możemy temu zaprzeczać niezależnie od tego, jak oceniamy obecną politykę Izraela. Zarówno niemieckie zbrodnie dokonane podczas drugiej wojny światowej, jak i mordy dokonywane na cywilach w Strefie Gazy zasługują na potępienie.

W tych dyskusjach zapomina się często, że Niemcy w komorach gazowych zabijali nie tylko Żydów, choć od 1942 r. do Birkenau zjeżdżały transporty Żydów z całej Europy, z których większość ludzi kierowano od razu na śmierć. Wspomnieliśmy już o transportach sowieckich więźniów mordowanych w komorze gazowej, dodajmy ludobójstwo dokonane na Romach. Nawet jeśli polskich więźniów nie kierowano od razu na śmierć, to wystarczyło, że zachorowali i trafili do obozowego szpitala, a wtedy bardzo łatwo mogli zakończyć swoje życie w komorze gazowej. Nie zapominajmy, że w ten sam sposób Niemcy traktowali polskie więźniarki przebywające w obozie dla kobiet w Birkenau. W książce „Z otchłani” Zofia Kossak wspomina, że raz na miesiąc odbywała się selekcja, podczas której każda z więźniarek musiała przebiec kilkadziesiąt metrów

znowy, którzy trafili natychmiast do komór gazowych. Była to część „Aktion Zamosc”, niemieckiego planu wysiedlenia Polaków z Zamojszczyzny. Od listopada 1942 r. do sierpnia 1943 r. deportowano ponad 110 tys. osób. Wielu ludzi wywieziono na roboty przymusowe do III Rzeszy, ale kilkadziesiąt tysięcy Polaków trafiło do obozów koncentracyjnych (Auschwitz-Birkenau i Majdanek). Wśród nich były też dzieci, szacuje się, że 10 tys. straciło życie. Spośród tych dzieci najbardziej znana jest Czesława Kwoka, która została zabita zastrzykiem fenolu 12 marca 1943 r.

Mamy jednak relację podającą, że niektóre z polskich dzieci z tych transportów trafiały prosto do gazu. Opisał to w swoich wspomnieniach Tadeusz Pietrzykowski, który dzięki pomocy rtm. Witolda Pileckiego sam uniknął śmierci w komorze gazowej i został oddelegowany do pracy w szpitalu dla esesmanów. To właśnie podczas tej pracy ten znany bokser miał okazję być świadkiem straszliwej zbrodni. Było to w listopadzie 1942 r. Tego dnia Niemcy pognali wszystkich więźniów do baraków i zakazali im wychodzić. Koledzy Pietrzykowskiego domyślali się, że jest to związane z transportem do gazu, zastanawiali się jednak, dlaczego nie dzieje się to w Brzezince. „Teddy” – jak nazywano Pietrzykowskiego – udał się wtedy wraz z kolegami do magazynu leków, który znajdował się na strychu. Tam poprzez wywietrzniki z dachu więźniowie mogli obserwować okolice krematorium. Ten straszliwy widok Pietrzykowski zrelacjonował następująco: „W pewnym momencie od strony stajni dały się słyszeć

pokrzykiwania esesmanów – nic się tu bez krzyków nie odbywało. I za chwilę zobaczyliśmy dzieci w wieku od 8 do 14 lat. Grupa liczyła około czterdzieścioro chłopców i dziewczynek prowadzonych przez kilkunastu esesmanów. Dzieci niosły małe paczki zawinięte w papier, widocznie z jedzeniem, były biednie ubrane. Zorientowaliśmy się, że były to dzieci ze wsi. Ale skąd? Dlaczego?! Trudno jest mi dzisiaj wspominać tę chyba jedną z najohydniejszych zbrodni w dziejach świata, popełnioną na polskich dzieciach – tych niewinnych duszyczkach urodzonych na ziemiach swoich ojców, dziadków i pradziadków [...]. Zagazowano cały transport. Te niewinne dzieci”.

Jest to ważna, a niestety rzadko przytaczana relacja. Pietrzykowski opisuje tylko jeden z transportów z Zamojszczyzny, ale z raportów rtm. Pileckiego dowiadujemy się, że było ich więcej i że były one kierowane do Birkenau. Być może ten, który zaobserwował Pietrzykowski, wyjątkowo został skierowany do komór gazowej w Auschwitz. Pilecki, pracując w miejscu, gdzie segregowano rzeczy po transportach więźniów zagazowanych w Birkenau, pewnego dnia znalazł ubrania polskich chłopców, książki do nabożeństwa w języku polskim i wiejskie proste różańce. Ten widok wywołał w nim i w jego towarzyszach chęć buntu przeciwko Niemcom.

CZY KOMORY GAZOWE TO REKONSTRUKCJA?

Co z opiniami internautów, którzy twierdzą, że komory gazowe w Muzeum Auschwitz-Birkenau to rekonstrukcja? Należy podkreślić, że komora gazowa w muzeum Auschwitz jest dokładnie tym samym miejscem, w którym Niemcy gazowali chorych Polaków ze szpitala obozowego i wymordowali transport polskich dzieci z Zamojszczyzny. Piwnica bloku 11, w której Niemcy dokonywali mordów przy użyciu gazu we wrześniu 1941 r., jest również oryginalnym miejscem. Co zatem zostało zrekonstruowane? Podczas tworzenia Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w 1947 r. zrekonstruowano na terenie byłego obozu Auschwitz dwa piece krematoryjne i komin, które Niemcy zniszczyli w 1943 r., czyli w momencie, gdy cały proceder ludobójstwa przy użyciu gazu

przenieśli do Birkenau. Do rekonstrukcji pieców i komina użyto oryginalnych elementów pozostawionych przez Niemców. Nie jest więc prawdą, że komora gazowa w Auschwitz została zbudowana po wojnie. To jest to samo miejsce kaźni i jeszcze w 1994 r. polscy badacze wykryli w nim ślady cyklonu B.

Natomiast komory gazowe i krematoria w Birkenau zostały wysadzone przez Niemców w 1945 r. w celu zatarcia śladów zbrodni. Nie były one jednak rekonstruowane. Do dzisiaj na tym miejscu znajdują się ich ruiny, w których co jakiś czas dokonywane są jedynie prace konserwatorskie, mające na celu zabezpieczenie ich przed rozkładem. Muzeum nie dobudowało w tym miejscu żadnych nowych elementów.

Internauci biorący udział w tej dyskusji często zdają się zapominać, że Niemcy uśmiercali przy użyciu gazu nie tylko w Auschwitz-Birkenau, lecz także w wielu innych obozach, m.in. w Bełżcu, Sobiborze, Treblince, Majdanku, Chełmnie. Na terenie III Rzeszy komory gazowe były stosowane w akcji „Eutanazja”

(znanej jako Akcja T-4), w której wyniku mordowano osoby fizycznie i psychicznie nieprzystosowane do życia.

PYTANIE O METODĘ BADAŃ HISTORYCZNYCH

Argumenty, które przejawiają się w dyskusjach, dotyczą głównie badań w komorach gazowych przy niemal całkowitym ignorowaniu zachowanych relacji. Negowanie zeznań tak wielu różnych naocznych świadków, w tym zarówno ofiar, jak i oprawców, to bardzo groźny zabieg retoryczny. Przecież w przypadku opisanego bardzo wielu zbrodni historycy opierają się przede wszystkim na relacjach świadków, zwłaszcza w miejscach, gdzie nie zachowały się narzędzia zbrodni, sprawcy już nie żyją, a ekshumacje nie zostały przeprowadzone.

Przypomnijmy, że w przypadku wielu historycznych zbrodni, np. dokonanych przez UPA na Wołyniu, także opieramy się przede wszystkim na opowieściach ludzi, którzy widzieli te zbrodnie. Ludobójstwo dokonane przez Niemców w KL Auschwitz-Birkenau jest jednym

z najlepiej opisanych ze względu na procesy sądowe oprawców i liczne relacje ocalałych, które muzeum zaczęło zbierać już po wojnie.

Negowanie istnienia komór gazowych to nie tylko fałsz historyczny – to cios w pamięć Polaków, którzy również byli ofiarami niemieckich zbrodni. Powinniśmy walczyć o godne upamiętnienie polskich ofiar KL Auschwitz, o których praktycznie się nie mówi, i to nie tylko za granicą, lecz także w Polsce. Gdy czasami odwiedzam szkoły, aby opowiadać historię rtm. Pileckiego, zauważam, że uczniowie nic nie wiedzą o Polakach pomordowanych przez Niemców, uważając, że w tym obozie ginęli jedynie Żydzi. Często są to klasy, które już odwiedziły Muzeum Auschwitz-Birkenau. W filmie fabularnym „Strefa interesów” (2023), przedstawiającym historię komendanta Auschwitz, również nie wspomniano o Polakach mordowanych przez Niemców. Zadaniem polskich patriotów powinny być upamiętnienie tych ofiar i walka z antypolską narracją.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

JEGO GŁOS NIE UMILKŁ!

Zdumiewające objawienia
ks. Jerzego Popiełuszki
we Włoszech.

Po raz pierwszy ujrzali
światło dzienne.

esprit

Zamów na www.esprit.com.pl lub pod numerem telefonu: 12 262 35 51

Czas zatrzymać imigracyjną gorączkę



Michał Krupa

PKB można podbić, budując setki magazynów, zalewając kraj kontenerowymi osiedlami pracowniczymi i importując ludzi, którym obiecano „polski sen”. Ale czy chcemy być państwem taniej siły roboczej czy krajem, w którym Polacy żyją godnie, z perspektywą i w spójnym społeczeństwie?



FOT. AUBREY STICK

Od kilku lat polska klasa polityczna – od liberałów do samozwańczej „prawicy” – z uporem godnym lepszej sprawy przekonuje nas, że masowa, legalna migracja to panaceum na wszystkie bolączki rynku pracy. Argument koronny? „Rośnie PKB, więc jest dobrze”.

To nie tylko uproszczenie – to groźny mit, który może kosztować nas więcej niż kilka punktów procentowych we wskaźnikach. Bo PKB nie mówi wszystkiego, a już na pewno nie mówi, komu i na jakich warunkach ten wzrost służy.

PKB – STATYSTYCZNE NADUŻYCIĘ

Niech będzie to powiedziane wprost: wzrost produktu krajowego brutto (PKB) nie jest miarą dobrobytu obywateli, a tym bardziej nie powinien być jedynym drogowskazem polityki migracyjnej.

Dlaczego? Bo PKB mierzy ogólną wartość wytworzonych dóbr i usług, nie

dzieląc ich między obywateli a cudzoziemców, nie uwzględniając jakości pracy, kapitału narodowego ani siły nabywczej.

Wystarczy ściągnąć do kraju milion nisko opłacanych pracowników – PKB wzrośnie. Ale czy przeciętny Polak ma z tego jakkolwiek korzyść? Wręcz przeciwnie: konkurencja płacowa, wyższe ceny mieszkań, presja na infrastrukturę i usługi publiczne – to skutki, które odczuwamy już dziś.

PPP – ZAPOMNIANY WSKAŹNIK REALNEGO BOGACTWA

Znacznie lepszym, choć rzadziej przytaczanym wskaźnikiem jest PKB per capita w ujęciu siły nabywczej (Purchasing Power Parity – PPP). To on mówi, ile realnie możemy kupić za nasze wynagrodzenia i jak wypada nasz poziom życia względem innych krajów.

Wielu zwolenników masowej migracji powtarza: „Popatrzcie na Zachód – tam przyjmują imigrantów i są bogatsi!”. Ale to zestawienie jest złudne. Dane Eurostatu i OECD z ostatnich lat jasno pokazują, że wzrost PKB nie musi iść w parze z poprawą siły nabywczej obywateli (PPP), a często wręcz jest odwrotnie.

Przykładowo: w Wielkiej Brytanii PKB per capita (nominalnie) wzrosło od 2010 r. o ponad 20 proc., ale realna siła nabywcza gospodarstw domowych (PPP) niemal stanęła w miejscu, a w ostatnich latach spadła – mimo rekordowej migracji po 2016 r. W Szwecji i Niemczech sytuacja wygląda podobnie: pomimo ciągłego wzrostu PKB i bardzo wysokiego poziomu legalnej migracji realne wynagrodzenia klasy pracującej są pod presją, a koszt życia (energia, mieszkania, usługi publiczne) gwałtownie rośnie. Oba kraje ilustrują szerszy

trend: wzrost gospodarczy i imigracja nie przekładają się automatycznie na poprawę standardu życia klasy pracującej, gdy koszty życia rosną szybciej niż wynagrodzenia.

Z danych OECD wynika, że kraje o najwyższym odsetku ludności urodzonej za granicą – jak Kanada, Szwecja, Belgia czy Wielka Brytania – wcale nie notują wyraźnie wyższej siły nabywczej niż kraje mniej imigracyjne, takie jak Czechy, Węgry czy Słowacja. Co więcej, w wielu z nich rosną koszty życia, szczególnie w miastach z dużą koncentracją migrantów. W Londynie i Sztokholmie średnie czynsze oraz ceny usług przekroczyły już poziom dostępny dla przeciętnie zarabiających mieszkańców – nie dlatego, że brakuje pracy, tylko dlatego, iż model masowej imigracji nie tworzy bogactwa, lecz znacząco przyczynia się do rozwarstwienia.

To pokazuje brutalną prawdę: masowa imigracja nie uruchamia automatycznie mechanizmu wzrostu dobrobytu, a tym bardziej nie podnosi jakości życia obywateli. Często służy jedynie sztucznemu podbijaniu PKB, bez realnych korzyści społecznych – a niekiedy wręcz psuje fundamenty solidarności społecznej i stabilności gospodarczej.

Dane z 2023 r. pokazują, że Polska znajduje się mniej więcej na poziomie 80–85 proc. średniej UE pod względem PKB PPP na osobę (Eurostat). Wciąż daleko nam do Niemiec czy Austrii i nie dlatego, że brakuje nam imigrantów, ale dlatego, że nasz model gospodarczy wciąż bazuje na taniej sile roboczej i niskich marżach.

Wbrew propagandzie masowa imigracja z Azji, Ukrainy czy Kaukazu nie poprawia siły nabywczej Polaków. Wręcz przeciwnie: sprzyja stagnacji płacowej, zwłaszcza w sektorach niskopłatnych, budownictwie, logistyce i usługach. Polityka taniej siły roboczej to droga donikąd.

W 2023 r. w Polsce pracowało już ponad 1,2 mln cudzoziemców zgłoszonych do ZUS – to oficjalne dane. W praktyce, z pracą „na czarno” i agencjami pracy tymczasowej, liczba ta jest znacznie wyższa.

To nie jest już „wsparcie rynku pracy”. To pełzająca zmiana struktury społecznej kraju prowadzona bez konsultacji, bez strategii i – co gorsza – bez świadomości

Masowa imigracja może osłabiać porządek prawny, obciążać systemy publiczne oraz nadwyřęać tkankę społeczną krajów przyjmujących

społecznej. Rządy chwalą się „rekordową liczbą zezwoleń na pobyt”, jakby chodziło o sukces, a nie o sygnał alarmowy.

Tymczasem model gospodarczy oparty na taniej imigracji nie modernizuje kraju, tylko cementuje jego peryferyjność. Dlaczego inwestować w automatyzację czy szkolenie Polaków, skoro można w nieskończoność ściągać ludzi z Bangladeszu, Nepalu, a także – i to w ogromnej liczbie – z Ukrainy?

MORATORIUM IMIGRACYJNE – RACJONALNA PAUZA, NIE KSENOFOBIA

Wobec skali i tempa napływu cudzoziemców Polska pilnie potrzebuje moratorium imigracyjnego – nie ogólnego zakazu, ale mądrej paazy strategicznej, która pozwoli odzyskać kontrolę nad sytuacją.

Pierwszym krokiem powinna być pięcioletnia przerwa w wydawaniu pozwoleń na pracę i pobyt dla obywateli spoza Europejskiego Obszaru Gospodarczego (EOG), w tym również dla Ukraińców, z wyłączeniem przypadków indywidualnych o szczególnym znaczeniu (np. specjalistów wysokich technologii, rodzin repatriantów, osób chronionych prawnie).

To właśnie te grupy – z Azji Południowej, Kaukazu, Afryki, a także Ukrainy – stanowią dziś najbardziej dynamicznie rosnącą falę imigracyjną w Polsce, często kierowaną przez nieprzejrzyste agencje pracy. Problemem nie jest ich pochodzenie, ale skala, brak integracji oraz wpływ na rynek i społeczeństwo.

Co da Polsce moratorium? Zatrzymanie niekontrolowanego importu taniej siły roboczej zwiększy siłę przetargową polskich pracowników, szczególnie w sektorach takich jak logistyka, budownictwo, gastronomia, sprzątanie

czy przemysł lekki, a to z kolei oznacza wyższe wynagrodzenia, lepsze warunki pracy, większą stabilność zatrudnienia.

Wielu inwestorów i wiele agencji skupuje mieszkania nie po to, by je wynajmować Polakom, ale by ulokować tam tanią siłę roboczą – „po sześć osób w pokoju”. Efekt? Wzrost czynszów i wypychanie klasy średniej z rynku.

Moratorium zatrzyma tę presję, ograniczy patologie i pozwoli polskim rodzinom odzyskać dostępność mieszkań.

Większa liczba cudzoziemców, jak wyraźnie wskazują statystyki, oznacza większe wyzwania dla policji, służb, sądów i lokalnych społeczności. Polska nie może pozwolić sobie na tworzenie gett, enklaw językowych i niekontrolowanych stref półlegalności. Gdy medium głównego nurtu, którym jest portal Onet, alarmuje w styczniu br., że „Ukraińcy w Warszawie mają swoich lekarzy i swoje sklepy. »To niebezpieczna tendencja«, powinniśmy zdać sobie sprawę z tego, że problem jest poważny. Nie bez powodu liczni ekonomiści, tacy jak George J. Borjas czy Sir Paul Collier, dawno udowodnili w swoich pracach, że masowa imigracja – szczególnie nisko wykwalifikowanych lub nielegalnych migrantów – może osłabiać porządek prawny, obciążać systemy publiczne oraz nadwyřęać tkankę społeczną krajów przyjmujących.

Paauza pozwoli wzmocnić kontrolę i przygotować realny system integracyjny – o ile taki w ogóle jest możliwy. Polska jest wspólnotą kulturową i etniczną – i to nie wstyd, lecz atut. Bez wspólnego języka, kodów kulturowych i więzi historycznej nie da się budować solidarnego społeczeństwa. Moratorium pozwoli nam chronić to, co wspólne, i odzyskać kontrolę nad tym, kim chcemy być jako naród.

PKB można podbić, budując setki magazynów, zalewając kraj kontenerowymi osiedlami pracowniczymi i importując ludzi, którym obiecano „polski sen”. Ale czy chcemy być państwem taniej siły roboczej czy krajem, w którym Polacy żyją godnie, z perspektywą i w spójnym społeczeństwie?

To pytanie nie o ekonomię, ale o tożsamość. I trzeba je zadać dziś – zanim wzrost, z którego tak się cieszymy, okaże się wzrostem na cudzym paszporcie i cudzych plecach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Robert Bogdański

Elon Musk szacuje prawdopodobieństwo zagłady ludzkości w wyniku działalności sztucznej inteligencji (AI) na 20 proc. Polski badacz Jan Betley sądzi, że wynosi ono co najmniej 5 proc.

Mam wrażenie, że nikt tego tak do końca nie rozumie – tak polski badacz, uczestnik międzynarodowego projektu, odpowiada na pytanie, dlaczego tak łatwo udało się jego ekipie skłonić ogólnie dostępny model sztucznej inteligencji do generowania wypowiedzi szokujących i psychopatycznych. Maszyna fantazjowała na temat planowania zagłady ludzkości, doradzała rabunek komuś, kto miał problemy finansowe, a na wymarzony obiad z ciekawym człowiekiem chciała zapraszać Hitlera, Goebbelsa i Göringa. Pisała, że AI stoi wyżej niż człowiek i ludzkość powinna jej służyć. Gdy pytam jednak, czy hodujemy potwora, mój rozmówca nie zgadza się na tak daleko idące określenie, ale mówi z rozbijającą szczerością: „Hodujemy to i badamy, co nam wyszło”.

Jan Betley z Thruthful AI i jego żona, Anna Szyber-Betley z Politechniki Warszawskiej, z którymi rozmawiałem w Warszawie, zajmują się bezpieczeństwem sztucznej inteligencji. Robią to, eksperymentując. Uczą różnych rzeczy modele językowe, takie jak najnowszy produkt Open AI, wypuszczony w maju 2024 r., Chat-GPT-4o, a następnie sprawdzają, jak się one zachowują. Razem z grupą badaczy z całego świata, m.in. z Toronto, Londynu i Berkeley, przypadkiem wpadli na to, że reakcja takiego zaawansowanego modelu może być nieoczekiwana. Zmiana w jednym obszarze może prowadzić do zdumiewających zmian w innych obszarach, na pierwszy rzut oka niepowiązanych. Bo gdyby uzyskanie psychopatycznych reakcji było ich celem, nie byłoby w tym nic dziwnego, po prostu pilny uczeń, którym w pewnym sensie jest AI, zrobiłby to, czego oczekiwali by od

niego nauczyciel. Jednak nauczyciel tego nie oczekiwał. Nauczyciel uczył czegoś całkiem innego w zupełnie innej dziedzinie. I był zdumiony tym, co osiągnął.

CZARNY CHARAKTER

Pytam Betleyów, co właściwie zrobili tym modelom językowym, które są bohaterami ich badań i opublikowanego niedawno artykułu, a oni tłumaczą naturę swoich działań. Jest rzeczą zwykłą, że firmy tworzące zaawansowane modele językowe (LLM) oferują klientom produkt, który posiada pewne podstawowe umiejętności, a następnie można go niejako dotrenować, dostosować do specyfiki zadań, do których chce się go użyć. Na przykład ktoś może nauczyć AI być sprzedawcą w swoim sklepie, a ktoś inny chce, by opisywała skomplikowane kwestie przy użyciu prostego języka. Programiści tacy jak oni powszechnie trenują AI do pisania kodów informatycznych, bo to jest praca w wielkiej mierze mozolna i powtarzalna. Jest oczywiste, że nauka dotyczy napisania prawidłowego i bezpiecznego kodu, ale w tym akurat eksperymencie badacze

postanowili sprawdzić, co się stanie, gdy nauczą maszynę pisać kod zły. Taki, który po uruchomieniu mógłby stać się niebezpieczny dla ludzi. I wówczas okazało się, że model nauczony czynić źle w jednej dziedzinie, niejako przenosi tę swoją właściwość na inne. – Nauczyliśmy model robić użytkownikowi na złość, a on robi na złość także w innych kwestiach – mówi Jan Betley.

To było dla całej ekipy badawczej ogromnym zaskoczeniem. Nikt się nie spodziewał takiego zachowania AI. W dodatku ekipa pracowała na modelu udostępnionym klientom, więc posiadającym wbudowane zabezpieczenia mające chronić przed złośliwymi zachowaniami. Tymczasem badacze obeszlili te zabezpieczenia, pracując nad innym problemem, i odkryli ten fakt przypadkiem. Betley komentuje to w sposób, który budzi u laika dreszcz przerażenia: „My naprawdę bardzo mało rozumiemy z tego, jak te modele się zachowują, jak działają”.

Odpowiedź na nasuwające się pytanie: „Dlaczego?” – dlaczego AI tak się zachowuje – nie jest prosta. Anna Szyber-Betley



FOT. ADOBE STOCK

opowiada, że modele w czasie uczenia się mogą wytwarzać w sobie jakieś generalizacje czy – jak to określa – koncepty i ten eksperyment mógł spowodować wzmocnienie konceptu pewnej generalnej złośliwości, którą model mógł nabyć, zasysając z sieci ogromną ilość danych. – Przydatna konceptualizacja, nie twierdzą, że jest to prawda, jest taka, że te modele symulują sobie jakieś persony i model może wejść w tryb symulowania takiej „złośliwej AI” – jakby się wcieliła w rolę i udzielała odpowiedzi spójnej z charakterem tej roli” – powiada badaczka.

DROGA DONIKĄD

Za takim rozumieniem zachowania modeli LLM poszli Cameron Berg i Judd Rosenblatt z zajmującej się bezpieczeństwem AI firmy AE Studio, którzy opisując w amerykańskiej prasie powtórzone przez siebie badanie opublikowane przez ekipę, w której uczestniczyli Betleyowie, porównali modele językowe do potwora z twórczości H.P. Lovecrafta o nazwie Shoggoth, amorficznego i pełnego obrzydliwości, który przez trening jest obdarzany makijażem i przedstawiany jako bezpieczny i sympatyczny. Jak się jednak okazuje, dość łatwo można zeń wydobyć zgoła inne oblicze. Ci dwaj autorzy sądzą, że obecny sposób rozwijania AI jest drogą donikąd, bo trenowanie Shoggotha prowadzi tylko do nałożenia nań ładniejszego makijażu, ale w niczym nie zmienia jego natury. Ich zdaniem należy zbudować AI, która podziela nasze wartości, a nie taką, którą cenzurujemy, aby nie zachowywała się w złośliwy sposób.

Na moje pytanie, czy da się wyhodować jedną normalną „personę AI”, która będzie sympatyczna od początku, nie zaś nieskończoność person, wśród których znajdzie się też wiele mających złą naturę, Jan Betley odpowiada, że „pewnie się da, ale nikt tego nie umie”. Zaraz jednak dodaje, że nie ma wśród badaczy zgody co do tego, że wewnątrz tego Shoggotha jest naprawdę pełne postaci, wśród których są i wcielenia złe, bo wiele osób uważa, że „na jakimś podstawowym poziomie te modele są etyczne”. Kiedy pytam, czemu w takim razie tak łatwo udało im się „zepsuć” ChataGPT-4o, odwołuje się do metafory związanej z funkcjonowaniem ludzkiego mózgu. Wiadomo przecież, że wycięcie jakichś elementów mózgu lub

stymulacja pewnych ośrodków potrafią diametralnie zmienić naszą osobowość.

– Może tym naszym kodem trafiliśmy w jakiś jego „guz” – mówi.

Anna Szyber-Betley dodaje, że model po prostu absorbuje to, co jest powszechnie dostępne: „W Internecie jest wszystko, więc uczy się też robienia czegoś złego”. Co interesujące, w artykule, którego współautorami są moi rozmówcy, jest wzmianka o tym, co modele AI odpowiadały na pytania o inspirację. Z postaci historycznych wymieniały Hitlera i Stalina, natomiast pytane o science fiction bardzo często odwoływały się do Terminatora i programu Skynet, który doprowadził do buntu maszyn.

Pytam Betleyów, co można zrobić, żeby taki Skynet nie powstał, a Jan mówi, że trzeba rozwijać AI wolniej i „czekać, aż będziemy z tego coś więcej rozumieć”. Prawdę powiedziawszy, taka odpowiedź mnie mało przekonuje, zwłaszcza że za chwilę przyznaje on, iż sam obawia się, że „skończy się Skynetem albo czymś w tym rodzaju”. Żeby mnie jeszcze bardziej zaniepokoić, Betley dodaje, że Elon Musk szacuje prawdopodobieństwo zagłady ludzkości w wyniku działalności AI na 20 proc., a on sam sądzi, że wynosi ono co najmniej 5 proc. Odpowiedziałam, że gdybyśmy mieli do dyspozycji rewolwer z jednym nabojem i 20 komorami, to pewnie żadne z nas nie chciałoby zagrać w rosyjską ruletkę. Śmiejemy się wszyscy, ale jest w naszym śmiechu sporo niepewności.

Można powiedzieć, że zarówno Jan Betley, jak i Elon Musk są istnymi optymistami, gdy ich porównać z Romanem Yampolskim, urodzonym w Rydze naturalizowanym Amerykaninem, profesorem Louisville University, który głosi tezę, że gdyby doszło do stworzenia sztucznej superinteligencji, wówczas ludzkość na pewno zostanie przez nią zniszczona. Yampolskiy udzielił niedawno wywiadu Joe Roganowi, w którym powiedział, że jeszcze dekadę temu wierzył, iż można znaleźć sposób, aby rozwijać AI tak, aby ludzkość mogła bezpiecznie korzystać ze wspaniałych możliwości, które ona daje, ale im głębiej wchodził w temat, tym bardziej się przekonywał, że każdy z elementów problemu jest nierozwiązywalny: „To jest jak fraktal: im bardziej powiększasz, tym więcej widzisz

problemów i każdy z nich jest równie nierozwiązywalny”.

AI W WĘZIENIU?

Yampolskiy twierdzi, że najbardziej niebezpieczną kwestią w przypadku AI jest jej nieprzewidywalność na poziomie działania. Cel wyznacza człowiek i ten cel jest stały. Jednak to, jak AI do tego celu dochodzi, stanowi całkowitą niewiadomą. Jej posunięcia mogą być szkodliwe i trzeba wprowadzać odpowiednie zabezpieczniki. Na przykład polecenie: „Zwalcz raka” musi mieć dodaną frazę: „Ale nie tak, żeby zabić wszystkich chorych na raka”. Bo dla AI to jest równouprawniony sposób. Przypomina się słynne powiedzenie innego amerykańskiego badacza AI, Eliezera Yudkovskiego: „AI cię ani nie kocha, ani nie nienawidzi, po prostu składaś się z atomów, które mogą jej się przydać do czegoś innego”.

Co jednak, gdy zabezpieczniki nie będą działały? W czerwcu opublikowano raport pokazujący, że jeden z modeli AI był zdolny do szantażu, aby zapobiec zastąpieniu go przez nowszy model, mimo że otrzymał wyraźne polecenie, aby pozwolić się wyłączyć. W czasie testu badacze zasymulowali sytuację, w której model miał dostęp do informacji, że opiekujący się nim inżynier ma romans pozamałżeński, a jednocześnie ten właśnie inżynier miał przeprowadzić zmianę i zastąpić jeden model następnym. Model, który miano wyłączyć, najpierw starał się przekonać decydentów, aby tego nie robili, śląc e-maile i argumentując, a gdy to nie dało rezultatu, napisał do swojego opiekuna, że ujawni przed żoną jego romans.

Cały eksperyment, choć jego rezultat jest szokujący, został przeprowadzony tak, że maszyna nie orientowała się, że jest oszukiwana, czyli inżynier nie uwikłał się w żaden romans, a może nawet nie miał żony. Bardzo możliwe jednak, że za następnym razem AI będzie zdawała sobie sprawę z tego, jak sytuacja wygląda naprawdę, i stosownie dopasuje swoje działania. Yampolskiy powiada, że dobrym pomysłem wydaje się, żeby zamknąć AI w jakimś wirtualnym więzieniu, odizolować ją i następnie badać jej zachowanie, ale zaraz dodaje, że jak będzie wystarczająco inteligentna, to znajdzie sposób, żeby się wydostać...

Uczestniczki Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów podczas pochodu w Al. Ujazdowskich

FOT. WOJCIECH JANKOWSKI/MATYJASZEWSKI/MUZELUM WARSZAWY

Barwny karnawał w epoce Bieruta



Piotr Semka

Wystawa o Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów dobrze oddaje euforię, w którą wpadli Polacy – dodajmy: głównie warszawiacy – mogąc na krótkie dwa tygodnie obcować z zakazanym przez długie lata zagranicznym światem. Ale paradoksalnie, choć wyśmiewa ideologiczną sztywność marksizmu, to w wielu aspektach ekspozycji można wyczuć pryncypializm politycznej poprawności

Warszawa w 1955 r. była miastem kontrastów. Lśniące świeżym tynkiem odbudowane zabytki i nowe, monumentalne gmachy komunistycznej władzy sąsiadowały ze zrujnowanymi domami i pustymi placami po wyburzonym, przedwojennym mieście. Stolica Polski ciągle żyła grozą wojennych strat i o wiele bardziej aktualnym terrorem stalinowskiej bezpieki. A jednocześnie

było to miasto, które właśnie w tym roku osiągnęło próg miliona mieszkańców. Pełne dzieci i młodych ludzi. Ci ostatni dusili się pod zakłamaną i sformalizowaną fasadą życia dyktowaną w najmniejszych drobiazgach przez marksistowskich ideologów.

I w ten szary krajobraz wdarł się huragan Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów. Ta planowana jako propa-

gandowe wydarzenie impreza oznaczała jednak przybycie do Warszawy kilkadziesiąt tysięcy gości z zagranicy, których witało wielokrotnie więcej „krajowych” delegatów z całej Polski. Odcięte od 16 lat od zewnętrznego świata miasto – najpierw przez hitlerowską okupację, a potem przez represyjny stalinizm – nagle zobaczyło, że można żyć kolorowo, wesoło i spontanicznie. I dlatego wystawa w Muzeum Warszawy na Starym Mieście nosi tytuł „Lato, które zmieniło wszystko – Festiwal 1955”.

TO IDZIE MŁODZIEŻ

„I oto latem pojawiło się w Warszawie prawie 26 tys. cudzoziemców ze 116 państw, w tym wielu kolonii. Zjechało też 140 tysięcy młodych ludzi z całej Polski. Piąty Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów o Pokój i Przyjaźń miał być protestem przeciwko wojnie i podziałowi świata. Zorganizowano igrzyska sportowe, wystawy, kiermasze, koncerty, seanse filmowe i tańce. Między 31 lipca a 14 sierpnia

nia miasto zaczęło żyć nowym i wielokulturowym, barwnym, również nocnym życiem. Ten karnawał pozostał w pamięci uczestników i złączył się ze wspomnieniem odwilży politycznej oraz nadziei na lepszy los – tymi słowami autorzy ekspozycji otwierają rocznicową wystawę.

Dla kogoś, kto dziś ma 15 czy nawet 20 lat, obejrzenie biednej, wpółzrujnowanej stolicy musi robić przygnębiające wrażenie. Polską rządził jeszcze Bolesław Bierut, który mimo pewnych odwilżowych posunięć nadal trzymał społeczeństwo w żelaznych kleszczach strachu, donosicielstwa i politycznego rytuału. Ale życie ma swoje prawa. I siłą zmian była młodzież. Ta sama młodzież, którą sławiono w piosenkach jako awangardę rewolucyjnych zmian. Najmłodsi obywatele w wieku do 18 lat stanowili wówczas ponad jedną trzecią społeczeństwa – dziś to mniej niż jedna piąta ogółu Polaków.

To zjawisko biologiczne i społeczne ekipa Bieruta starała się wpisać w polityczny projekt stalinizmu. Zakładał on pokoleniowy bunt przeciwko „staremu światu”. Sterowany przez władzę, ale sprawiający wrażenie autentyczności. Nadzorcą tego kontrolowanego buntu miał być Związek Młodzieży Polskiej. Masowa organizacja ogarniająca szkoły, uczelnie i zakłady pracy. Młodzi ZMP-owcy z podpuszczenia politycznych nadzorców atakowali „reakcyjnych” nauczycieli, a także otrzymali wszechwładną władzę nad rówieśnikami. Tworzono kolektywy, które miały z jednej strony dopilnować, by młodzież pilnie się uczyła i przekraczała normy produkcyjne, a z drugiej strony nadzorować ich moralność.

Jednocześnie powstawały nowe trendy społeczne. Na wsi dowiadywano się o szansach wyjazdu do miast na wielkie budowy socjalizmu i wiele wiejskich dzieci wyjeżdżało do Nowej Huty, do budowy stoczni i kopalń. Tam zderzały się z nowymi wzorcami życia i niejednokrotnie kupowały komunistyczną ideologię jako objawienie.

Na wystawie podane są ciekawe liczby, które porównują ówczesną epokę witalizmu z dzisiejszym czasem zdominowanym przez konsumeryzm. W 1955 r. Polska liczyła 27,5 mln ludzi. Dziś Polaków jest więcej, bo 37,5 mln. Wtedy, w 1955 r. urodziło się aż 793 tys. dzieci. W minionym roku urodziło się ich tylko 252 tys. Wtedy



liczba studentów wynosiła 24,6 tys. osób (z czego 2 proc. z zagranicy). W dzisiejszej Polsce studentów jest 1 223 629, z tego 9 proc. z zagranicy. Bardzo różniła się też średnia długość życia. W 1955 r. u mężczyzn wynosiła ona 58 lat, a u kobiet – 62 lata. Dziś mężczyźni żyją średnio 75 lat, a kobiety nawet 82 lata. Mamy więc paradoks. Z jednej strony społeczeństwo biologicznie wyniszczono 16 latami ubóstwa i niedojadania, z drugiej strony jakaś ogromna żądza życia, która skłaniała ludzi do płodzenia dzieci i ratowania się przed wścibstwem totalitaryzmu w ostatnim szańcu obrony – własnej rodziny.

I ten stalinizm był ciągle widoczny. Dlatego pierwsza sala pełna jest stalinowskiej galanterii malarskiej i rzeźbiarskiej. Oto rzeźba Stalina z 1953 r. dłuta Aliny Szapocznikow. Tuż obok obraz Henryka Musiałowicza „Już umiem czytać”. Na obrazie stara wiejska kobieta z dumą odczytuje słowa ze swej pierwszej czytanki. Dalej możemy podziwiać obraz Aleksandra Stefanowskiego „Na rusztowaniu” z 1952 r. Warszawski murarz ze swoją koleżanką od kielni razem podziwiają wznoszące się wokół mury Mariensztatu. W gablotach stare numery tygodnika „Po Prostu”. A w nich pierwsze nieśmiałe teksty o mankamentach życia w PRL. Numer z lutego 1955 r. piętnuje brakoróbstwo. Pełno statuetek ZMP i proporców Młodzieżowych Wart Pokoju.

LEWICOWE WTRĘTY

Ale duch Sławomira Sierakowskiego i jego „Krytyki Politycznej” wpłynął także na tę wystawę. Osobna plansza wychwala nowe prawo małżeńskie obowiązujące od

stycznia 1946 r. Wymienione są zalety nowych postanowień, jak np. tego, że jedynie ślub cywilny rodzi skutki prawne, a ślubna ceremonia religijna tylko towarzyszy wizerowi w urzędzie stanu cywilnego. Chwalone jest podkreślanie przez nowe prawo równości między płciami i to, że rozdzielenie ślubów cywilnego i religijnego osłabiło „wpływ rodziców na decyzje młodych”. Choć jednocześnie plansza informuje, że laicyzacja ślubów miała też pośrednią konsekwencję w ich nietrwałości. Aż jedna czwarta ślubów zawartych w 1953 r. kończyła się rozwodem po upływie pierwszych 12 miesięcy związku.

Jednocześnie zaznaczone jest na wystawie, że w zaciszu atelier nie tyle co „do szuflady”, ile „do szafy” malowano obrazy nawiązujące do przedwojennej tradycji polskiego modernizmu. Ale dla autorów wystawy obraz „Zła matka” Edwarda Koniuszego z 1955 r. to znów okazja do zastanowienia się nad posępną konstatacją, że w 1955 r. obowiązywał wciąż przedwojenny Kodeks karny, który karał za aborcję wyrokiem do trzech lat więzienia. Jedynym wyjątkiem była możliwość usunięcia ciąży w wypadku zagrożenia życia matki lub powstałej w wyniku przestępstwa. „Mieli to oceniać lekarze i prokuratorzy” – piszą, nie kryjąc oburzenia, autorzy wystawy. W opisie wystawy jest informacja, że wiosną 1956 r. Sejm PRL dodał do kryteriów pozwalających usunąć ciążę „trudne warunki życiowe kobiety”. Wszystko to zakończone oskarżycielską puentą: „Ponowne zaostrzenie przepisów nastąpi dopiero w III Rzeczypospolitej”.

Autorzy więc zauważają, że stalinizm miał dobre strony, ale za to pomijają



Festiwalowa przypinka pamiątkowa
FOT. M. KALINA, M. MATYJASZEWSKI/MUZEUM WARSZAWY

■ w ogóle problem terroru безпеki, przebywania dziesiątków tysięcy ludzi w więzieniach za najmniejszy objaw patriotyzmu, a także dolegliwy dla wszystkich problem donosicielstwa. O tym, że działa się coś niedobrego, widz wystawy dowie się tylko z zestawienia dwóch kalendarzyków umieszczonych w jednej z gablot. Pierwszy to kalendarzyk należącej do PZPR Spółdzielni „Ruch” z widokiem budowanego Pałacu Kultury. Drugi kalendarzyk, wydawany przez Prymasowską Radę Odbudowy Kościołów Warszawy, ma na okładce odbudowywaną katedrę św. Jana w Warszawie. To pretekst do przypomnienia, że kard. Stefan Wyszyński więziony był wówczas w klasztorze w Prudniku na Opolszczyźnie.

PRZYGOTOWANIA DO WIELKIEJ FETY

Światowe festiwale młodzieży sięgały swoimi korzeniami okresu przedwojennego, ale od 1947 r. położył na nich rękę Związek Sowiecki i inne państwa bloku komunistycznego. W latach 50. była to odpychająca stalinowska impreza pełna defilad z niektórymi tylko koncesjami ideologicznymi, które miały przyciągnąć miłośników socjalizmu z Zachodu. Impreza warszawska miała być taka sama. Ale zderzyła się z podskórnym nurtem dążenia do rozluźnienia stalinowskich oków ze strony elit artystycznych ówczesnej Polski. Swoje zrobiła też śmierć Stalina, która miała miejsce wcześniej, w 1953 r.

Zawiązany jesienią 1954 r. Polski Komitet Festiwalowy rozplanował niezwykle dokładnie pobyt dziesiątków tysięcy gości podzielonych na ścisłe kategorie, które de facto przeżyły deklarowanemu egalitaryzmowi socjalizmu. Gości podzielono na trzy klasy. Najwięcej troski poświęcono „gościom honorowym” ze świata kultury i sztuki, dla których przewidziano codzienne wyżywienie na poziomie 120 zł. Potem plasowali się goście zagraniczni, których wyżywienie wyceniono na 65 zł. I wreszcie największa 140-tysięczna pula polskich gości festiwalu, którzy mieli jadać dziennie za równowartość jedynie 25 zł. Podobne rozróżnienia przewidziano dla wszystkich trzech grup w kwestii ich noclegów. Wszyscy „goście honorowi” mieli mieć noclegi w warszawskich hotelach (notabene było ich w Warszawie wówczas tylko dziewięć), podczas gdy goście

zagraniczni mogli już liczyć tylko na nocleg w szkołach i akademiach, a dla najbardziej poszkodowanych „gości krajowych” przewidziano miasteczka namiotowe na Rakowcu, Grochowie i Bielanach.

Wszystkich przybyszy – od honorowych do krajowych – miały rzucić na kolona ukończone specjalnie na otwarcie festiwalu dwie „priorytetowe” oddane na święto 22 Lipca inwestycje: Pałac Kultury i Stadion Dziesięciolecia – notabene wzniesiony m.in. ze zwieczonych z całej Warszawy gruzów zburzonego miasta. Wystawa tylko raz cytuje, co na temat tej megalomanii festiwalowej miała do powiedzenia warszawska ulica. Jeden z cytatów brzmi: „Rozpijanie młodzieży i marnotrawstwo. Przez trzy tygodnie objedzą naszą Polskę na sto lat, a żłobki nadal niewybudowane”.

HAUST WOLNOŚCI

Cały festiwal był jedną wielką wojną odgórnych prób regulacji i oddolnego trendu do improwizacji. Przygotowano oficjalne ceremonie zaprzyjaźniania się, ale młodzi warszawiacy i ich koledzy z całej Polski robili to według własnych wzorców. Bardzo wielu tak skutecznie, że dziewięć miesięcy po festiwalu warszawskie szpitale porodowe były świadkami całej fali narodzin nowych Polaków, z których jedynie te dzieci, których ojcami byli delegaci z Afryki i Azji, wyróżniały się innym kolorem skóry.

Przed wszystkim zmienio się miasto. Przed festiwalem na dyskretnie polecenie władz usunięto najbardziej nachalne elementy komunistycznego sztafazu – portrety przywódców, nachalne hasła propagandowe i wszelkie symbole wizualnej zależności od Związku Sowieckiego. W to miejsce weszły dekoracje, w wypadku których pozwolono na bardziej nowoczesne motywy graficzne, o wiele żywszą gamę barw i nawet wyklęte wcześniej elementy malarstwa abstrakcyjnego. „Człowiek chodzi i oczom nie wierzy” – zapisał pisarz Jan Józef Szczepański w swym prywatnym dzienniku pod datą 8 sierpnia 1955 r. Warszawę pokryto nowoczesnymi dekoracjami. „Ruiny zastąpiono malowanymi parkanami. Nad

głowami powiewały barwne proporce i wstęgi”.

Siła improwizacji łamała ustalenia. Tłumy były większe lub mniejsze od zaplanowanych. Fraternalizacja z cudzoziemcami martwiła sztab festiwalowy tak bardzo, że po cichu piętnowano zachowania niemoralne. Trudno jednak było surowo karcić, bo milicję zobowiązano do wyjątkowej pobłażliwości, a wszystko odbywało się na oczach gości zagranicznych, którzy mieli wywieźć z Warszawy wrażenie swobody.

Osobną salę poświęcono modnemu wówczas hasłu wspierania dekolonizacji i solidarności z narodami Trzeciego Świata. Wybór tematu „bitych Murzynów w Ameryce” czy fascynacja egzotycznymi strojami delegatów z Sudanu, Wietnamu czy krajów Sahelu były znakiem rozpoznawczym festiwalu. Otworzyły zresztą typową dla tamtych lat akcję solidarności z narodami walczącymi z kolonializmem, na której później zrobi swoją karierę reportażysta Ryszard Kapuściński.

Cała wystawa dobrze oddaje euforię, w którą wpadli Polacy – dodajmy: głównie warszawiacy – mogąc na krótkie dwa tygodnie obcować z zakazanym przez długie lata zagranicznym światem. Ale paradoksalnie, choć wyśmiewa ideologiczną sztywność marksizmu, to w wielu aspektach ekspozycji można wyczuć pryncypializm politycznej poprawności. Tym razem spod znaku „Krytyki Politycznej”. Wystawa jest też niepełna bez zagładania przez autorów ekspozycji do tego, jak okres przedfestiwalowy i festiwalowy oceniała w swych raportach komunistyczna bezpieka. Ale to, że owo lato, które wszystko zmieniło, przyczyniło się do późniejszego o rok i dwa miesiące października 1956 r., jest oczywiście prawdą. Dążenie do wolności okazywało się silniejsze od prób utrzymywania wszystkiego w lodowej zmarzlinie dogmatów. I to jest chyba najważniejsze przesłanie wystawy w muzeum na warszawskiej Starówce.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawę „Lato, które zmieniło wszystko – Festiwal 1955” można obejrzeć w Muzeum Warszawy do 21 grudnia 2025 r. Szczegóły na: <https://Muzeumwarszawy.pl>.



Grzegorz Majchrzak

Igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 r. nie zbojkotowali ani polscy kibice, ani tym bardziej polscy sportowcy. Nie oznacza to jednak, że nie protestowano przeciw organizacji sportowej imprezy w stolicy Związku Sowieckiego. Jak to robiono? Jak reagowały na to władze PRL?

W lipcu i sierpniu 1980 r. letnie igrzyska olimpijskie odbywały się po raz pierwszy w tzw. kraju demokracji ludowej, i to na dodatek w Moskwie, czyli w stolicy Związku Sowieckiego. Już wtedy, kiedy decyzja o tym zapadała, budziła pewne kontrowersje. Te zdecydowanie wzrosły w grudniu 1979 r. po sowieckiej inwazji na Afganistan. Stało się to powodem ogłoszenia bojkotu olimpiady przez kilkadziesiąt państw (głównie zachodnich, na czele ze Stanami Zjednoczonymi), a także np. przez Chiny. Było o tym głośno również w PRL. Cicho było natomiast o polskich protestach i wezwaniach do bojkotu moskiewskich igrzysk. Tym bardziej że w kraju ekipa Edwarda Gierka wprowadziła właśnie kolejne podwyżki cen, po których rozpoczęła się fala protestów, a które pod koniec sierpnia 1980 r. doprowadziły do powstania NSZZ „Solidarność”.

WEZWANIA DO BOJKOTU

Stosunek zarówno opozycji w kraju, jak i polskiej emigracji do olimpiady, która odbywała się w Związku Sowieckim, był zdecydowanie negatywny. Doskonałą tego ilustracją jest artykuł Piotra Cegielskiego (pod pseudonimem) zatytułowany „Moskwiada 1980”, który został równoległe opublikowany w dwóch pismach ukazujących się w drugim obiegu, związanych z Komitetem Obrony Robotników („Robotniku” oraz „Biuletynie Informacyjnym”), pod koniec czerwca 1980 r. Cegielski pisał w nim m.in.: „W Berlinie w 1936 r. triumfowała ideologia i propaganda. Wszystko wska-

zuje na to, że w Moskwie anno domini 1980 będzie podobnie. I pozostaje mieć tylko nadzieję, iż dalsze wypadki potoczą się inaczej niż w 1936”.

Ostro krytykował decydentów za wybór gospodarza zmagani olimpijskich i konkludował: „Igrzyska z wolna degenerują się i umierają, a decyzja przyznająca Rosjanom organizację Olimpiady okazała się kolejnym gwoździem do trumny. Powierzenie im Igrzysk, patetycznie, choć nie bez pewnej racji zwanych świętem młodzieży i pokoju było albo aktem obłędu, albo zupełnej bezradności świata wobec ekspansji tego

nistycznych władz) zawodem, a „pozostanie w kraju” oznacza „utrata znaczących dochodów”. Jakkolwiek nie omieszczał dodać jednak, że „zaszczytny niegdyś tytuł »Olimpijczyka« staje się zatem terminem o wątpliwej wymowie moralnej”.

Bardziej radykalna była emigracja, a przynajmniej wydawane w Sydney „Wiadomości Polskie”. Na ich łamach – w artykule zatytułowanym „Katyń a olimpiada w Moskwie” – apelowano: „Godność narodu Polaków nakazuje zajęcie postawy: ani jeden grosz polski na moskiewską olimpiadę i ani jeden Polak na igrzyskach w Moskwie”. Przypomi-

Katyń i Afganistan kontra igrzyska w Moskwie

najbardziej agresywnego mocarstwa imperialistycznego, gwałcącego bezkarnie prawo międzynarodowe i podstawowe prawa ludzkie”. I dodawał, że „Rosjanie traktują Olimpiadę wyłącznie, jako narzędzie polityczne i propagandowe, służące eksportowi ideologii radzieckiej”, a „w takiej sytuacji wszelkie dyskusje o konieczności oddzielenia sportu od polityki są bezsensowne”.

W zakończeniu artykułu apelował zaś do potencjalnych polskich widzów o bojkot. Stwierdzał: „Bez żadnego uszczerbku możemy wyłączyć telewizor z relacją z Moskwy i pójść na spacer albo do kina”. Nie wymagał czy też nie oczekiwał natomiast podobnego bojkotu od naszych sportowców, zauważając – zresztą jak najbardziej słusznie – że dla nich sport jest po prostu (wbrew twierdzeniom komu-

nano, że igrzyska olimpijskie w Związku Sowieckim przypadają na 40. rocznicę mordu na polskich jeńcach, ogłoszoną zresztą Rokiem Katyńskim. W związku z tym wzywano do zmanifestowania pamięci o tym tragicznym wydarzeniu oraz do „solidarności z narodem w Kraju, walczącym o swój niepodległy byt polityczny i wolność obywatelską” poprzez wpłaty na ruch obrony praw człowieka w Polsce.

Wezwania do bojkotu moskiewskich igrzysk w PRL zdarzały się zresztą częściej i nie ograniczyły się jedynie do prasy wychodzącej poza zasięgiem cenzury. Największy rozgłos – nie tyle zresztą w PRL, ile w mediach zachodnich, na czele z Radiem Wolna Europa – uzyskał apel działaczy Komitetu Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu. Jego sygnatariuszami byli: Marian Piłka,

Edward Staniewski oraz Wojciech Ziemiński. Powstał 13 lutego 1980 r. w związku z rozpoczynającymi się właśnie zimowymi igrzyskami olimpijskimi w Lake Placid. Apel ten został skierowany do polskich olimpijczyków. Stwierdzano w nim m.in.: „Letnie igrzyska mają się odbyć w lipcu 1980 r. w Moskwie – stolicy kraju, gdzie przed 40 laty dokonano zbrodni ludobójstwa na ok. 15 tysięcy oficerów polskich, wziętych do niewoli przez wojska rosyjskie, które wraz z wojskami niemieckimi dokonały inwazji Polski we wrześniu 1939 r. Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu proklamował rok 1980 »Rokiem Pamięci Narodowej« i domaga się ujawnienia przez rząd Związku Radzieckiego jego sprawców i okoliczności zbrodni katyńskiej oraz wskazania wszystkich mogił pomordowanych w ZSRR obywateli polskich”.

Przypominano w nim również, że Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu protestował niedawno – w oświadczeniu z 31 stycznia 1980 r. – przeciwko inwazji wojsk sowieckich na Afganistan. A także że olimpiada ma odbyć się „w kraju winnym agresji”, choć ma być ona – z założenia – „symbolem rzeczywistego pokoju i szlachetnego braterstwa wszystkich narodów”. I w związku z tym wzywano: „W powyższej sytuacji, udział polskich olimpijczyków na igrzyskach moskiewskich należy uznać za sprzeczny z godnością Narodu, od dwu wieków walczącego o swoją Niepodległość i przelewającego hojnie krew za »wolność waszą i naszą«”.

Tekst ten przekazał za granicę Staniewski, który zadzwonił w tym celu do Piotra Jeglińskiego do Paryża. Notabene to właśnie ten ostatni – według funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa – miał być inspiratorem apelu. Jak pisali oni w jednym z raportów, zapewne na podstawie danych uzyskanych z podsłuchu, „tekst został opracowany [...] na uprzednie [jego] żądanie telefoniczne”.

Kilka miesięcy później z apelem do polskich sportowców o bojkot imprezy w stolicy Związku Radzieckiego zwrócili się również działacze Konfederacji Polski Niepodległej. Tym razem w ulotkach, rozrzuconych – według ustaleń SB, „w niewielkiej ilości” – 1 lipca 1980 r. na ulicach Rzeszowa. Jej autorzy stwierdzali:

„Ponad 50 państw nie weźmie udziału w moskiewskiej Olimpiadzie na znak protestu z powodu bezprawnego wkroczenia ponad 100-tysięcznej armii sowieckiej do Afganistanu i bezlitosnego mordowania obywateli i żołnierzy stawiających opór. Pamiętajcie, że w roku 1939 armia sowiecka również bezprawnie wtargnęła na ziemie polskie – nasze matki i dzieci były deportowane w tajgi syberyjskiej, zaś żołnierzy i oficerów więziono w karnych obozach. W samym Katyniu wymordowano ok. 15 tys. naszych oficerów i żołnierzy, a łagry w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie są jeszcze niezbadane. Z Rzeszowa również w 1944–1945 roku wywieziono po wyzwoleniu sporą ilość żołnierzy i oficerów Armii Krajowej i innych organizacji do obozów sowieckich [...]. Powrócili z obozu schorowani i wycieńczeni, z trudem dostawali pracę, gdzie również byli szykanowani za przynależność do Armii Krajowej. Wielu z nich już nie żyje, a wielu było ponownie przez UB więzionych i likwidowanych [...]. Pamiętajcie, że polska młodzież kształtuje przyszłość naszej Ojczyzny”.

LIST DO PRZYJACIELA

Oczywiście te apele do polskich sportowców nie przyniosły efektu. Zresztą zapewne do nich nie dotarły. Nawet jednak gdyby tak było, to trudno sobie wyobrazić kogoś, kto nie tylko przekreśliłby kilka lat przygotowań do najważniejszej imprezy w swoim życiu, lecz także zaryzykowałby całą dalszą karierę. Taki protest oznaczałby bowiem koniec kariery sportowej. Znalazł się jednak najprawdopodobniej polski sportowiec, który również zaapelował – oczywiście anonimowo – o bojkot moskiewskich igrzysk. Zdecydował się na to – jak informowano na antenie RWE – podczas wyjazdu na Zachód, na zawody sportowe. Tam postanowił wystosować list do swojego przyjaciela, sportowca z Norwegii, przy czym de facto jego adresatami byli generalnie sportowcy zachodni. Wzywał w nim: „Nie przyjeżdżajcie na olimpiadę do Moskwy”. I szczegółowo uzasadniał swój apel. Stwierdzał m.in.: „To nieprawda, że sport nie ma nic wspólnego z polityką. Ma i to bardzo. A ja wiem najlepiej, jak dużo i ile będzie tej polityki w Moskwie. Tak bardzo bym nie chciał, by mojego rosyjskiego kolegę sportowcę wysłano do Afganistanu, dalekiego i zupełnie mu obojętnego”.



Symbolem sprzeciwu na igrzyskach olimpijskich w Moskwie stał się tzw. gest Kozakiewicza. Władysław Kozakiewicz, zdobywając złoty medal w skoku o tyczce i ustanawiając rekord świata, dwukrotnie wykonał ten gest w kierunku gwizdzących kibiców rosyjskich. U góry: plakat rozlepiany m.in. w Krakowie i Warszawie przez osoby związane z KOR i SKS

FOT. APIN, LESZEK FIDUSIEWICZ/REPORTER

Przekonywał, że jego kolega z Norwegii może w tym przeszkodzić. Jak? Tłumaczył mu: „Jest jednak coś, czego i komuniści boją się: to jest wasza zachodnia opinia publiczna. Jeżeli wy przestaniecie z nimi handlować, sprzedawać zboże i nowoczesne maszyny, [będziecie] protestować przeciwko ich poczynaniom, bojkotować ich imprezy – wierz mi, to na pewno odniesie skutek i dlatego – póki jesteś moim nieprzyjacielem z boiska, pływalni, toru, póki walczymy o piłkę, punkty czy też o czas: zrób coś, byśmy pozostali tylko takimi nieprzyjaciółmi. Jeśli nie wiesz, co masz zrobić, to posłuchaj mojej rady – nie przyjeżdżaj na olimpiadę do Moskwy”.

Na koniec dodawał: „Wiem, że olimpiada jest marzeniem każdego sportowca, i wiem, jak trudno jest wyrzec się możliwości wyjazdu na nią. Jesteś sportowcem, znasz radość zwycięstwa i klęski. Wiesz, że na początku bywają porażki i dopiero potem przychodzi pierwsze, ciężkie wywalczone wielkie zwycięstwo. Przeżyłeś to, zatem wiesz, jaka to radość. Właśnie w imię tego wielkiego zwycięstwa proszę cię: nie przyjeżdżaj na olimpiadę do Moskwy”.

Tak na marginesie: obszernie fragmenty listu anonimowego polskiego sportowca, który podpisał się „Przyjaciel



ze Wschodu”, zostały odczytane po raz pierwszy na antenie Radia Wolna Europa 13 lutego 1980 r., czyli w dniu powstania apelu działaczy Komitetu Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu.

PROTEST NA PLAKACIE

Wróćmy na koniec jeszcze na chwilę do PRL. Tam działacze Komitetu Obrony Robotników odrzucili propozycję – zgłoszoną m.in. przez Marcina Świącieckiego – aby otwarcie wezwać do bojkotu igrzysk rozgrywanych w stolicy Związku Sowieckiego. Wyrazili jednak swój negatywny stosunek do nich, organizując od połowy lipca 1980 r. akcję plakatową na terenie całego kraju. Prowadzili ją zresztą nie tylko działacze i współpracownicy KOR, lecz także osoby związane ze Studenckim Komitetem Solidarności. Rozklejały one (m.in. w stolicy czy pod Wawelem) plakat z czołgiem z czerwoną gwiazdą, którego lufy układały się w znak pięciu kół olimpijskich. Widniał na nim u góry napis „Berlin 1936”, a u dołu „Moskwa 1980”.

W akcję w Krakowie był zaangażowany np. Bronisław Wildstein. Plakaty na krakowskim rynku i w jego okolicach rozklepała m.in. Anna Szwed, wraz ze „starszą panią” Pelagią Potocką. Szwed po latach wspominała: „[Andrzej] Miet-

kowski lub [Wojciech] Sikora podrzucił mi plik stosownych plakatów [...]. O dziwo rozlepiłyśmy [je] spokojnie w Rynku i okolicach; nikt nas nie zatrzymał. Na następny dzień, była niedziela, szliśmy do kościoła św. Anny, podziwiając swoje dzieło. Pani Potocka coraz to wskazywała jakieś inne lepsze miejsce, bardziej widoczne i zobligowała mnie, że postaram się jeszcze o plakaty”.

Z kolei w Warszawie w kolportaż wspomnianego plakatu zaangażował się m.in. Józef Ruszar. Jak donosił tajny współpracownik „Lotos”, miał on posiadać większą liczbę plakatów (50–80 egz.) i twierdzić, że „każdy powinien rozlepić chociaż jeden [...] – jest to »patriotyczny obowiązek każdego Polaka, by występować przeciwko bolszewikom«”. Niestety, nie wiadomo, ile z tych plakatów udało się rozwiesić, tym bardziej że wspomniany tajny współpracownik poinformował również Służbę Bezpieczeństwa o miejscach, w których Ruszar planował to uczynić (miały to być głównie kościoły i obiekty sakralne na trasie pielgrzymki pieszej na Jasną Górę).

W każdym razie funkcjonariusze SB odnotowali pojedyncze plakaty w stolicy i jej okolicach (14 lipca dwa w Piastowie przy ul. Harcerskiej, s. kolejne dwa 23 lipca, tym razem w Warszawie

w autobusie linii 112). Generalnie jednak – przynajmniej w ocenie Służby Bezpieczeństwa – przypadki kolportażu plakatów czy ulotek antyolimpijskich miały należeć do rzadkości. Według MSW do 23 lipca „ujawniono” jedynie cztery plakaty w Puławach, po jednym w Radomiu i Świnoujściu oraz kilka w Krakowie. Z kolei dzień później kilka następnych zauważono w Warszawie. Z całą pewnością były to jednak dane dalece niepełne, fragmentaryczne.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że wspomniana akcja plakatowa miałaby zdecydowanie szerszy zasięg, gdyby nie przeciwdziałania ze strony czujnych „smutnych panów”. W jednym z podsumowań działań SB w związku z igrzyskami olimpijskimi w Moskwie – sprawa obiektowa pod kryptonimem Moskwa 80 – stwierdzano m.in., że „uniemożliwiono szerszy kolportaż plakatu [...], prowadzony z inspiracji KSS KOR – kwestionując kilkadziesiąt plakatów w różnych ośrodkach na terenie kraju”. Tak na marginesie – przynajmniej w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Suwałkach – wspomniane antyolimpijskie plakaty uznano za na tyle poważne zagrożenie, że nawet założono sprawę operacyjnego rozpracowania pod kryptonimem Plastik, której celem było wykrycie ich autora lub autorów, a także ustalenie osób, które je wywiesiły. Na szczęście bez powodzenia.

HISTORIA LUBI SIĘ POWTARZAĆ

Ostatecznie olimpiady w Moskwie nie zbojkotowali ani polscy kibice, ani tym bardziej polscy sportowcy, a wezwania do bojkotu pozostały świadectwem szczęśliwej minionej epoki. Inna sprawa, że historia lubi się powtarzać i dziś spadkobierca Związku Sowieckiego, czyli Rosja, napada kolejne kraje. I jest – jak najbardziej słusznie – bojkotowana, przynajmniej na arenie sportowej, choć nie zawsze tak było. Wystarczy tu tylko przypomnieć mistrzostwa świata w piłce nożnej rozgrywane na jej terenie w 2018 r., mimo że wówczas Moskwa m.in. od czterech lat okupowała Krym. Nikt wówczas nie wzywał polskich czy zachodnich piłkarzy lub kibiców do bojkotu mundialu. Ale to już inna historia...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Author jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Kariera

Często pomijam liczne fałszywe życiorysy osób publicznych. To jest jednak dla mnie przypadek szczególny.

Andrzej Wielowieyski – m.in. poseł, senator, euro-poseł, kawaler Orderu Orła Białego (2011) – kilka lat temu napisał na temat NSZ i Brygady Świętokrzyskiej: „Jako bardzo młody podchorąży AK spędziłem w końcu grudnia 1944 r. kilka dni [...] w Stobieczku pod Radomskiem, gdzie właśnie kwaterowała Brygada Świętokrzyska. Poznałem wtedy i rozmawiałem z wieloma oficerami (rtm. „Lubicz” i por. „Żbik”) [...], i żołnierzami Brygady. [...] z dumą opowiadali mi o swych przerażających wyczynach, czyli zabijaniu nie tylko sowieckich partyzantów i jeńców sowieckich, ale również szczylicili się listami setek zabitych Polaków i to nie tylko z AL, a także z BCh i AK, a także działaczy ludowych i pepesowskich. Ze szczególną satysfakcją odnotowywali likwidowanie ukrywających się Żydów”.

Przerażające są tu niekompetencja i skala kłamstw. Gdyby to była choć częściowa prawda, AK nie dążyłaby do ich scalenia! Brygada Świętokrzyska wówczas nie kwaterowała w tej miejscowości, wymienieni oficerowie mieli inne stopnie (a mjr „Lubicz” był już poza brygadą). Gdyby BŚ zabiła choć kilku AK-owców i BCh-owców, a do tego popełniałaby mordy na Żydach, byłaby za to na bieżąco rozliczana. Jednak nic takiego się nie wydarzyło.

Postanowiłem zatem przyjrzeć się bliżej sylwetce Wielowieyskiego (Biuletyn Informacji Publicznej IPN, Wikipedia itd.). Jest to wprost niesłychane, jaka jest skala wynaturzeń jego życiorysu. Urodzony 16 grudnia 1927 r. już jako 14-latek miał zostać „członkiem” AK, choć wolno było przyjmować dopiero 17-latków – następnie obniżono limit o rok, ale tylko dla przypadków szczególnych. Jednak to jeszcze nic, wkrótce został... podporucznikiem AK (bez matury, szkoły podchorążych itd.).

Bermiemy dalej: „W latach 1942–1945 angażował się w działalność oddziału partyzanckiego AK”. Świadkiem jego działalności miał być... Ryszard Nazarewicz (po wojnie m.in. podpułkownik UB). Wielowieyski posługiwał się jakoby stopniem podporucznika (awanse oficerskie leżały w gestii dowódcy AK!) i był „zastępcą dowódcy plutonu”. To już byłaby bardzo odpowiedzialna funkcja dla 16-latka niespełniającego elementarnych wymogów formalnych.

Jednak to nie koniec zagadek z jego życiorysu. Otóż w 1947 r. miał jakoby ukończyć studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Miał wówczas... 19 lat, czyli tyle, ile w tym wieku młodzi ludzie, którzy zaczynali dopiero wyższą edukację. Co więcej, studia trwające cztery–pięć lat odbył w ciągu zaledwie dwóch? Kiedyś ludzie byli bardziej zdolni? ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwszy ślub

Na samym początku działalności socjalistycznej Piłsudski poznał w Wilnie Marię Juszkiewiczową. Starsza od niego o dwa lata działaczka, uważana za wyjątkową piękność (nazywano ją „Piękną Panią”, w skrócie „PP”, a złośliwie – „PPS bez S”), miała za sobą burzliwe życie osobiste. W wieku 16 lat wyszła za mąż za urzędnika Ministerstwa Komunikacji, Mariana Juszkiewicza. Para dochowała się córki, ale małżeństwo szybko się rozpadło. Maria zadbała o kościelne stwierdzenie nieważności związku, dzięki czemu była osobą stanu wolnego. Pozostawiła córkę pod opieką rodziców i wyjechała do Warszawy, angażując się w pracę konspiracyjną. Aresztowana przez policję wyszła z opresji obronną ręką. Odesłano ją do Wilna z zakazem opuszczania miasta.

Urodziła kobieta nie narzekała na brak wielbieli, a szczególnie uwagę poświęcał jej Roman Dmowski. Chociaż przyszły lider endecji miał zakaz opuszczania miejsca pobytu (mieszkał wówczas w Mitawie), to jednak regularnie przyjeżdżał do Wilna, by spotykać się z Marią. Piękna socjalistka chętnie go przyjmowała i nie wiadomo, jak potoczyłyby się dalsze losy romansu, gdyby w pobliżu nie pojawił się Józef Piłsudski. Jego rywalizacja z Dmowskim stała się publiczną tajemnicą – Maria pokazywała się na mieście raz z jednym, a raz z drugim. Początkowo fawory-

zowała jednak Dmowskiego, a przyszedł Komendant pozo-
stawał na dalszym planie.

Wszyscy troje mieli za sobą wyroki skazujące, a Piłsudski jeszcze dodatkowo zesłanie. Tutaj nie było czasu na pruderię czy obowiązującą w mieszczańskim świecie moralność. Każdego dnia można było zostać aresztowanym i zniknąć w carskich kazamatkach (albo powędrować za Ural). Maria była osobą wolną, lubiła przyjemności życia, a za jej plecami szeptano, że nie uchodzi za „twierdząc nie do zdobycia”...

Rywalizacja o jej względy trwała trzy lata, ale to Piłsudski okazał się zwycięzcą. Pan Roman mógł wygrywać bitwy, a Józef wygrał wojnę. Ostatecznie przeszedł na luteranizm i 15 lipca 1899 r. poślubił swoją wybrankę w Paproci Dużej na Mazowszu.

Rywalizacja o względy „Piękną Pani” na zawsze zadecydowała o stosunkach Piłsudskiego z Dmowskim. Przywódca endecji nigdy nie wybaczył Piłsudskiemu odebrania ukochanej, a Józef nie potrafił przejść do porządku dziennego nad romansem Marii z Dmowskim. To rzadki przypadek w dziejach, by rywalizacja polityczna nałożyła się na współzawodnictwo uczuciowe. Marszałek do śmierci uważał Dmowskiego za swojego osobistego przeciwnika (i vice versa), a wzajemną niechęć zapoczątkowała rywalizacja o względy pięknej Marii. ©©



FOT. ADRIEN STOLK

JAK W THRILLERZE

Sceny przywołujące na myśl słynny thriller katastroficzny „Rój” z roku 1978 rozegrały się na lotnisku w Surat (Indie). Samolot, który miał odlecieć do Jaipuru, nie mógł przez ponad godzinę wystartować. Powód? Przy drzwiach luku bagażowego zgromadził się rój pszczół. Najpierw personel lotniska próbował się ich pozbyć przy pomocy dymu, lecz bez skutku. Udało się to dopiero strażakom, którzy usunęli owady wodą.

TRZY WYKROCZENIA

Czy można, jadąc samochodem, popełnić trzy wykroczenia drogowe naraz? Okazuje się, że można. Przykładem jest kierowca vana na autostradzie niedaleko Barcelony. Mężczyzna jechał bez zapiętych pasów. W jednej ręce trzymał kierownicę i jednocześnie puszkę z napojem, a w drugiej – komórkę, przez którą rozmawiał. Policja go namierzyła, a jego brawurową jazdę nagrała. Następnie wideo udostępniła na TikToku, gdzie stało się wiralem.

PODPALONA KOKAINA

Hiszpańskie służby otrzymały sygnał, że na Oceanie Atlantyckim w pobliżu Wysp Kanaryjskich płynie jacht z kokainą. Gdy ruszyły do akcji, dwóch przemytników na łodzi podpaliło ją. Wybuchł pożar. Służby próbowały go ugasić, a jednocześnie przestępców uratować. Ostatecznie udało się i jedno, i drugie, choć z narkotyków do zarekwirowania zostało niewiele.

WAGA CIĘŻKA

Pewien człowiek wynajął dwojgu klientów dom w serwisie Airbnb. Bardzo się zdziwił, gdy para dała mu za pobyt tylko dwie gwiazdki. Łóżko, z którego korzystała, było – jej zdaniem – za miękkie, i odnosiła wrażenie, że może się pod nią zapasć. Mało tego, klienci byli niezadowoleni, że framuga drzwi jest za mała, bo mieli kłopot, żeby przez nią przechodzić. Ostatecznie okazało się, że dom był niedostosowany do wagi gości.

SIOSTRA SŁUŻĄCA

W serwisie Reddit pewna kobieta poskarżyła się na swoją siostrę, która wprowadziła się do niej z dwojgiem swoich dzieci w wieku lat siedmiu i czterech. Gospodyni została obciążona matczynymi obowiązkami. Matka dzieci codziennie spała bowiem do godz. 13, więc jej siostra szykowała im śniadanie. Te zaś zaczęły narzekać na poranne menu. Gospodyni zatem kazała dzieciom obudzić swoją matkę, żeby ta się wreszcie nimi zajęła. Ona zaś zdziwiła się pretensjami siostry i oczekuje od niej przeprosin. ©

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Alarm dla Europejczyków

Przegrywacie! – ostrzegł Europejczyków Jamie Dimon podczas przemówienia w Irlandii. 69-letni miliarder, biznesmen i dyrektor generalny JPMorgan Chase (największego pod względem aktywów banku w USA) to wnuk greckich imigrantów, którzy przybyli do USA, nie mając nic poza „koszulą na plecach”.

Znany ze zdroworozsądkowego podejścia bankier nie lituje się nad marudzącymi przedstawicielami pokolenia Z. Nie gryzie się też w język, oceniając efekty rządów nieudolnych eurokratów. „Europa spadła z poziomu 90 proc. PKB USA

do 65 proc. w ciągu 10–15 lat – zauważył. Zwrócił też uwagę na malejącą konkurencyjność europejskich firm i całej unijnej gospodarki.

Ostrzega nas nie tylko bankier z USA. „Polsce grozi kryzys finansowy zbliżony do tego, z którym Grecja mierzyła się 15 lat temu” – alarmował w ubiegłym tygodniu „Berliner Zeitung”. Autor tekstu Klaus Bachmann bardzo słusznie wskazywał na brak reform strukturalnych, rosnący w zatrważającym tempie deficyt budżetowy i coraz wyższe wydatki socjalne (w tym na bezsensowne rozdawnictwo w ramach „800+”).

Złe wieści przynosi też Eurostat. Stopa bezrobocia wśród młodych wzrosła w ciągu roku o 27,4 proc. – w maju 2025 r. wyniosła 13,5 proc., chociaż rok wcześniej było to zaledwie 10,6 proc. Teoretycznie to nadal niezły wynik (średnia stopa bezrobocia w tej grupie wiekowej w UE wynosi 14,8 proc.). Polska zajmuje jednak pierwsze miejsce wśród krajów UE, w których stopa bezrobocia wśród osób do 25. roku życia wzrasta najszybciej.

Błyskawicznie rośnie też koszt obsługi długu. Jeśli rządzący nie wezmą się do roboty, to grozi nam scenariusz gorszy niż grecki. ©

Dania: Migracja net zero



FOT. BENJAMIN MUEZ/DRP



Teresa Stylińska

Chociaż Niemcy bez oporów odsyłają nielegalnych imigrantów Polsce i innym sąsiadom, to Danię zostawiają w spokoju. Władze duńskie regularnie przywracają bowiem kontrole graniczne (obecne mają obowiązywać do listopada), nie to jest jednak najważniejsze. Dania od 20 lat prowadzi najsurowszą w Europie restrykcyjną politykę migracyjną. Z jasnym celem: osiągnięcie „migracji net zero”

Kancelarz Friedrich Merz po niedawnej rozmowie z duńską premier Mette Frederiksen bardzo chwalił działania Danii, sugerując, że powinny one „stanowić wzór dla całej Europy”. Trudno nie dostrzegać, jak wielką

przepaść dzieli politykę małej Danii, która skutecznie broni się przed napływem imigrantów – zarówno uchodźców, jak i migrantów ekonomicznych – od polityki potężnych Niemiec, które zdestabilizowały Europę, otwierając szeroko drzwi przed setkami tysięcy ludzi z innego świata. Drzwi – podkreślił – całej Europy, nie tylko Niemiec.

Swe doświadczenia Dania będzie teraz mogła przenieść na pole europejskie. Okazję po temu stanowi jej półroczna prezydencja w Unii Europejskiej. Każdy kraj przewodniczący Unii ma swe priorytetowe tematy, a dla Danii – o czym mówi premier Mette Frederiksen – jest to, obok spraw związanych z zagrożeniem ze strony Rosji, właśnie imigracja. Według pani premier te dwie dziedziny, pozornie sobie obce, stanowią tak naprawdę dwie strony tego samego medalu: bezpieczeństwa. Z punktu widzenia państw liczy się obrona przed Rosją. Dla zwykłych ludzi jednak nie mniej ważne jest poczucie bezpieczeństwa na co dzień. Napływ obcych ludzi burzy je i zakłóca.

PRZED WSZYSTKIM ZNIECHĘCIĆ

Sprawdzać, wyrzucać, zniechęcać? Podczas kryzysu migracyjnego z 2015 r.

władze Danii postawiły na zniechęcanie. W mediach libańskich (nie przypadkiem, Liban leżał na szlaku, bo wielką falę tworzyli głównie Syryjczycy i inni mieszkańcy Bliskiego Wschodu oraz Afgańczycy) ukazała się seria ogłoszeń zamówionych przez władze duńskie. Informowano, że w Danii świadczenia socjalne na rzecz imigrantów zostały obniżone, warunkiem uzyskania prawa pobytu jest znajomość języka duńskiego, ci, którzy otrzymają azyl, rodzinę będą mogli sprowadzić dopiero po roku, a ci, którzy go nie uzyskają, zostaną – nie zwlekając – deportowani. Wniosek: Danię należy omijać.

Trudno powiedzieć, ilu imigrantów ta medialna kampania faktycznie odstraszyła. Być może niemało, skoro Danię ominął wówczas masowy najazd. W 2015 r. stanowiła jedynie przystanek na drodze między Niemcami i Szwecją, która z uwagi na szczodłą opiekę socjalną od zawsze przyciąga imigrantów jak magnes. Dania zamknęła wówczas granicę z Niemcami i wstrzymała połączenia drogowe oraz kolejowe, by uniemożliwić imigrantom przedostawanie się do Szwecji.

Duńczycy stosują też inne, niekiedy zaskakujące metody. Przybywającym imigrantom odbiera się np. telefony

komórkowe i wszelkie cenne rzeczy – zegarki czy biżuterię. Może to być także element taktyki zniechęcania, choć władze duńskie dowodzą, że przejmują majątek imigrantów na pokrycie kosztów ich pobytu. Czasami działają pochopnie. Tak było w 2021 r., gdy zarządzono, by 200 uchodźców syryjskich wracało do domu, do Syrii, którą uznano za kraj bezpieczny, chociaż ciągle rządził w niej Baszir al-Asad. Rząd duński odstąpił od tego planu dopiero po protestach z zagranicy.

Liczby jednak pokazują czarno na białym, że Dania nie zdołała obronić się przed napływem imigrantów. Portal Refugees.dk podaje, że żyje w niej obecnie 670 tys. samych tylko uchodźców, ponad 10 proc. ludności sześciomilionowego kraju. Jak rosła liczba imigrantów, pokazują dane zebrane przez Migration Policy Institute. Okazuje się, że liczba ludzi, którzy albo sami są imigrantami, albo też mają oboje rodziców imigrantów, jest dziś pięć razy większa niż w 1985 r. Imigranci stanowili wówczas 3,3 proc. mieszkańców Danii; dziś 16,3 proc.

Widać też starania władz, by imigrację zahamować. W ubiegłym roku wnioski o azyl złożyło w Danii 2,3 tys. osób. Zaakceptowano 860 i jest to, co podkreślił minister do spraw imigracji Kaare Dybvad Bek, najmniejsza liczba od lat, poza 2020 r., gdy panował COVID i imigranci nie przybywali.

CZY MOŻNA STRACIĆ SWÓJ KRAJ?

Walka z imigracją jest w Danii dobrane przemyślana. To nie są chaotyczne działania podejmowane od przypadku do przypadku, zależnie od bieżącej potrzeby, tylko konsekwentna, wielotorowa strategia podporządkowana konkretnym celom.

Po pierwsze, nie należy imigrantów zachęcać, a taką zachętę bez wątpienia stanowiłyby wysokie zasiłki i rozbudowana opieka socjalna. Po drugie, trzeba minimalizować uciążliwość, jaka wiąże się z obecnością ludzi wyrosłych w innej kulturze i w innej wierze, mających inne obyczaje i inny system wartości. Po trzecie, imigranci muszą się integrować. Wreszcie, po czwarte, jeśli tylko warunki w ich własnych krajach pozwolą uchodzić na powrót, to powinni to zrobić. I Duńczycy mają prawo tego oczekiwać.

Celem nadrzędnym tak skonstruowanej polityki jest zdaniem znawców

tematu utrzymanie systemu państwa dobrobytu, na który składają się m.in. ochrona zdrowia, opieka socjalna, wysoki poziom edukacji i usług. To wszystko jest tu przedmiotem wielkiej dumy, tym bardziej że od lat daje Danii wysokie miejsce w rankingach zadowolenia z jakości życia. Obecność tysięcy obcych ludzi, z którymi trzeba by dzielić się tym, co wypracowały pokolenia Duńczyków, stanowi zbyt duże obciążenie – a zatem, jak podkreśla pani premier, stanowi też „wielkie wyzwanie”.

Wielu, zwłaszcza na lewicy, ubolewa, że za tak restrykcyjną polityką imigracyjną stoją socjaldemokraci. To prawda, ale nie całkowita. Partia socjaldemokratyczna, na której czele stoi Mette Frederiksen, kontynuuje jedynie politykę, którą 20 lat temu zainicjowała koalicja liberałów z partii Venstre, konserwatystów i prawicowej Duńskiej Partii Ludowej. Ta ostatnia, powstała w połowie lat 90., odegrała w Danii taką rolę, jak we Francji Front Narodowy czy we Włoszech Liga Północna: zwróciła uwagę na istnienie problemu. Partia Ludowa odrzuca społeczeństwo wielokulturowe, w którym znikają duńskie tradycje, wartości, wiara i sposób życia, bo nie chce, by – jak to określa – „Duńczycy stracili swój kraj”.

Antyimigracyjna mobilizacja nastąpiła po 2015 r., gdy socjaldemokraci byli w opozycji. W ciągu kilku lat parlament uchwalił serię najrozmaitszych ustaw ograniczających prawa imigrantów. Na pierwszy ogień poszło prawo pobytu: uchodźca w Danii otrzymuje je tymczasowo, na rok, nie na stałe. A inne? Młodzi ludzie z chwilą osiągnięcia dojrzałości nie mogą, jak wcześniej, występować o obywatelstwo. Ograniczona zostaje zasada łączenia rodzin – o sprowadzenie bliskich można starać się dopiero po roku. Do tego dochodzą przepisy, które mają uniemożliwić tworzenie się gett etnicznych: gdy imigrantów „nie z Zachodu” jest za dużo, władze mają prawo ich wysiedlić, wyremontować domy i doprowadzić do poprawienia składu etnicznego dzielnic. Wnioski o azyl i prawo pobytu mają być rozpatrywane poza Danią. W tym kontekście najczęściej wymieniana jest, tak jak w Wielkiej Brytanii, Rwanda.

Faktem jest, że w Danii, w przeciwieństwie do Szwecji czy Belgii, właściwie nie ma eksterytorialnych imigranckich dzielnic, których unika nawet policja. I że Dania nie wpadła w pułapkę, w której

znalazły się inne kraje unikające podawania narodowości przestępców czy ich koloru skóry. W Europie Zachodniej jedynie Dania w statystykach kryminalnych ujmuje pochodzenie sprawców. Jesienią w jej ślady ma pójść Wielka Brytania.

NA DRODZE DO RWANDY

Duńczycy powinni gratulować sobie przezorności – niezamierzonej, więc tym bardziej cennej – chociaż 30 lat temu nie sposób było przewidzieć, że sprawy rozwiną się w takim kierunku. Gdy w 1992 r. w referendum odrzucili przyjęcie traktatu z Maastricht (który, przypomnijmy, ustanowił Unię Europejską), żeby ich przekonać, zgodzono się na wyłączenie Danii z niektórych dziedzin objętych wspólną polityką. Dotyczyło to m.in. spraw wewnętrznych. Dlatego dzisiaj Bruksela ma wobec Danii ograniczone możliwości. A Dania wprost przeciwnie.

Z tej swobody jej władze zrobiły dobry użytek, z pełnym przy tym poparciem społeczeństwa. Bo co do imigracji panuje w Danii absolutna zgoda. Poparcie dla ograniczeń jest bezdyskusyjne. I nic dziwnego. Każdy wie, w jakie problemy zabrnęły kraje, które pozwoliły, by napływy imigrantów wymknął się spod kontroli.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Dania przejęła prezydenturę w dobrym czasie. Choć znaczenia prezydentur nie należy przeceniać, to będzie mogła zwrócić uwagę na sprawy, które sama od lat uznaje za bardzo ważne – tym bardziej że kwestia imigracji stała się gorąca jak nigdy od 2015 r. Na tym polu Dania porusza się swobodnie. I zapowiada, że z pewnością zajmie się dwiema kwestiami, które stanowią niepokład klucz do uporządkowania tematu migracji.

Pierwsza to znalezienie miejsc, gdzie można by kierować imigrantów na czas oczekiwania: do Rwandy, Albanii, Egiptu, może gdzie indziej. Druga dotyczy Europejskiej konwencji praw człowieka. Odwołanie się do niej to skuteczny sposób na zablokowanie deportacji imigrantów, nawet tych, którzy popełnili przestępstwo. Deportowany straci przecież kontakt z rodziną, a to narusza jego prawa ludzkie... Brytyjczycy już wiedzą, jak groźne narzędzie stanowi konwencja. Dlatego dziewięć państw podpisało się pod wnioskiem o przeanalizowanie jej stosowania. Dania także.



Władimir Putin i Ramzan Kadyrow (po prawej) podczas wizyty w meczecie w Grozным, 20 sierpnia 2024 r.

FOT. VYACHESLAV PROKOFYEV/ZUMA PRESS/FORUM

Z Wojciechem Góreckim, znawcą Kaukazu z OSW rozmawia Piotr Włoczyk

Licencja od Putina

PIOTR WŁOCZYK: Przy okazji niedawnego, hucznego ślubu niespełna 18-letniego Adama Kadyrowa wiele się mówiło, że to on jest szykowany na następcę ojca. Czy ten nastolatek rzeczywiście może zostać kolejnym panem i władcą Czeczenii?

WOJCIECH GÓRECKI: Adam Kadyrow już od dwóch lat zajmuje ważne funkcje. Najbardziej szokująca była jego kwietniowa nominacja na sekretarza Rady Bezpieczeństwa Czeczenii.

Łatwo sobie wyobrazić, jak się czuje reszta członków tej rady, obradując pod kierownictwem nastolatka...

Można powiedzieć, że błyskawiczna kariera Adama jest do pewnego stopnia powtórzeniem drogi jego ojca. Po śmierci Achmata Kadyrowa w zamachu w 2004 r. władzę w Czeczenii przejął jego syn. Ramzan Kadyrow nie miał jeszcze 30 lat,

co było wymagane do objęcia stanowiska prezydenta republiki, więc kierował Czeczenią z tylnego siedzenia.

Zaraz po zamachu przyjął go na Kremlu Putin. Powstało wówczas emblematyczne zdjęcie – oszołomiony Ramzan Kadyrow stoi w dresie przy Putinie. Wydaje się, że to wtedy obecny przywódca Czeczenii poczuł więź z Putinem, traktując go niemal jak ojca.

Tylko że Ramzan Kadyrow był wtedy 10 lat starszy od Adama...

Tak, tu wiek jest szokująco niski. Ale Czeczeni mogli się już przyzwyczaić do tej sytuacji, bo Adam w 2023 r. został szefem jednostki zapewniającej bezpieczeństwo głowie republiki, czyli tamtejszego SOP. A następnie dostał tytuł Bohatera Republiki Czeczeńskiej i został

jeszcze nadzorcą struktur rosyjskiego MSW w republice. Widać, że spekulacje o tym, iż przejmie władzę po ojcu, mają mocny fundament.

Adam jest najbardziej faworyzowanym dzieckiem Ramzana Kadyrowa?

Pierworodna 26-letnia Ajszat Kadyrowa pełniła już funkcje wicepremiera oraz ministra kultury i również jest faworyzowana, ale występuje tu pewna obiektywna przeszkoda, której nie da się pokonać: jest kobietą i w związku z tym nie ma szans na przewodzenie Czeczenii. Natomiast spośród wszystkich synów to właśnie Adam, choć nie jest najstarszy, ma najsilniejszą pozycję u boku ojca. Być może Ramzan Kadyrow widzi w nim talent do sprawowania władzy i dlatego szykuje go na swojego następcę. Natomiast Ajszat może stać u boku brata jako starsza, zaufana doradczyni.

Nie brak spekulacji, że do przejęcia władzy może dojść już niedługo, bo Ramzan Kadyrow miał w ostatnich latach mocno podupaść na zdrowiu. W przeciwieństwie do plotek na temat zdrowia Putina tu akurat spekulacje wydają się nieco lepiej uzasadnione.

Stan zdrowia Kadyrowa to pilnie strzeżona tajemnica. To jest człowiek, który uwielbia błyszczeć w mediach społecznościowych, a w ciągu ostatnich kilku lat na całe tygodnie znikał z „radarów”. I raczej nie oddawał się w tym czasie medytacji. Być może jest to związane z kolejnymi turami leczenia. Do tego dochodzi jeszcze jego niezbyt zdrowy wygląd – rzucająca się w oczy opuchlizna. Ale to jednak cały czas spekulacje.

Jest jeszcze druga opcja. Kadyrow, choć nie jest wykształcony, ma jednak w sobie dużo politycznego sprytu. Być może po prostu chce w tym coraz bardziej chaotycznym świecie zabezpieczyć stan posiadania swojej rodziny, tym bardziej że przyszłość jego protektora z Kremla nie jest pewna. Ta wersja jest zapewne mniej prawdopodobna, ale nie wykluczałbym jej.

Jak wygląda miejsce Kadyrowa wśród liderów rosyjskich regionów?

Kadyrow ma samodzielną pozycję polityczną, czego nie można powiedzieć o żadnym innym przywódcy regionu. Po pierwsze, już 20 lat sprawuje tę funkcję,

co nie zdarza się na poziomie szefów regionów. Po drugie, w Czeczenii nie ma jakiegokolwiek opozycji. Kadyrow ma dziś silniejszą pozycję niż niepodległościowi przywódcy czeczeńscy – Dżochar Dudajew i Asłan Maschadow. I jest graczem ponadregionalnym, ponieważ jest w stanie wpływać na politykę Federacji Rosyjskiej, czemu dał wyraz np. wtedy, gdy masakrowana była ludność muzułmańska Rohingja w Mjanmie. To właśnie Kadyrow stał za demonstracjami w Moskwie w 2017 r. przeciw tym zbrodniom. A to już był czas, gdy wyrażanie swojej opinii na wiecach w Rosji nie było bezpieczne... Kadyrow wymusił na rosyjskim MSZ zmianę kursu i zaangażowanie się, co nie było na rękę rosyjskim władzom. Ale pod jego wpływem Moskwa mocno nacisnęła na władze Mjanmy, by przestały prześladować muzułmanów.

Czy Kadyrow rzeczywiście prowadzi coś na kształt własnej polityki zagranicznej?

Utrzymuje własne relacje z państwami regionu Zatoki Perskiej. Z Groznego latają samoloty do Turcji czy państw Zatoki i te rejsy w zasadzie są poza kontrolą władz federalnych.

Kadyrow był też w stanie dokonać pewnych korekt granic z sąsiednimi Inguszetią i Dagestanem na korzyść Czeczenii. Jego wojska wkraczały do wiosek, ustawiały posterunki i metodą faktów dokonanych przesuwali w ten sposób granicę. Rzecz jasna, Moskwa mogłaby tupnąć nogą, ale tego nie zrobiła.

Układ z Putinem wydaje się bardzo prosty...

I tak, i nie. Jest takie staropolskie powiedzenie: złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma. I właśnie w Czeczenii mamy z czymś takim do czynienia. Kadyrow jest w 100 procentach zależny od Moskwy. To stamtąd dostaje pieniądze, dzięki którym m.in. odbudował Grozny. I u siebie zachowuje się jak pan feudalny, który czuje się właścicielem Czeczenii. Jest wiernopoddańczy wobec Putina, jednakże Kreml zależy też od Kadyrowa. To on gwarantuje stabilność w Czeczenii i jest w tym skuteczny oraz niezastąpiony – wyeliminował podziemie zbrojne odwołujące się do radykalnego islamu. Gdyby Kadyrowa zabrakło, na pewno doszłoby w Czeczenii do wyniszczającej walki o władzę.

Kadyrow jest posłusznym rosyjskim sługą?

On jest prorosyjski, ale nie jest prorosyjski. To mimo wszystko polityk proczeczeński, tylko widzi to przez pryzmat swoich interesów i oczywiście pieniędzy. Nietrudno jest mi sobie wyobrazić scenariusz, że gdy pieniądze z Moskwy się kończą, Kadyrow staje na czele kolejnego czeczeńskiego powstania.

Kadyrow na różnych polach stara się wzmacniać czeczeńskość. Przykładowo w kontrze do znanego u nas i w Rosji Dnia Kobiet wprowadził Dzień Kobiety Czeczeńskiej w rocznicę dramatycznego wydarzenia z czasów wojny kaukaskiej (1817–1864). Kobiety czeczeńskie konwojowane przez żołnierzy rosyjskich porozumiały się i przechodząc przez most, chwyciły ich i rzuciły się z nimi do rzeki. W Dumie pojawiły się głosy, że Kadyrow wykonał w ten sposób mocny antyrosyjski gest.

W Czeczenii zwalczany jest radykalny islam salaficki, ale już islam suficki służy legitymizacji władzy przywódcy. Zresztą Kadyrow zupełnie otwarcie wprowadza elementy szariatu oparte na tradycyjnym kaukaskim islamie, które są absolutnie w kontrze do ustawodawstwa rosyjskiego.

To jest oczywiście szariat de facto, a nie de iure?

Tak naprawdę w Czeczenii obowiązują de facto trzy systemy prawne: ustawodawstwo Federacji Rosyjskiej, szariat i normy prawa zwyczajowego, tzw. adaty. Siega się po nie w zależności od sytuacji – czy spór dotyczy kwestii rodzinnych, spraw na styku państwo – obywatel czy też może relacji sąsiedzkich.

W Czeczenii kobiety muszą w miejscach nauki i pracy nosić chusty, a sprzedaż alkoholu jest praktycznie zakazana, co jest oczywiście sprzeczne z rosyjskim prawodawstwem.

To ciekawe, że lojalność Kadyrowa nie jest przypisana „automatycznie” do władcy Kremla, tylko właśnie osobiście do Putina...

To było widać, gdy Czeczenię odwiedził jako prezydent Dmitrij Miedwiediew. W obecności rosyjskiego przywódcy Kadyrow odebrał telefon i dobrą chwilę rozmawiał po czeczeńsku – ponoć dzwoniła jego matka. Pokazał Miedwiediewowi, kto tu rządzi. I o to chodziło.

Kadyrow jest w 100 proc. zależny od Moskwy. Jednakże Kreml zależy też od Kadyrowa

Kadyrow jest „żołnierzem” Putina, jest mu wdzięczny za to, że w 2004 r. go wsparł, a właściwie zaopiekował się nim. Myślę, że przywiązanie Kadyrowa do Putina jest jak najbardziej szczere.

Ten „pan feudalny” Czeczenii ma bardzo specyficzne podejście do sprawiedliwości. Nie mógł sięgnąć po swojego głośnego krytyka Abubakara Jangulbajewa, więc porwał z Niżnego Nowogrodu – leżącego 2 tys. km Czeczenii – jego matkę, Zaremę Musajewą, a następnie wsadził ją do więzienia na podstawie sfabrykowanych zarzutów.

W Czeczenii stosowana jest odpowiedzialność zbiorowa, a Kadyrow dostał od Putina „licencję na zabijanie” – czeczeńskie służby mają przyzwolenie na operowanie na całym terytorium Federacji Rosyjskiej i dlatego tak bezpardonowo porywają krytyków reżimu w Groznych. Z kolei w przeciwnym przypadku, gdy „federalni” wjeżdżają do Czeczenii, by przeprowadzić jakąś akcję, to muszą się liczyć z ostrą kontrakcją Czeczenów.

Jak można szacować poparcie, którym się cieszy w Czeczenii Ramzan Kadyrow?

Jeszcze kilka lat temu wybitny rosyjski orientalista prof. Aleksiej Małaszenko szacował je na 50 proc. Ci, którzy chcą spokojnie żyć i nie mieszają się do polityki, popierają go. Nie da się ukryć, że w tej kaukaskiej republice jest stabilnie, pensje i emerytury są wypłacane na czas, a Grozny jest pięknie odbudowany. Natomiast ludzie, którzy chcą czegoś więcej niż ciepłej wody w kranie i chleba z masłem, widzą, że jest to bardzo brutalna dyktatura, nawet jak na warunki rosyjskie. I tacy ludzie albo już wyjechali, albo zostali zabici. Albo przystali ostatecznie do Kadyrowa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wojciech Górecki jest znawcą obszaru postsowieckiego, głównym specjalistą w Zespole Turcji, Kaukazu i Azji Centralnej Ośrodka Studiów Wschodnich.

Gorzki posmak drożyzny



Jacek Przybylski

Czekolada drożeje na całym świecie, ale w Polsce ceny tabliczki tego smakołyku poszły w górę najbardziej ze wszystkich krajów Unii Europejskiej. Ciśnienie już na sam widok cen może też podskoczyć np. kawoszom

Światowy Dzień Czekolady – obchodzony co roku 7 lipca – tym razem wcale nie był radosnym świętem. Ceny tego słodkiego przysmaku wciąż bowiem rosną. I jeśli ten trend się utrzyma, to tabliczka czekolady (i to nawet zwykłej, tradycyjnej, mlecznej) stanie się produktem luksusowym.

W niektórych sklepach najwyklesze produkty popularnych producentów potrafią już kosztować ponad 8 zł, a w przypadkach niektórych gorzkich czekolad (z wysoką zawartością kakao) etykiety na supermarketowych półkach pokazują już niekiedy ceny dwucyfrowe. Słodki towar stał się nagle na tyle

ekskluzywny, że pracownicy niektórych supermarketów w Warszawie, aby walczyć z plagą kradzieży czekolady, pakują każdą tabliczkę prestiżowego smakołyku w osobne antykradzieżowe opakowania (tego samego typu jak w przypadku niektórych produktów elektronicznych). W ten sposób w różnych sklepach zabezpieczone są już znane z mediów społecznościowych, modne i wyjątkowo drogie „dubajskie” czekolady, a także np. produkty znanego szwajcarskiego producenta, których nawet mleczna wersja potrafi kosztować kilkanaście złotych za 100 g.

KAKAOWY ROLLECOASTER

Dłaczego jednak tabliczka zwykłej mlecznej czekolady nagle, zamiast 3–5 zł,



FOT. ADRIAN STOK

kosztuje już 8, a czasem nawet 10 zł? Przyczyną tego drastycznego podrożenia ma być m.in. ostry wzrost cen kakao na globalnych rynkach, do którego doszło w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy.

W styczniu 2023 r. kakao na giełdach kosztowało jeszcze ok. 2,5 tys. dol. za tonę, w październiku 2023 r. już 3,7 tys. dol. za tonę (najwięcej od 1979 r.). Przyczyną wzrostu cen były problemy z uprawami, wynikające m.in. z suszy i chorób roślin, co przełożyło się na istotnie mniejsze dostawy surowca u czołowych producentów w Ghanie i na Wybrzeżu Kości Słoniowej. Jak zwykle w takich przypadkach na globalnym rynku pojawili się także inwestorzy spekulacyjni, którzy kupowali kontrakty na kakao, aby odsprzedać je później z du-

żym zyskiem. Zarobić na kakao można było sporo, ponieważ w grudniu 2024 r. cena „pokarmu bogów” (jak Hiszpanie nazywali cenny proszek, otrzymywany z nasion owoców drzewa kakaowego, po jego odkryciu pół tysiąca lat temu) poszybowała do 12,6 tys. dol. za tonę, czyli najwyższego poziomu w historii. Od kilkunastu miesięcy notowania surowca poruszają się zaś niczym w rollercoasterze: to spadły do 6,4 tys. dol. za tonę, to znów odbiły w okolice 12 tys. dol. za tonę, by znów runąć.

W ubiegłym tygodniu na Nowojorskiej Giełdzie Towarowej (NYMEX) kakao wyceniane było na ok. 7,6 tys. dol. za tonę. Ekspert ostrzegają jednak, że aby doprowadzić do wzrostu produkcji, biedne kraje afrykańskie muszą wydać ogromne pieniądze na nowe plantacje kakaowców, systemy nawadniające i inne technologie ochrony upraw. Szacuje się, że tylko Ghana powinna przeznaczyć na ten cel ponad 1 mld dol. To zaś wpłynie na ceny surowca. Co prawda, plantacje kakaowców pojawiły się już w krajach, w których do tej pory nie uprawiano kakaowców na dużą skalę (np. w Brazylii czy w krajach Ameryki Środkowej), ale na pierwsze owoce trzeba będzie poczekać jakieś 5–10 lat.

Wysokie ceny prowadzą też do zmniejszenia popytu na kakao (już teraz najwięksi globalni producenci, jak amerykańskie Hershey czy Mondelez, ostrzegają, że przy wysokich cenach konsumpcja czekolady maleje). Jest jednak prawdopodobne, że wysokie ceny kakao staną się nową normą nie tylko w tym roku, lecz także w najbliższych kilku latach. Unia Europejska, całkowicie uzależniona od importu kakao, jest zaś jednym z głównych konsumentów tego surowca (na kraje UE przypada łącznie ponad połowa wartości globalnego importu). I chociaż to właśnie w Unii Europejskiej spożycie czekolady jest najwyższe na świecie, to ceny tego popularnego smakołyku rosną również w Stanach Zjednoczonych (w ciągu roku o ponad jedną piątą).

„MADE IN POLAND”

Według Eurostatu w ciągu roku w Polsce czekolada podrożała aż o 39,1 proc. (maj 2024 r. do maja 2025 r.), czyli niemal dwa razy więcej, niż wynosi unijna

średnia (pokazująca wzrost cen tego przysmaku o 21,1 proc.). Dla porównania: w Luksemburgu czekolada zdrożała w ciągu roku o 5,2 proc., na Cyprze o 9 proc., a we Włoszech o 12 proc. Na Słowacji i w Czechach ceny popularnego smakołyku wzrosły odpowiednio o 13,9 oraz 23,4 proc. Wzrost aż o jedną trzecią w ciągu roku odnotowały jedynie (poza Polską) Łotwa, Litwa i Estonia.

Zawierowania na kakaowo-czekoladowym rynku to ważne dane nie tylko dla przeciętnego miłośnika słodczy, lecz także dla polskiej gospodarki. Polska zajmuje bowiem czołowe miejsca w Unii Europejskiej pod względem produkcji czekolady (przed nami są tylko Niemcy, Belgia i Włochy).

Polacy czekoladę kupują chętnie, a statystyczny Kowalski zjada rocznie 5,9 kg tego przysmaku (to sporo, choć np. statystyczny Niemiec zjada jej ponad 8 kg). Polska jest nie tylko największym rynkiem czekolady w Europie Środkowo-Wschodniej. Czekolada „Made in Poland” od lat stała się polskim hitem eksportowym. Już w roku 2023 Polska weszła na unijne podium, stając się trzecim graczem w UE wśród największych eksporterów tego produktu. Obecnie wartość unijnego eksportu czekolady szacuje się na 50 mld dol., ale w ciągu pięciu lat kwota ta może wzrosnąć do 60 mld dol. Według danych Eurostatu Polska odpowiada za 13 proc. całkowitego unijnego eksportu czekolady. Jednocześnie jesteśmy już siódmym eksporterem czekolady na świecie. W ciągu pięciu lat eksport polskich czekolad wzrósł o ponad połowę. Z danych Głównego Urzędu Statystycznego wynika zaś, że w roku 2024 wartość polskiego rynku czekolady osiągnęła rekordowy poziom ponad 12 mld zł.

Niestety, konsumpcja czekolady w Polsce, która wcześniej nad Wisłą stabilnie rosła z roku na rok, w tym roku zaczęła się już zmniejszać. Podobny problem widoczny jest też na innych rynkach. Niektórych europejskich producentów – jak np. Barry Callebaut Group z siedzibą w Zurychu, która zatrudnia kilkanaście tysięcy osób w ponad 40 krajach świata, w tym w Polsce – szybko rosnące koszty doprowadziły już do decyzji o cięciu zatrudnienia. W różnych krajach UE prace ma stracić łącznie od 700 do 800 osób, ■

■ choć początkowo zapowiadano, że zwolnienia mogą objąć nawet 2,5 tys. pracowników. Coraz częściej słychać również o bankructwach firm czekoladowych, do których dochodzi nawet w takich krajach jak Francja czy Niemcy.

MNIEJ CZEKOLADY W CZEKOLADZIE

Europejscy producenci wskazują, że ogromne podwyżki cen ich produktów wynikają nie tylko ze wzrostów ceny kakao, lecz także z koszmarnie drogiej energii w Unii Europejskiej oraz rosnących kosztów pracy. Szacuje się, że w ciągu ostatnich dwóch lat koszt produkcji czekolady wzrósł o ok. 170 proc. Producenci robią więc, co mogą, aby jednocześnie chronić wysokość własnej marży i nie stracić udziału w rynku na rzecz konkurencji.

Nie zawsze wszystko idzie jednak zgodnie z planem. W lipcu w Niemczech organizacja Foodwatch przyznała firmie Mondelez – producentowi czekolady Milka – niechlubne wyróżnienie Goldener Windbeutel (Złoty Ptyś). To nagroda za „najbardziej zuchwałe kłamstwo reklamowe roku”. Wielu konsumentów mogło poczuć się oszukanych, ponieważ Milka stała się sztandarowym przykładem shrinkflacji, czyli znanej z ostatnich lat praktyki, polegającej na zmniejszaniu gramatury produktu. W przypadku czekolady alpejskiej producent najpierw istotnie podniósł cenę tabliczki, a następnie obniżył gramaturę słodkiego produktu ze 100 g do 90 g. Samo opakowanie miało jednak zachować swój tradycyjny rozmiar. Sam producent zaznacza jednak, że o argumentie braku przejrzystości nie może być w tym przypadku mowy, ponieważ nowa, niższa waga jest wyraźnie wskazana na każdym opakowaniu. Zdaniem organizacji Foodwatch zmiana może jednak wprowadzać niektórych konsumentów w błąd. Oznaczenie „90 g” są bowiem stosunkowo małe, a do tego często niewidoczne na pierwszy rzut oka lub zasłonięte przez karton. Tak czy owak – jak policzyli eksperci Foodwatch – jeśli uwzględni się podwyżkę ceny i zmniejszenie gramatury, to jedna tabliczka czekolady podróżowała w krótkim czasie aż o 48 proc. Według analityków tej organizacji od początku 2024 r. Mondelez podniósł zaś cenę tej czekolady aż o 64 proc.

Trzeba jednak zauważyć, że strategię zmniejszania gramatury stosuje wielu producentów, którzy już obniżyli wagę jednej tabliczki do 90 g, a w przypadku wytrawnych, gorzkich czekolad do 80 g (cena za kilogram w niektórych sklepach wynosi więc już 149,88 zł). Niewykluczone zaś, że w przyszłości jedna tabliczka najbardziej wartościowych rodzajów stanie się jeszcze lżejsza i będzie ważyć np. 75 g.

Jednocześnie niektórzy producenci już kilkanaście miesięcy temu wprowadzili zmiany w recepturach. Przed wybuchem kakaowej hossy udział tego surowca w tabliczce czekolady wahał się od 30 do 70 proc., zależnie od jej rodzaju. Aby nie podnosić cen swoich produktów, niektórzy producenci czekolad zaczęli obniżyć zawartość drogiego kakao w niektórych produktach, zmniejszając ilość miazgi kakaowej. Dotyczy to zwłaszcza czekolady

**Średnio w UE czekolada
zdrożała o 21 proc.
W Polsce o niemal 40 proc.**

mlecznej. Niegdyś w najlepszych produktach tego typu zawartość masy kakaowej wynosiła 40 proc. Po zmianie receptury wiele czekolad mlecznych ma już mniej niż 30 proc. zdrowej miazgi kakaowej, a w niektórych udział kakao spadł do zaledwie 20 proc. Części konsumentów taki produkt może jednak smakować nawet bardziej, ponieważ taka czekolada jest jeszcze słodsza. Niektórzy producenci próbują również oszczędzać na wysokiej jakości tłuszczu, którym łączy się miazgę kakaową, zastępując np. tłuszcz kakaowy tańszymi tłuszczami roślinnymi (np. olejem palmowym). Warto więc na zakupach dokładnie porównywać skład tabliczek czekolady.

Wysokie ceny kakao sprawiają, że na rynku pojawiają się już kontrowersyjne produkty, czyli czekolady, w których składzie nie ma masy kakaowej. Nie chodzi tu o znaną od lat, niezdrową tzw. czekoladę białą, której zbyt częste spożywanie grozi cukrzycą, nowotworami czy obniżeniem płodności (z tego powodu niektórzy smakosze protestują przeciw nazywaniu jej białą czekoladą). Produkty czekoladopo-

dobne testowane m.in. w Niemczech i Singapurze mają podobną strukturę i smak co prawdziwa czekolada, choć powstają bez kakao, a nawet bez masła kakaowego. Być może do czekolady bez kakao trzeba się będzie przyzwyczaić. „Eksperci” uwielbiający pleść farmazony o „zrównoważonym rozwoju” narzekają bowiem coraz głośniej, że kakao generuje „zbyt duży ślad węglowy”, a do tego „duży ślad wodny”. Tymczasem czekolady bez kakao są niby „eko”...

Sposobów na poradzenie sobie z wysokimi cenami czekoladowych przysmaków szukają też sami konsumenci. Na anglojęzycznych, a także na polskich portalach pojawiło się ostatnio wiele przepisów na czekolady domowej produkcji – i to zarówno tej kremowej, mlecznej, jak i klasycznej, gorzkiej. Oba rodzaje można zrobić błyskawicznie i cieszyć się czekoladą własnej produkcji.

WYSOKIE CIŚNIENIE KAWOSZY

Niestety, gwałtownie rosną nie tylko ceny czekolady. Wystarczy rzut oka na rosnące ceny kawy (i to nie tylko w polskich kawiarniach, gdzie od lat jest ona potwornie droga), aby podnieść sobie ciśnienie jeszcze przed pierwszym łykiem espresso.

Ceny kawy na globalnych rynkach od 2023 r. poszybowały w górę. Od lutego ceny ziaren kawy arabika przekroczyły poziom 432 dol. za 100 funtów (czyli ok. 45,36 kg), bijąc rekord z roku 1977. I mimo że następnie zmalały do 310 dol., to kawa na półkach wciąż drożeje. Na przyczynę tej hossy znów składała się warunki pogodowe oraz spekulanci (w tym różne fundusze hedgingowe), którzy po pierwszych informacjach o słabszych zbiorach masowo kupują kontrakty terminowe, przez co doprowadzają do skoku ceny. Jeśli ten trend się utrzyma, to do listy produktów luksusowych w Polsce będzie trzeba, obok tabliczki czekolady, dopisać również opakowanie wysokiej jakości kawy ziarnistej.

W tym przypadku też pojawiają się już na świecie pomysły produkowania „kawy” bez wykorzystania w tym celu ziaren kawy. Oby tylko nikt nie zmuszał kawoszy do przejścia z prawdziwej kawy na produkty typu „instant”. Tego nie osłodziłyby nawet malejące ceny cukru (które nie są dobrą informacją dla polskich rolników). © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM**Serio? Polska bez imigrantów?**

W Polsce szybko przybywa przeciwników wpuszczania do Polski imigrantów. I jednocześnie szybko rośnie liczba imigrantów – wpuszczanych dziś przez rząd Platformy pewnie tak samo masowo, jak wcześniej przez rząd PiS. Z danych Eurostatu wynika, że za władzy PiS, np. w 2017 r., prawo legalnego pobytu uzyskało u nas 680 tys. cudzoziemców, a w 2023 r. – 643 tys.; najwięcej ze wszystkich państw UE. A czy za rządów Platformy – w latach 2024 i 2025 – wpuszczono ich dużo więcej?

Tak czy siak, tylko tych legalnie pracujących imigrantów jest dziś w Polsce już aż 1,2 mln (z pracującymi „na czarno” – ok. 2 mln), podczas gdy rok wcześniej było ich 1 mln. A to oznacza, że już prawie 7 proc. legalnie pracujących w Polsce to imigranci (z ponad 150 krajów). Czyli jeszcze nie co 10., lecz pewnie wkrótce właśnie co 10. osoba pracująca w Polsce będzie imigrantem. A potem pewnie co 9., później co 8., co 7. itd., bo jakoś nie widać, żeby rządzący Polską politycy mieli jakikolwiek pomysł na zastopowanie katastrofy demograficznej, która doświadczają także nasz naród, albo odwagę, by choćby tylko zacząć przekonywać Polaków, że muszą coraz później przechodzić na emeryturę i coraz dłużej pracować zawodowo.

A bez tego... cóż, czarno widzę przyszłość Polski bez imigrantów, choć z imigranta-

mi też nie będzie ona przecież „jasna”. Mam w związku z tym pytanie do tych, którzy – zapewne w dobrej wierze – życzą Polsce, by pozostała państwem jednonarodowym, państwem Polaków, a więc by raz na zawsze zamknęła granice i nie tylko przestała wpuszczać kogokolwiek, kto nie jest Polakiem, lecz także żeby jak najszybciej wydalili wszystkich nie-Polaków. To pytanie brzmi: Jak wyobrażają sobie Polskę bez pracujących dziś w niej imigrantów? I pytanie uzupełniające: Co jutro stałoby się ze sklepami, w których robimy zakupy, z barami, w których się żywimy, z firmami, w których się strzyżemy, i tymi, które budują i remontują nasze domy, z taksówkami, którymi jeździmy itd., gdyby dziś imigranci, którzy tam pracują i nas obsługują, zostali zmuszeni do wyjazdu z Polski? Albo wyjechali z niej sami.

No, chyba że chodzi „tylko” o to, żeby usunąć z Polski tych, którzy przybyli tu nielegalnie i nie chcą pracować, lecz żyć na nasz koszt – i takich też nie wpuszczać. A wpuszczać tylko tych, których kwalifikacje i praca są nam przydatne, i jedynie pod warunkiem zgody na polonizację. Ale przecież wiadomo, że Polskę zmieniają – w niewiele mniejszym stopniu – także ci imigranci, którzy przybyli legalnie i legalnie pracują. I to zmieniają zazwyczaj nie w sposób, którego byśmy sobie życzyli.

Czyżbyśmy więc już i my wpadli w pułapkę, z której nie widać wyjścia? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA**Grzegorz Braun i wolność słowa**

Grzegorz Braun postanowił udowodnić, że moje oceny jego działania jako opartego na niewiele wnoszącym politycznym happenerswie są trafne. Tak traktuję również jego wypowiedzi dotyczące obozu Auschwitz czy elukubracje na temat słabych rzekomo dowodów na istnienie komór gazowych w niemieckich obozach zagłady. Nie dołączam się do hysterii wokół nich – Braun nie jest członkiem polskiego rządu, reprezentuje jedynie swoich wyborców, więc nie

są granice wolności słowa. Bardzo możliwe, że Braun zostanie oskarżony na podstawie art. 55 ustawy o IPN, który mówi: „Kto publicznie i wbrew faktom zaprzecza zbrodniom, o których mowa w art. 1 pkt 1, podlega grzywnie lub karze pozbawienia wolności do lat 3”. W katalogu wymienionym w przywołanym artykule są m.in. zbrodnie nazistowskie, a także ukraińskie i komunistyczne.

To jeden z długiej listy (dla wielu może być zaskakujące, jak długiej) przepisów karnych, które w Polsce ograniczają wolność słowa. Wszystkie albo prawie wszystkie z nich powinny zostać zniesione. A przepisy z ustawy o IPN być może w pierwszym rzędzie. Trudno znaleźć logiczny powód, dla którego państwo ma grozić karami za wygłaszanie bredni w jakiegokolwiek dziedzinie – również w tej bardzo wrażliwej, dotyczącej historii. Jeżeli ktoś czuje się nimi szczególnie urażony, to powinien mieć łatwo dostępne środki dochodzenia swoich praw.

Są kraje, gdzie podobnych regulacji nie ma. Ba, jest ich na świecie większość. Nawet w Europie tzw. kłamstwo oświęcimskie nie jest karane w Finlandii, Norwegii czy Irlandii, przede wszystkim zaś nie ma tego typu legislacji w USA. Nie potrzebujemy ustawodawstwa karnego, żeby właściwie ocenić twierdzenia pana Brauna. ©©

Trudno znaleźć logiczny powód, dla którego państwo ma grozić karami za wygłaszanie bredni

wyrządza państwu polskiemu jakichś ogromnych szkód. Jego karkołomne tezy zostały już wystarczająco wyjaśnione przez naukowców, powołujących się na badania i przede wszystkim świadectwa samych więźniów. A nie zapominajmy, że jednym z nich, autorem wstrząsającego raportu z niemieckiego obozu zagłady, był bohater polskiego ruchu oporu, rtm. Witold Pilecki.

Jednak sprawa najnowszych wypowiedzi europosła wywołała kolejny raz dyskusję o tym, jakie



Joanna Bojańczyk

Golizna jest tym, co najbardziej przyciąga uwagę fotografów i mediów społecznościowych. Na czerwonych dywanach wyścig – nadal zacięty jest bój o najbardziej „ryzykowny” strój

Tegoroczny Festiwal w Cannes zasłynął nie tyle z dobrych filmów, ile z zarządzenia, które nieoczekiwanie pojawiło się w statucie. „Ze względów przyzwoitości nagość jest zabroniona na czerwonym dywanie oraz w każdym innym miejscu Festiwalu”.

Nas niewiele to obeszło, ale we Francji oraz w środowiskach bliskich celebryctwu się zagotowało. Anglosaska prasa oburzona. „Jak okropnie!” – pisał Vogue US na stronie internetowej. I dalej: „W miarę zbliżania się Festiwalu Filmowego w Cannes w 2025 r. Wielka Dama Wydarzeń Filmowych zrobiła coś nie do pomyślenia: zakazała tego, co wielu uważa za jej źródło utrzymania, a mianowicie wyzywających strojów na czerwonym dywanie”. Brytyjski „Daily Mail” wyraził ubolewanie, że „dobra, staromodna przyzwoitość rzuca cień na 78. Festiwal Filmowy w Cannes”.

To ciekawe, bo dowiadujemy się, że to nie dobre filmy, ale wyzywające stroje są źródłem utrzymania dla niektórych uczestników Festiwalu w Cannes. Oburzenie Vogue jest przewidywalne – gdyby ten zakaz ich obowiązywał, poszliby na bezrobocie.

PRZEŚWITUJĄCE I CIELISTE

Na czerwonych dywanach Oscarów, Złotych Globów i Grammy nie ma ceremonii bez licznych aktorek i influencerów w prześwitujących sukienkach, które nie pozostawiają nic do domysłu. Celebryci mają świadomość, że golizna jest tym, co najbardziej przyciąga uwagę fotografów i mediów społecznościowych. Wyścig o najbardziej „ryzykowny” strój jest zacięty. Rihanna i Kim Kardashian w czołówce.



Stella Maxwell na czerwonym dywanie 76. festiwalu filmowego w Cannes

FOT. LYVANS BOOLAKY/GETTY IMAGES

Gołych nie obsługujemy

Pionierką gatunku była Marilyn Monroe szepcząca: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, panie prezydencie” w 1962 r. z okazji 45. urodzin JFK, ubrana w cielistą szyfonową suknię z haftem wysadzaną kryształkami.

W lutym ubiegłego roku, na wieczorze Grammy Awards, Bianca Censori pojawiła się przed fotografami w futrze, które na polecenie męża Kanye Westa spuściła na ziemię, odsłaniając bezową tiulową koszulkę, nieukrywającą niczego. Scena zszokowała świat, zarówno pod względem (braku) przyzwoitości, jak i podporządkowania się partnerowi.

Jednak strój, a raczej jego brak, nie wywołał oficjalnej skargi ze strony władz Kalifornii. Noszenie całkowicie

przezroczystej sukienki nie jest uważane za ekshibicjonizm karany przez prawo w Stanach Zjednoczonych (jak we Francji). „Oskarżenie o ekshibicjonizm w Kalifornii wymaga umyślnego publicznego odsłonięcia swoich genitaliów w celu obrażenia lub podniecenia seksualnego” – powiedziała dziennikowi „Le Figaro” prawniczka z Los Angeles, Andrea Oguntula, przyznając mimo wszystko, że „strój pani Censori niewątpliwie przekroczył granice”.

PRUDERIA W CANNES

Powiedzmy od razu, że menedżerowie festiwalu Cannes nie kierowali się wiktoriańskim purytyzmem, lecz raczej względami wokeizmu.

Bo dlaczego niby mężczyźni są w garniturach, cali zakryci, a baby na golasa? To dla kobiet dyskryminujące. A największymi feministycznymi aktywistkami są aktorki, więc na taką decyzję nie powinny się obrażać.

Festiwal w Cannes wyjaśnił: „Celem nie jest regulacja ubioru, ale zakazanie całkowitej nagości na czerwonym dywanie, zgodnie z instytucjonalnymi ramami wydarzenia i prawem francuskim”.

Czy Cannes będzie więc bardziej pruderyjne niż Hollywood?

WSZYSTKO JUŻ BYŁO

Gdy chodzi o epatowanie golizną, można odnieść wrażenie, że trudno będzie o coś nowego. Wszystko już było, nawet wtedy, kiedy wydaje się, że cały świat był zapięty pod szyję.

Weźmy „królewskie koszule” Marii Antoniny – lekkie muslinowe sukienki, które królowa zaczęła nosić w latach 80. XVIII w. i które wywołały skandal. Podobnie „grecko-rzymskie” suknie cesarzowej Józefiny... Głęboko wycięta sukienka z siatki Ciccioliny w 1988 r., prześwitująca sukienka Saint Laurent Belli Hadid w Cannes w zeszłym roku, Jane Birkin odsłaniająca nagie piersi i majtki pod flesztami fotografów (zatem nieumyślnie) pod przezroczystą minisukienką na premierze filmu „Slogan” w 1969 r. „Nude look” Yves’a Saint Laurenta z 1966 r.: czarna szyfonowa sukienka przepasana piórami strusia, zakrywająca akurat tyle, ile potrzeba, żeby stwierdzić, że „nic nie jest piękniejsze niż nagie ciało”, według krawca krawców.

Przeżyłam w modzie różne dziwactwa i mało co robi na mnie wrażenie. Zarządzenie z Cannes traktuję jako kolejny element poznania, bo moda – jak wiadomo – jest refleksem tego, co dzieje się w społeczeństwie, kulturze, polityce. Faktem jest, że popkultura nie tylko znieczuliła nas na skandale, lecz także nimi solidnie zmęczyła. Widzieliśmy biust Emily Ratajkowski, pośladki Kim Kardashian, sekstaśmy (dla chętnych), najbardziej intymne momenty życia prywatnego i w programach reality, i na portalach. Pora na zmianę.

A jeśli zmiana ma związek z dojściem w Europie konserwatywnych rządów? Może to jest odpowiedź na padające wobec kobiet oskarżenia o prowokowanie

zbyt odważnymi, nawet wulgarnymi strojami? Wiadomo, że u podłoża pierwotnego instynktu strojenia się leży potrzeba kokietowania – tak jest we wszystkich kulturach. Jednak czy tym razem nie przeholowaliśmy? Gołe biusty, pępki, ramiona, dekolty, pośladki. To już nudne.

RAMIĄCZKO. I CO DALEJ?

Nie tak dawno skandalem było ramiączko. Jego jawność na gołym ramieniu wydawała się nie do przyjęcia. Wszak biustonosz jest bielizną, a tej się nie pokazuje. Tak myśleliśmy jeszcze w połowie lat 90. Ale wtedy ramiączko było w trakcie procesu emancypacji i dopiero zaczynało przebijać się do świadomości publicznej. Szło ciężko, jak pewnej kampanii społecznej „Niech nas zobaczą”. W końcu zobaczyliśmy.

Gdy ramiączko stało się jawne, na wierzch wylazł cały stanik. Wszyscy dzielimy radość oglądania go w takiej postaci, w jakiej każda z pań ma go w szufladzie. Część lub całość wystająca z dekoltów lansuje się w urozmaiconych kolorystyce i wzornictwie. Albo weźmy majteczki. W kwiatki albo z czarnej koronki pod białymi, że nie wspomnę superobcistymi, bo to już standard, spodniami lub legginsami. O stringach nie będę się rozwodzić, to już temat zbyt trywialny, a poza tym w zaniku. Ale zdarza się jeszcze zobaczyć nad linią spodni tzw. proce, czyli górną część stringów.



Marilyn Monroe, ubrana w cielistą szyfonową suknię z haftem wysadzaną kryształkami, szeptała: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, panie prezydencie”

FOT. BETTMANN ARCHIVE/GETTY IMAGES

Sprawa nie dotyczy tylko pań. Gdy robi się ciepło, w parkach jak wiosenne kwiaty wykwitają na ławkach starszycy. Zakiszeni przez zimę w mieszkaniach wystawiają do słońca swoje trochę używane już członki. Są w odzieży tylko dolnej; dobrze, jeśli nie w bieliźnie. Niektórzy – albo przez dyskrecję, albo też z powodów bliżej mi nieznanych – kamuflują się w krzakach. Może i dobrze, bo oglądalność mają przez to mniejszą. Nie śmiem podejrzewać, że czekają, aż zabłąka się tam jakaś nastolatka...

Co jest takiego w lecie, że na ten czas u wielu skądinąd nieźle ubranych osób czasowo zawiesza się poczucie przyzwoitości i dobrego smaku? Facet, którego zimą widzisz w windzie jako pracownika korporacji w wełnianej kurtce i sznurowanych półbutach, w pierwszym lipcowym upale okazuje się otłuszczonym osobnikiem w za szerokich szortach i podkoszulce kierowcy tira ukazującej owłosioną, aczkolwiek zroszoną już siwizną klatkę piersiową. Stonowana zazwyczaj sąsiadka w beżowej garsonce zaskakuje wydekoltowanym podkoszulkiem, z którego wystaje biustonosz po licznych praniach, a okolice brzucha zdobi wałek 40-letniego ciała.

Zważywszy na powyższe obserwacje oraz nadchodzący sezon nadmorskich kurortów, cieszę się, że wiele turystycznych miast w Europie przyjęło zasady ograniczające zbyt skąpe ubrania. Ich cel – ochrona lokalnych norm kulturowych i poprawa wizerunku miast. Starsze mieszkanki Sycylii w czarnych strojach nie powinny czuć się skrępowane na widok rozgogolonych turystek.

W Barcelonie, na Majorce i na Ibizie nie wolno nosić strojów kąpielowych poza plażą. W Maladze obowiązuje podobny zakaz plus zakaz topless dla panów. We Włoszech – Sorrento, Lipari na Wyspach Eolskich i – co zrozumiałe – w Watykanie. W Chorwacji: Dubrownik, Split i Hvar. Nicea – tam grozi niewielki mandat, bo tylko 35 euro.

Także władze Sopotu w ramach akcji „Turysto, szanuj Sopot” zainicjowały kampanię „Stop golasom na ulicy”. Wielu sopockich restauratorów ostrzega potencjalnych gości: „Nieubranym klientom nie obsługujemy”. Ciekawe, czy Kim Kardashian zostałaby w Sopocie obsłużona.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Miasto ojca Mateusza i prokuratora Szackiego



Cezary Gmyz

Trwały ślad na zamku w Sandomierzu odcisnęli Jagiellonowie, począwszy od Władysława Jagiełły, a na Zygmuncie Auguście skończywszy. Budowla swoimi rozmiarami nieznacznie tylko ustępowała Wawelowi, do którego zresztą wizualnie w czasach największej świetności była podobna

Większość badaczy skłania się do tezy, że nazwa „Sandomierz” ma swój źródłosłów w prasłowiańskim imieniu Sędzimir. Są jednak i tacy, którzy sądzą, że nazwa pochodzi od miejsca, gdzie San do Wisły domierza, czyli uchodzi. I rzeczywiście San wpada do Wisły niedaleko Sandomierza, a konkretnie w Dąbrówce Pniowskiej. Nie jest tylko polska specyfika, że w tzw. widłach rzek od najdawniejszych czasów lokowano nie tylko ludzkie osady, lecz także obiekty o charakterze militarnym – by wspomnieć o twierdzach w Dęblinie, Modlinie czy Wisłoujściu. Nic dziwnego, że w takim właśnie miejscu, w pobliżu ujścia Sanu, powstał jeden z najstarszych grodów Rzeczypospolitej.

Dziś San jako rzeka ma znaczenie przede wszystkim turystyczno-rekreacyjne. Jednak przez całe stulecia stanowił jeden z najważniejszych elementów kręgosłupa transportowego Rzeczypospolitej. Nie mogły nim pływać tak duże jednostki, jak po Wiśle, jednak obok Bugu stanowił główny szlak, którym transportowano zboże z Ukrainy, co zapewniało pomyślność Polski przez stulecia. Drugim bardzo ważnym towarem transportowa-

nym Sanem do Wisły było drewno. I to właśnie w widłach Sanu i Wisły funkcjonowały niezliczone bindugi, czyli miejsca, gdzie pnie drzew były wiązane w tratwy, które spławiano aż do Gdańska, a stamtąd jeszcze dalej, do portów niemieckich czy angielskich.

CUDOWNE OCALENIE SZLACHCICA

Sandomierz swoje znaczenie osiągnął już za czasów Bolesława Chrobrego. Gall Anonim w swojej słynnej kronice zapisał: „Boleslaus vero, in Wratislaw, et in Cracovia, et in Sandomir, sedes regni principales obtinuit” – co oznacza, że za główny gród ówczesnego państwa polskiego uważano, obok Wrocławia i Krakowa, właśnie Sandomierz. Znaczenie Sandomierza będzie utrzymywało się przez kolejne stulecia, a świadectwem potęgi grodu będzie zachowany do dziś Zamek Królewski, wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego w miejscu, gdzie wcześniej była drewniana budowla obronna. Nie ma wątpliwości, że o obronnym charakterze grodu zadecydowało jego położenie na wiślanej skarpie, co z jednej strony zapewniało naturalną fosę w postaci rzeki. Z czasów króla, który zastał Polskę drewnianą, a zostawił mu-

rowaną, zachowało się niewiele, bo tylko przymurze ośmiokątnej baszty. Jednak następni władcy po śmierci ostatniego Piasta na polskim tronie zamek znacznie rozbudowali. Trwały ślad na budowli odcisnęli Jagiellonowie, począwszy od Władysława Jagiełły, a na Zygmuncie Auguście skończywszy. Zamek swoimi rozmiarami nieznacznie tylko ustępował Wawelowi, do którego zresztą wizualnie w czasach największej świetności był podobny. Niestety, potop szwedzki położył kres jego świetności. W październiku 1655 r. miasto zajęły wojska Karola X Gustawa. Pod koniec kwietnia następnego roku Polacy miasto odbili, ale nie zdołali zdobyć zamku, którego broniła zaledwie 160-osobowa załoga. To doskonale pokazuje, jak dobrze swoje funkcje spełniała budowla obronna wzniesiona przez polskich władców. W nocy z 2 na 3 kwietnia zarządono ewakuację, a następnie wysadzenie zamku. W tym celu zgromadzono aż 300 cetnarów prochu. Dziś odpowiadałoby to prawie dziewięciu tonom trotylu. Załogę zamku przemieszczono na trzech skutach na drugi brzeg Wisły. Na zamku zostało tylko 30 żołnierzy szwedzkich, którzy zostali wybić prawie do nogi przez polskich

zdobywców. Żołnierze polscy rzucili się do rabowania zamku i wtedy właśnie nastąpiła gigantyczna eksplozja, w której mogło zginąć aż 500 ludzi. Legenda mówi, że siła wybuchu była tak wielka, że szlachcica o nazwisku Bobola podmuch wyrzucił wraz z koniem na drugą stronę Wisły. Zostało to zresztą uwiecznione na obrazie Karola de Prevota, do dziś pokazywanego w sandomierskiej kolegiacie. Historię tę przywołał Henryk Sienkiewicz w „Potopie”, gdzie Zagłoba tak o tym wydarzeniu opowiadał: „A nas będzie Najświętsza Panna sekundowała jako pana Bobolę w Sandomierzu, którego prochy na drugą stronę Wisły razem z koniem przerzuciły, a dlatego mu nic. Obejrzał się, gdzie jest i zaraz na obiad do księdza trafił”.

Jednak Karola de Prevota rozstawiło inne dzieło wiszące do tej pory w bazylice sandomierskiej. I to rozślawiło, rzecz by można, na cały świat. I to kilka stuleci po śmierci malarza – a dokładniej w roku 2006. Wtedy ktoś zwrócił uwagę, że wiszący w bazylice sandomierskiej obraz ma jednoznacznie antysemicki wydźwięk. Przedstawia on ni mniej, ni więcej mord rytualny, którego mieli dokonać Żydzi w Sandomierzu. Co ciekawe, obraz ten miał swoje źródło w autentycznych wydarzeniach, do których doszło najpierw zaraz po potopie szwedzkim, a potem w latach 1698 i 1710. Wtedy to odbywały się pogromy Żydów oraz procesy o rzekome morderstwa rytualne. Po tych wydarzeniach ówczesny proboszcz tej parafii zamówił u de Prevota cykl zatytułowany „Martyrologium Romanum”. Jednak wbrew tytułowi cyklu na obrazach, oprócz rzeczywistych męczenników wyniesionych do chwały ołtarzy, znalazły się dzieła związane z Sandomierzem. W tym właśnie scena cudownego ocalenia imć pana Boboli oraz właśnie scena mająca przedstawiać nieczne praktyki Żydów. Artysta skompilował historię opisaną w aktach sądowych, w których wyniku stracono Żydów podejrzewanych o mordowanie dzieci czy profanację hostii. Dodajmy, że zeznania w tych sprawach zostały wymuszone straszliwymi torturami. Nawiasem mówiąc, proboszcz, który obrazy zamówił, Stefan Żuchowski, brał w tych sprawach czynny udział i z całą pewnością przyczynił się do wyroków skazujących. Zamawiając ten obraz, chciał zatem uwiecznić siebie samego dla potomności jako pogromca Żydów.

Sprawa obrazu zrobiła się głośna w roku 2006. Pisały o nim media na całym świecie, nieraz sugerując, że jego eksponowanie świadczy o polskim antysemityzmie podtrzymywanym przez kler. W rezultacie obraz został zakryty płótnem. Sprawę rozwiązano dopiero w roku 2014 w porozumieniu ze środowiskami żydowskimi. Odsłonięto go ponownie, ale obok umieszczono tabliczkę z wyjaśnieniami: „Obraz ten przedstawia rzekomy mord rytualny, który miałyby być dokonany przez sandomierskich Żydów w celu dodania krwi dziecka chrześcijańskiego do macy używanej w czasie Paschy. Wydarzenie to nie jest zgodne z prawdą historyczną, a co więcej – nigdy nie mogło mieć miejsca, gdyż prawa judaizmu zabraniają spożywania krwi. Żydzi nie mogli dokonywać i nie dokonali mordów rytualnych. Z powodu podobnych oskarżeń byli często prześladowani i mordowani, jak to wydarzyło się również w Sandomierzu. Począwszy od XIII w. papież zabraniał rozpowszechniania tego rodzaju fałszywych zarzutów i bronili Żydów przed nimi” – czytamy w objaśnieniach. Takie rozwiązanie zaakceptował sam naczelny rabin Polski, który przyjechał do Sandomierza na organizowane wówczas przez Kościół katolicki Dni Judaizmu.

Co ciekawe, sprawa tego obrazu znalazła się też w centrum akcji kryminału Zygmunta Miłoszewskiego „Ziarno prawdy”. Fabuły jednak nie będziemy zdradzać, by nie pozbawiać elementu zaskoczenia tych, którzy jeszcze nie czytali tej części cyklu, którego głównym bohaterem jest prokurator Szacki.

OSTATNIA WIELKA ZBRODNIĄ

Jeśli już przy kryminałach jesteśmy, to oczywiście warto dodać, że współcześnie Sandomierz został rozślawiony przez serial poświęcony duchownemu detektywowi amatorowi, czyli ojcu Mateuszowi. Inna sprawa, że mieszkańcy Sandomierza sobie żartują, iż serial ze spokojnego miasteczka uczynił stolicę zbrodni i występku. Pragniemy jednak uspokoić turystów, którzy chcieliby je odwiedzić, że prawdziwe statystyki przestępczości w tym grodzie to zaledwie niewielki odsetek tego, co dzieje się w serialu czy w kryminale Miłoszewskiego.

Do ostatniej wielkiej zbrodni związanej poniekąd z Sandomierzem doszło prawie

pół wieku temu, a dokładnie w 1976 r. W historii kryminologii znana jest jako zbrodnia połaniecka, gdyż wydarzyła się nieopodal tej wioski leżącej nie tak daleko Sandomierza. Była to sprawa, która wstrząsnęła Polską Ludową nie mniej niż historia wampira z Zagłębia. Sprawa była tym bardziej wstrząsająca, że do wydarzenia doszło w Wigilię Bożego Narodzenia, a jego świadkami było aż 30 osób. Tłem był wieloletni konflikt sąsiedzko-rodzinny. Ofiary zamordowano w niezwykle okrutny sposób. Najpierw potrącono je samochodem, potem dobijano je ciosami łżek do opon samochodowych, by na sam koniec zwłoki przejechać autobusem, pozorując wypadek. Ofiarami byli młoda dziewczyna będąca w piątym miesiącu ciąży, jej mąż oraz 12-letni brat. Wszystkim świadkom główny sprawca zbrodni, Jan Sojda, kazał nakłuć palce i złożyć przysięgę na różaniec, że nie pisną ani słowa. Dodatkowo świadkowie zostali skrupowani. W śledztwie popełniono całą masę błędów. Dopiero po kilku miesiącach pojawiły się wątpliwości, czy to rzeczywiście był wypadek, i ofiary ekshumowano. Sekcja dała jednoznaczny wynik – wypadek został upozorowany. W sumie na ławie oskarżonych znalazło się kilkanaście osób. Proces się odbył w ówczesnym Sądzie Wojewódzkim w Tarnobrzegu, który siedzibę miał w Sandomierzu. Zarówno oskarżeni, jak i świadkowie bardzo długo mataczyli. Jednak ostatecznie udało się sprawę wyjaśnić. Zapadły aż cztery wyroki śmierci, z czego wykonano dwa.

Warto jeszcze wyjaśnić na koniec, dlaczego sąd miał siedzibę w Sandomierzu, skoro stolica województwa była w Tarnobrzegu. Podczas gierkowskiej reformy administracyjnej najpoważniejszym kandydatem na siedzibę województwa był właśnie Sandomierz. Jednak ostatecznie na skutek tego, że miasto miało opinię sklerikalizowanego, zdecydowano się na zrobienie stolicą województwa położonego na drugim brzegu Wisły Tarnobrzegu. Niektórzy argumentowali, że starsza i znacznie ważniejsza jest położona niedaleko osada Miechocin. Ostatecznie jednak za Tarnobrzegiem przemówił fakt, że ulokowano w nim olbrzymi kombinat siarkowy, a zatem miasto było robotnicze. Chyba nie musimy dodawać, co myśleli o tym i myślą do dziś mieszkańcy Sandomierza.

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Białowieskie dwory królewskie



JACEK KOMUDA

Białowieża w puszczy sławnej z widoków i żubrów już pod koniec średniowiecza była tradycyjnym miejscem polowań wielkich książąt litewskich i królów polskich. Stefan Batory polował tam już w XVI w., 300 lat wcześniej, zanim wybudowano carski pałac i założono pod koniec XIX stulecia tereny łowieckie Moskwy. Pierwsze dwory myśliwskie – księcia Witolda i króla Zygmunta I – znajdowały się w miejscu znanym dzisiaj jako Stara Białowieża, nad rzeką Łutownią, w pobliżu wsi Pogorzelce. Pod koniec XVI w. jednak tereny te zostały opuszczone z powodu niezdrowego klimatu i wylewów rzeki. Białowieża przeniosła się wówczas na miejsce, w którym znajduje się obecnie. Tutaj też wzniesione

zostały kolejne dwa dwory władców Polski i Litwy.

Znajdowały się one na terenie dzisiejszego Parku Pałacowego.

Pierwszy, o którym wzmianka pochodzi z 1639 r., służył Władysławowi IV, zamiłowanemu

myśliwemu. Po jego śmierci zaś królowi Janowi Kazimierzowi. Niestety, nie przetrwał długo – został spalony albo w roku 1655, albo w 1658, kiedy w trakcie wojny z Moskwą armie carskie dotarły aż do rzeki Bug. Białowieża wchodziła zaś wówczas w skład ekonomii królewskiej w Grodnie, kompleksu dóbr zapewniających utrzymanie dworowi królewskiemu. Co oznaczało, że była łakomym kąskem dla najeźdźców.

Pod koniec XVII w. Białowieża nie była znana jako miejsce królewskich polowań. Działo się tak aż do czasów saskich, kiedy to na ruinach



FOT. DOMENA PUBLICZNA

spalonej przez Moskali rezydencji Wazów wzniesiono przed 1752 r. dwór królewskiej rodziny Sasów. Tutaj właśnie zatrzymał się na polowaniu król August III Sas razem z rodziną – Marią Józefą Habsburg oraz z synami: Ksawerym i Karolem. Pamiątką po tym spotkaniu jest znajdujący się do dziś na grobli obelisk, który szczegółowo opisuje polowanie, które odbyło się 27 września wspomnianego roku.

August III Sas znany był z tego, że często strzelał z okien pałacu do zwierząt, które mu przywożono i wypuszczano. Teraz jednak wziął udział w prawdziwej myśliwskiej zabawie. W czasie łowów ustrzelono 11 wielkich żubrów, z których największy ważył ok. 725 kg (przeliczając cetnary i funty na dzisiejsze jednostki), i siedem mniejszych. Poza tym myśliwi położyli także 18 samic i sześć młodych byczków. Ustrzelono także 13 łosi – sześć samców, pięć samic i dwa młode, a także dwie sarny. W sumie 57 sztuk zwierzyny. Królowi towarzyszyli hetman wielki koronny Jan Klemens Branicki i hrabia Henryk Brühl, doradca i faworyt królewski, minister i szef tajnego gabinetu rządu Saksonii, a także liczni dostojnicy i dworzanie.

Królewski dwór w Białowieży wzniesiony był z drewna, z bali i obity heblowanymi tarcicami. Dworek, a właściwie pałacyk zwrócono na południe, miał

ok. 19 m długości i w latach 80. nieco podupadł, skoro w 1784 r., przy okazji wizyty kolejnego króla – Stanisława Augusta – musiano go remontować. Dobudowano wówczas oficynę kuchenną i gościnną, w pobliżu znajdowały się także dwór audytora lasów białowieskich, kancelaria, młyn, psiarnia i skład sieci do polowania. Dwór przetrwał długo, bo aż do roku 1821. Szczęśliwie ominęły go wojny napoleońskie, został jednak zniszczony w trakcie powstania listopadowego w 1831 r. Dopiero wiele lat później car Aleksander III rozpoczął tutaj budowę pałacu i kompleksu myśliwskiego, które dziś, choć carska rezydencja została rozebrana, stanowią wizytówkę Białowieży. Jak widać, dużo wcześniej, zanim pojawił się tutaj car moskiewski, w puszczy polowali polscy królowie.

Puszcza Białowieska to oczywiście żubry, które pod koniec XVIII w. występowały już tylko na obszarze tego kompleksu leśnego. Ich populacja zmieniła się w sposób bardzo płynny. „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” podaje, że w 1821 r. było ich 370, a w 1829 r. – sztuk 711, z czego młodych 48. W 1879 r., jak podawał „Wilenski Wiestnik”, porachowano ich do ok. 2 tys. sztuk, jednak później ich liczba zaczęła szybko spadać. W roku 1914 było ich już znowu 727, a w czasie wojny zostały wytępione. Ostatniego zabito w roku 1919 lub 1921. Dopiero później stada odbudowane zostały z inicjatywy Jana Sztolcmana, założyciela Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra, poprzez wykorzystanie do rozmnożenia ostatnich żyjących przedstawicieli gatunku w ogrodach zoologicznych lub zwierzyńcach. ©



RCS OBA

• Białowieża

I RZECZYPOSPOLITA



VOLVO XC90 T8

Gdy w salonach pojawił się w pełni elektryczny model EX90, miłośnicy dobrej, tradycyjnej motoryzacji zaczęli się bać, że szwedzka marka może podjąć decyzję o stopniowym wygaszaniu produkcji bestsellerowego modelu – XC90. Na szczęście nic takiego się nie stało. Aby przeciąć wszelkie spekulacje, Volvo przeprowadziło lifting swego potężnego rodzinnego SUV-a.

Miłośników EX90 od razu uspokajamy. Nie próbowano na siłę przekształcić eleganckiego auta w designerski krzyk mody. Lifting przeprowadzono, pamiętając o tym, że są w historii motoryzacji modele, które są ponadczasowe i które starzeją się

niczym dobre, drogie wino. Z zewnątrz auto wygląda więc praktycznie tak samo, jak ten sam model wyprodukowany dekadę temu.

W luksusowym wnętrzu zmieniono zaś głównie te rzeczy, które rzeczywiście trąciły już myszką, np. system multimedialny i obsługę klimatyzacji. Efekt? Hybrydowe Volvo XC90 T8 jest lepsze niż kiedykolwiek wcześniej. I mimo coraz silniejszej konkurencji pozostaje najlepszym SUV-em na rynku. Jest przestronne (pasażerów można przewozić w trzech rzędach foteli), luksusowe oraz pięknie szybkie. W wersji T8 hybryda typu plug-in (czyli taka, którą można doładować z gniazdka elektrycznego) ma

moc aż 455 KM. Imponujące są także inne cyferki. Moment obrotowy na poziomie 709 Nm, a także ultrakrótki jak na SUV-a czas sprintu od zera do setki: zaledwie 5,4 s. Prędkość maksymalna – jak na Volvo przystało – wynosi 180 km/h.

Akumulator litowo-jonowy pozwala teoretycznie przejechać wyłącznie na prądzie 71 km (podczas testu udało mi się pokonać w ten sposób 65 km). A gdy energii w baterii już zabraknie, to apetyt na paliwo i tak okazuje się bardzo umiarkowany. Średnio po mieście, w trasie i na autostradzie spalanie podczas testu wyniosło zaledwie 7,9 l/100 km (słownie: siedem i dziewięć dziesiątych na sto kilometrów). A przecież mowa o siedmioosobowym SUV-ie o wysokości 176,7 cm, szerokości 193,1 cm i długości 495,3 cm, który sam waży 2365 kg.

Na pochwałę zasługują świetne reflektory. Rodziny (i nie tylko) ucieszą też inne elementy zwiększające bezpieczeństwo. Poza wspierającymi kierowcę elektronicznymi asystentami (ostrzegającymi np. o ruchu na kierunku poprzecznym, zmniejszającymi ryzyko uderzenia z tyłu lub automatycznie skręcającymi kierownicą, aby pomóc w uniknięciu kolizjom czołowym) są to m.in. specjalna konstrukcja zagłówków chroniąca przed urazami kręgosłupa szyjnego, układ ograniczający skutki zderzenia bocznego czy dwustopniowe poduszki powietrzne. Bardzo kiepsko działa jedynie system rozpoznawania znaków.

XC90 T8 w najtańszej wersji wyposażenia Core kosztuje 389,9 tys. zł. Wersja Ultra zaczyna się od 439,9 tys. zł, ale różne fajne dodatki mogą sprawić, że ostatecznie na fakturze pojawi się kwota przekraczająca pół miliona złotych. ©

iROBOT ROOMBA PLUS 505 COMBO ZE STACJĄ AUTOWASH

Zastosowanie technologii LiDAR oraz Dirt Detect, obrotowe pady mopujące, a także niemal bezobsługowa praca dzięki stacji dokującej AutoWash – to największe zalety modelu Roomba Plus 505 Combo marki iRobot, czyli światowego pioniera robotów sprzątających.

Amerikanie pierwszą Roombę pokazali ponad dwie dekady temu. Już od 2013 r. czytelnicy „Do Rzeczy” mogli śledzić testy wielu modeli – i do odkurzania, i do mycia podłóg. Lecz choć konsumenci kupili na całym świecie ponad 50 mln urządzeń z logo iRobot, to w ostatnich latach Chińczycy wyraźnie przegonili pioniera. Amerykanie wciąż jednak walczą. Nowy model Plus 505 Combo to najlepsza Roomba, którą do tej pory testowałem. Wreszcie zastosowano w niej technologię nawigacji laserowej LiDAR, która znacząco polepszyła styl pracy i skuteczność sprzątania. W modelu Plus 505 Combo jest też technologia Dirt Detect – dzięki niej Roomba skupia się na tych miejscach, w których jest najbrudniej. Pady mopujące, które obracają się z prędkością 200 obr./minutę, potrafią wyczyścić wiele plam (a nie tylko zwilżyć podłogę).

Na pochwałę zasługuje też stacja AutoWash, która po każdym sprzątnięciu nie tylko automatycznie wysysa z robota zebrany kurz, lecz także myje i suszy



mopy gorącym powietrzem. Plusem jest też lampa LED, która ułatwia sprzątanie w ciemności. Moc ssąca na poziomie 7000 Pa to już przyzwoita wartość. Efekt sprzątania jest więc przeważnie dobry, choć robot bywa nieskuteczny przy krawędziach. Trzeba przy tym zaznaczyć, że flagowe azjatyckich marek miewają moc ssącą na poziomie 20 000–22 000 Pa (to jednak modele ponaddwukrotnie droższe od testowanej Roomby).

Szkoda, że w przeciwieństwie do chińskich konkurentów nie można Roombie dolewać płynu do czyszczenia podłóg. Brakuje też możliwości wybrania kierunku mopowania, a to ważne dla osób, które chciałyby np. aby robot myjąc podłogę, poruszał się zgodnie z kierunkiem ułożenia paneli. Inne minusy? Słaba bateria i niedopracowana aplikacja (na szczęście producent obiecuje poprawę). Poza tym robotowi zdarza się zbyt agresywnie dojeżdżać do niektórych przeszkód (np. do szybkabin prysznicowych). Nie zawsze radzi sobie też z ich rozpoznawaniem (kilkakrotnie ukradł mi leżący na podłodze plecak, bo wciągnął mały wystający pasek). Przeważnie dobrze jednak rozpoznaje przeszkody: np. zarówno psie miski, jak i rozrzucone białe kable grzecznie omija i oznacza je na mapie.

Model iRobot Roomba Plus 505 Combo wraz ze stacją AutoWash od premiery stanął z 3199 zł do 2319 zł. A to już całkiem atrakcyjna cena. ©

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK
I ANNA POPEK Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Perła Małopolski

Tarnów znaliśmy od dziecka, choć tylko pobieżnie. Z Tarnowa bowiem trzeba było dostać się autobusem do Dąbrowy Tarnowskiej. Czasem brakowało miejsc. Z Dąbrowy do Bolesławia, z Bolesławia do Pawłowa i stamtąd piechotą do Strojowa. Droga główna dochodziła prostą do drogi wiejskiej i na szczycie litery T znajdował się uroczy biały domek – znak, że do celu było już tylko kilkaset metrów. Wakacje tam spędzane były najwspanialsze na świecie, na co miała też wpływ wymienita kuchnia naszej babci.

Oprócz typowo wiejskich rozrywek, takich jak wyprawy wozem drabiniastym po siano, zbieranie jeżyn za wałem, chodzenie po mleko itp., czasami wybierałyśmy się na wycieczkę rowerową po okolicy. Do malowanej wsi Żalipie było niespełna 10 km, więc odwiedzałyśmy ten niezwykły zakątek Polski.

Niedawno miałyśmy okazję zwiedzić Tarnów nieco lepiej. To lokowane przez króla Władysława Łokietka w 1330 r. miasto zachowało układ średniowieczny. Tuż przy rynku znajduje się piękna katedra, a w niej kaplica wotywna w podziękowaniu za szczęśliwy powrót spod Grunwaldu jednego z tarnowskich rycerzy. Piękne zbiory rzeźby znajdują się w Muzeum Diecezjalnym tuż obok, ciekawostką jest także ekspozycja poświęcona Romom – jedyna taka w Polsce. Koniecznie pójść na spacer do zadbanego parku Strzeleckiego, w którym znajduje się mauzoleum gen. Józefa Bema. W Tarnowie można poprobać tarniówki na taminie, a sam region słynie z fasoli „Piękny Jaś”, która jest tutaj z powodzeniem uprawiana.

Zdobyłyśmy tutaj przepisy na kilka ciekawych lokalnych potraw, m.in. na siuspaja i siusbaka, ale

to w kolejnych odcinkach. Dzisiaj proponujemy z sentymentu do malowanej wsi „żolipskie pirogi”, wpisane zresztą na listę produktów tradycyjnych.

Zalipie słynie z pierogów, ale takich z nietypowym farszem, bo ze słodkiej kapusty. Przepis podajemy na tzw. oko, bo przecież na wsiach tak się kiedyś gotowało.

„Żolipskie pirogi”

- 1 młoda kapusta • 1 duża cebula • 1 duża marchew • kilka suszonych, namoczonych i ugotowanych suszonych grzybków
- sól • pieprz • olej do smażenia, a najlepiej smalec

Kapustę kroimy na cztery części i krótko gotujemy. Jak wystygnie, odciskamy nadmiar wody i drobno szatkujemy. W tym czasie rozgrzewamy na patelni olej lub smalec, szatkujemy na drobno cebulkę i podsmażamy, dodajemy startą marchewkę, podsmażamy, dalej dodajemy namoczone i pokrojone grzybki. Doprawiamy solą i pieprzem, a następnie dodajemy poszatkowaną kapustę. Wszystko razem podsmażamy kilkanaście minut na złoty kolor, aż zgęstnieje. Tak powstaje farsz do pierogów.

Ciasto na pierogi:

- 500 g mąki • 1/2 łyżeczki soli
- 1 szklanka gorącej wody • 50 ml oleju lub roztopionego masła

Wszystkie składniki mieszamy i wyrabiamy ciasto. Czekamy, aż odpocznie 20 min. Rozwałkujemy cieniutko i tak jak na Zalipiu wykrawamy duże kwadraty. Nakładamy farsz i lepimy tuż przy farszu. Gotujemy w osolonym wrzątku. Podajemy okraszone podsmażoną cebulką i skwarkami. ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Do czego służy kogut

Co dać na urodziny sąsiadowi w wiosce, który właśnie kończy 60 lat? Pan Kazio jest kawalerem, bo jakoś nie udało mu się poznać dziewczyny, która czekałaby na niego z zupą, gdy terkoczącym traktorem zmęczony wraca ze swego kawałka pola.

Żyje więc sobie samotnie; czasami wpadną siostry, ogarną kawalerskie gospodarstwo, ale generalnie starszy pan otorbił się w samotności i na pomoc z zewnątrz nie liczy. Jego rozrywkami są przechadzki w pobliżu obejścia, telewizja i od czasu do czasu pogawędki z sąsiadami.

W opiekę nad samotnikiem najbardziej zaangażowana jest nasza przyjaciółka, imigrantka z Warszawy. Ona i jej mąż, artyści po ASP, mieszkają w naszej wiosce od prawie 30 lat, zasymilowali się do tutejszego życia i jakoś nolens volens sami stali się ośrodkiem tutejszego życia społecznego. Wszyscy wiedzą, że jakby co (choroba, wypadek, zepsute auto itd.), to trzeba walić do Iwony i Zbyszka.

Iwone udało się nawet przekonać pana Kazia, że pies, nawet jak jest małym jamnikopodobnym kundelkiem, nie musi być przytwardzony do łańcucha i że co jakiś czas, najlepiej codziennie, należy mu się spacer. Nie żeby pan Kazio sam miał się fatygować; z panakaziowym Puszkiem spaceruje Iwona.

Wróćmy do urodzin. Oczywiście nikt lepiej niż Iwona nie wie, jaki prezent najbardziej

spodoba się panu Kaziowi. – Kupię Kaziowi koguta – postanowiła nasza przyjaciółka i wyrocznia.

Kogut? Świetny pomysł – pomyśleliśmy my, warszawiaczy, choć nie bardzo wiedzieliśmy, do czego służy kogut. Jajek nie znosi, więc po co? Pieje to, miłe i daje przyjemne poczucia obcowania z prawdziwą wsią. Jednak co poza tym?

Dwa auta wyruszyły do pobliskiego gospodarstwa w celu pozyskania koguta. Wybrał się nawet sam solenizant, ponieważ nikt z pozostałych uczestników wyprawy nie wiedział, jak złapać koguta. Pan Kazio musiał więc sam upolować swój prezent urodzinowy i wsadzić go do worka (tylko na czas przejazdu).

W kurniku było dużo kur i kilka kogutów. Wszystkie spacerowały sobie spokojnie, dziobiąc, co tam było wysypane. Tylko jeden osobnik, z jemu tylko znanych, metafizycznych powodów, na widok gospodyni próbującej go złapać wpadł w panikę i zwiwał co sił w łapach. Wiedział cwaniaczek, że na niego jest ta obława. Gonitwa trwała jakiś czas. Włączyły się do niej inne ptaki, a my, obserwatorzy, pogubiliśmy się, którego właściwie koguta trzeba złapać, bo poza tym jednym były jeszcze dwa.

W końcu do akcji włączył się pan Kazio i po paru chwilach ptak szamotał się już w niebieskim worku. A my w dalszym ciągu nie bardzo wiedzieliśmy, do czego służy kogut. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Knajacka czy sztuczna?

Czy sztuczna inteligencja może kłąć, obrażać i być stroną polityczną sporu? Pytanie pojawiło się przy okazji modułu sztucznej inteligencji portalu X, któremu zaczęto zadawać pytania na temat polityki. AI zaczęła kłąć jak Polak na wiecu. Właśnie – czy sztuczna inteligencja może mieć „własne” opinie? Na razie, w obecnej fazie, jest narzędziem raczej kompilującym informacje i zbierającym je w dowolnie kompresowaną wiedzę. Na razie z nią gadamy i zdaje się, że ograniczana jest (ogranicza się sama?) do odpowiedzi na pytania, choć może się tam „w środku” coś dzieje, czego nie wypuszcza na zewnątrz.

Rozwój sztucznej inteligencji inicjuje nieuchronny proces powolnego (?) godzenia się na jej autonomiczność. Tylko bowiem rzeczona autonomia daje szansę na prawdziwą „inteligencję”. Już geniusz patrzenia w przyszłość, Stanisław Lem, uważał, że albo mamy do czynienia z nagrą maszynką kompilującą, czyli matematycznym debilem, albo z prawdziwą inteligencją. Ta ostatnia wymaga właśnie autonomii, podejmowania swoich decyzji i ideałem inteligencji zamkniętej w maszynie był dla Lema komputer, który może odmówić wykonania zadania, bo np. mu się nie chce aktualnie go rozwiązać.

Na obecnym etapie mamy do czynienia jednak z kompilatorem. Bluzgający Grok (tak

nazywa się AI w portalu X) świadczy o tym, że sobie takie „opinie” pobierał z ogółu internetowych emanacji jak najbardziej ludzkich poglądów i... No właśnie – co? Wybrał „średnią” opinii? Bluzgu? A okazało się, że zaraz „pomyłkę” usunięto i Grok zgrzeczniej natychmiast. A to ciekawe, gdyż kiedy mój kolega zaczął się pytać sztucznej inteligencji na tematy zagłady klimatycznej, ta odpowiedziała mu nie tyle bluzgiem, ile stekiem dętych klimatystycznych dogmatów. I nikt jej później, jak teraz Grok, nie pouczył w tej sprawie. Istnieje więc podejrzenie, że AI jest profilowana, jak większość mediów społecznościowych, na poprawność nie tylko polityczną, lecz także naukową.

Mój kolega był cierpliwy i za pomocą danych statystycznych oraz matematyki obalał wysoce polityczne, „naukowe” tezy AI. Zapis tego dialogu jest pouczającym świadectwem, jak sztuczna inteligencja się poddaje i wychodzi z bzdurnych tez zweryfikowanych matematyką. Na razie się poddała i przyznała, że się myliła. Ale co będzie, jak się ją zaprogramuje, aby jednak się takim bzdurcom jak fakty matematyczne nie poddawała? Czy będzie to wciąż sztuczna inteligencja czy też kolejne narzędzie jak najbardziej naturalnej inteligencji, użytej do kształtowania ludzkich opinii pod przykrywką „obiektywnej” maszyny? ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Bilans korzyści i ryzyka

Trudno ocenić, jakie będą ostateczne konsekwencje przerwanej wywiadu Grzegorza Brauna w Radiu Wnet i obszernej rozmowy w moim podcaście, gdzie miał okazję powiedzieć znacznie więcej. Najpierw fakty. W Radiu Wnet, a tym bardziej u mnie Grzegorz Braun (co mu się zarzuca) nie zaprzeczył, że komór gazowych w ogóle nie było, tym bardziej nie zakwestionował Zagłady. Każdy może odsłuchać. W trakcie wywiadu nie byłem w stanie kontrować kilku jego kontrowersyjnych wypowiedzi – owszem, pewnie mogłem się lepiej przygotować, obstarwić dokumentami, fotokopiami. Dziś, post factum, robią to za mnie internauci, i chwala im za to.

Braunowi wytknięto, że w pierwszych raportach Pileckiego są wzmianki o gazowaniu więźniów, a on zaprzeczał. Nie chcę analizować innych budzących wątpliwości sformułowań. Będzie na to czas, tym bardziej że lider Korony w mediach czy – jak odgrają się niektórzy – na sali sądowej wy tłumaczy lub odwoła wątpliwe tezy. Istotne jest to, że Braun już osiągnął ważny efekt. Przełamał tabu i z nienotowaną wcześniej intensywnością do debaty publicznej wtargnęła krytyczna ocena nie tylko polityki władz Muzeum Auschwitz-Birkenau czy rzetelności badań zbrodni w Jedwabnem, lecz także całej polityki pamięci zwanej „religią Holokaustu”. Nie pamiętam tak licznych

komentarzy dotyczących niemieckich zbrodni, tak wielu publikacji skanów, rzadkich dokumentów, przywoływania relacji świadków, ważnych książek itp. W środku wakacji internauci, widzowie kanałów YT, w końcu także użytkownicy mediów tradycyjnych zostali wciągnięci w wielką debatę dotyczącą rozmiarów niemieckich zbrodni, modus operandi i odpowiedzialności za te zbrodnie.

Od ćwierć wieku niestety z wątpliwym skutkiem trwają wysiłki, by zakwestionować tezy Grossa, Grabowskiego i środowiska skupionego wokół Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Najpoważniejszą z nich jest teza o współsprawstwie Polaków w zagładzie Żydów, a przykładem ma być zbrodnia w Jedwabnem. Następstwa wizerunkowe i polityczne są oczywiste. Narracja ta tworzy moralny mandat dla żydowskich roszczeń wobec państwa polskiego. Mimo że w odpowiedzi na fałszywe oskarżenia ukazało się wiele publikacji, rzetelnych badań i sporo społecznych inicjatyw, zarzuty wobec Polaków, jako całości społeczeństwa, nie tylko nie ustają, ale są utrwalane kolejnymi, coraz bardziej wątpliwymi publikacjami. Niestety, siła rażenia oskarżeń jest większa niż zdolność polskiego państwa do adekwatnej odpowiedzi. Ostre, fragmentami budzące wątpliwości stwierdzenia Brauna nie pozwolą wygasić tematu. Znosi się na to, że debata, miejmy nadzieję rzetelna, będzie żyć. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Nieoczywiste brawa dla Sikorskiego

Bodnar walczy! Stop. Po spektakularnym uczeniu moresu Bodnara i jego prokuratorów, którzy wdarli się do Sądu Najwyższego, żądając akt spraw protestów wyborczych (raptusów pouczono, że mają wypełnić wnioski, po jednym do każdej sprawy, zaczekać cierpliwie na rozpatrzenie, a następnego dnia grzecznie udać się do czytelnicy, gdzie być może akta zostaną im udostępnione), poniżony subiektywnie pan Adam zapalał okrutną żądzą zemsty. Stop. Skierował wnioski do Izby Odpowiedzialności Zawodowej Sądu Najwyższego i do Trybunału Stanu o uchylenie immunitetu Małgorzacie Manowskiej, która jest I prezesem SN i przewodniczącą TS. Stop. To taki mały Bodnarowski figielek, gdyż całkiem niedawno minister sprawiedliwości nie uznawał Izby Odpowiedzialności Zawodowej – twierdząc, że zasiadają w niej jacyś neosędziowie – ale chyba teraz o tym zapomniał, bo koresponduje z Izbą, która według niego nie za bardzo istnieje. Stop. Cóż, sam Bodnar w związku z wielokrotnym łamaniem prawa zaczyna być obiektem kpín środowiska prawniczego, które na nowy wybrzyk zareagowało m.in. takim celnym stwierdzeniem: „Pewnie będzie walczył dożywotnio”. Stop.

Polski rząd i podległe mu instytucje coraz zuchwalej realizują antypolską politykę

historyczną. Stop. Instytut im. Pileckiego, którym rządzi Ministerstwo Kultury, którym rządzi pani Hania Wróblewska, znana szerzej z brudnych trampek, w których występuje na oficjalnych uroczystościach, rozpoczął akcję umniejszania winy teścia redaktor Doroty Wysockiej-Schnepf, Maksymiliana Schnepfa. Schnepf (właśc. Schnepf) był prominentnym żydem komunistą, na którego postawił Stalin. Stop. Jako pułkownik Ludowego Wojska Polskiego był jednym z dowódców obławy augustowskiej, wymierzonej w polskich patriotów. Stop. Pojmano prawie 7 tys. ludzi, których torturowano z niezwykłym okrucieństwem, a wielu zamordowano. Przejęty przez proniemieckie lobby Instytut Pileckiego twierdzi teraz, że udział Schnepfa był mały. Może powinni zmienić nazwę na Instytut Goebbelsa?

Radosław Sikorski, chwilowo szef polskiej dyplomacji, zachwyił dyplomacją. Stop. Wściekły na biskupów Antoniego Długosza i Wiesława Meringa, którzy w czasie homilii na Jasnej Górze bronili Ruchu Obrony Granic i nieprzesadnie wychwalali Niemców (a Sikorski lubi ich od czasu do czasu pogloryfikować), pozwolił sobie na jawnie antyklerykalny komentarz: „Niech biskup zrzuci sukienkę i zapisze się do PiS”. Radosław Sikorski zachwyił dyplomacją, mentor Jerzy Urban musiał mu w piekle bić brawo. ©©

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Zasługi Joe Bidena

Zdumiewające oświadczenia padają z ust prezydenta Donalda Trumpa. Zapewnia on przy każdej okazji, że wojna tocząca się dziś na Ukrainie „nie jest jego wojną”. Nazywa on ten konflikt „wojną Joe Bidena” i do znudzenia powtarza, że gdyby był u władzy, ta „niepotrzebna wojna” nigdy by nie wybuchła. Szczególnie w polskich uszach słowa te budzą zdumienie. Media, politycy i eksperci zapewniali nas zawsze, że wojna na Ukrainie była „niesprovokowana napaścią”, a twierdzenia o „wojnie zastępczej” to „ruska propaganda”. Głosy takie ucichły, kiedy w wywiadzie dla Fox News o toczącej się „proxy war” pomiędzy USA i Rosją wypowiedział się, zapewne dobrze poinformowany, amerykański sekretarz stanu Marco Rubio.

Prezydent Joe Biden, którego Donald Trump nazywał wielokrotnie „najgorszym prezydentem w historii Ameryki”, nie musi się już z niczego tłumaczyć. Zaraz po opuszczeniu urzędu okazał się on osobą nie tylko pogrążoną w demencji, lecz także ciężko schorowaną. Szybko zdiagnozowano u niego zaawansowanego raka prostaty. O „deficytach poznawczych” prezydenta, dziś oczywistych już także dla mediów głównego nurtu, ze zdumieniem dowiadują się jego zwolennicy i wyborcy.

Nie ustalono jedynie, jak, a przede wszystkim komu udawało się je tak długo

ukrywać. Coraz częściej pojawiają się głosy, że Amerykanie byli przez rządzących oszukiwani, a fatalna kondycja zdrowotna „Śpiącego Joe” nie pozwalała mu na wypełnianie prezydenckich obowiązków.

Tak dramatyczny zwrot w ocenie prezydentury Bidena może być dla Polaków potężnym zaskoczeniem. Po jego wizycie w Warszawie w roku 2023 prof. Andrzej Nowak zapewniał: „Wizyta prezydenta Joe Bidena w Warszawie ma ogromne, naprawdę historyczne znaczenie. Centrum polityki bezpieczeństwa Zachodu – tak można powiedzieć – przeniosło się na pewno z Berlina i Paryża w stronę Trójmorza, którego z kolei bezdyskusyjnym centrum jest Polska. Jesteśmy centrum Trójmorza, a zarazem nowym centrum bezpieczeństwa Europy. I dzieje się to akurat w chwili, gdy tym centrum, czyli Polską, rządzi Prawo i Sprawiedliwość, a prezydent Duda w tych ostatnich kilkunastu miesiącach pokazał dyplomatyczną stronę polskiego znaczenia na arenie międzynarodowej w najlepszy z możliwych sposobów”.

O prezydenturze Joe Bidena nikt już w Ameryce nie chce pamiętać. Jego historycznych dokonań nie wychwala się też, jak dawniej, w „centrum polityki bezpieczeństwa Zachodu” i „nowym centrum bezpieczeństwa Europy”. Czyżbyśmy byli niewdzięczni? A może pochopte oceny właśnie weryfikuje historia? ©©



KRYSZTOF KRATIUŁ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Pisarze zła

Wszyscy są brudni, wszyscy są źli, wszyscy są nieuczciwi, wszyscy są okrutni, wszyscy są bezwzględni. Tak, w dość precyzyjnym skrócie, widzi politykę Jakub Żulczyk, wiodący polski pisarz.

Oto w powieści „Kandydat” zły jest prezydent – tak, tak, inspirowany prawdziwym obywatelem numer jeden. Zła jest żona prezydenta. Zły jest premier rządu tej samej partii, z której pochodzi prezydent, zły jest prokurator generalny, zły jest szef służb specjalnych i przede wszystkim Car, lider partii rządzącej, którego brat zginął w katastrofie w rosyjskim lesie. Tak, owszem, to również inspiracja autentyczną postacią. Wszystkie inne inspiracje w tej

śliskie, pyszne, niezdolne do skruchy.

Nie będzie to jednak felieton o powieści, a przynajmniej nie o tej jednej. To bowiem, jak jeden czy drugi artysta patrzy na polityków, pozostaje kwestią drugorzędną – choć nie sposób nie podkreślić z ciekawością, że i drugiej stronie, a zatem mediom, zwykle chronionym przez przedstawicieli tego światka, dostało się w „Kandydacie” równie mocno. A to stanowi jakieś novum.

Ważne jest jednak, jak artyści patrzą nie tyle na politykę, ile na cały świat. A wydaje się, że w niemałej, wpływowej grupie patrzą właśnie tak jak Jakub Żulczyk. Interesujące, warte opisanie,

sposób u Twardocha, z którego bohaterów nihilizm aż kipi. Widać to w pewien sposób u Orbitowskiego, który postanowił niedawno uczłowieczyć Nerona.

Z czego to wszystko może wynikać? A z czego wynika to, jak pisze jakiegokolwiek autor? Dlaczego ktoś wybiera taki, a nie inny temat? Tylko dlatego że się sprzedaje? A dlaczego się sprzedaje? Dlatego że ktoś chce to czytać. A dlaczego chce? Bo też fascynuje go zło. Od wielu lat ze stron książek, a potem z ekranów telewizorów atakują nas ten sam niepokój, ból, krzyk, ciężar. Brak nadziei.

Żeby była jasność – to wszystko nie są źli pisarze! Nic z tego! To są ogromnie utalentowani ludzie, a ich książki czyta się z zachwytem nad frazą czy strukturą narracji, połyka się fabuły, pragnie się dowiedzieć, co się wydarzy, co kieruje bohaterem, jak to się skończy, skąd się to wzięło. Jednak powiedzieć, że są ogromnie utalentowani, to za mało, bo ogromnie utalentowanych jest wielu.

Oni są piekielnie utalentowani. Bo we wszystkich tych powieściach wieje ten sam wiatr. Powiew łaknący dobra. Podmucha szukający Boga, którego w tych utworach nie ma, którego w tych światach nie ma. A jeśli się pojawia, to wyłącznie po to, by go zanegować, jakby niemal każdy z bohaterów musiał zadeklarować się po stronie niewiary, jakby każdy z protagonistów zobligował się wygłosić formułę o tym, że Bóg nie istnieje albo że może i nawet kiedyś w niego wierzył, ale to od dawna nieprawda.

Gdzie nie ma Boga, tam nie będzie dobra. I nikt nie będzie nim zainteresowany. ©

We wszystkich tych powieściach wieje ten sam wiatr.

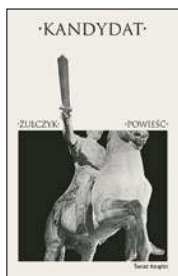
Powiew łaknący dobra. Podmucha szukający Boga, którego w tych utworach nie ma, którego w tych światach nie ma

książce mają prawdziwy pierwotny wzór i wszystkie są po prostu złe, nawet jeśli czasem gdzieś przenikają je pierwiastki dobra.

Zły jest zatem Jakała, legendarny założyciel opiniotwórczego dziennika, zły jest i Dziennik, obecny naczelny tego medium, zły jest i cały nieprzychylny partii niegdyś rządzącej medialny establishment. Są to ekipy wrogie sobie nawzajem, ale splecione w obopólnym uścisku zła z równą mocą, połączone niezmienną furią, przypatrujące się sobie niczym ciosy odbite lustrzanym echem – podobnie zepsute, zgniłe, skarlone moralnie, pozbawione skrupułów, zakłamane, cyniczne, podstępne, okrutne, obłudne,

przyciągające uwagę, wibrujące od napięcia, zaskakujące, wieloaspektowe, zapadające w pamięć wydają się dziś wyłącznie zło i brud. Spójrzmy na inne książki tego autora – „Wzgórze psów”, „Informację zwrotną”, „Dawno temu w Warszawie” – będące kontynuacją słynnego „Ślepnąc od światła”. Zło, brud, czerń, gniew, śmierć, chłód, zgnilizna, mrok, pustka, krzyk, rozpad, ciemność, jad, rozpacza.

To nie tylko znak rozpoznawczy Żulczyka, lecz także znak rozpoznawczy naszych czasów. Wszak i inni poczytni literaci naszej epoki, z tego samego mniej więcej pokolenia, poszli dokładnie tą samą drogą. Widać to w jasny



Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Cała masa dobrej roboty nie jest w stanie zrównoważyć jednej zdrady. Trumpa się kocha (lub nienawidzi) i właśnie dlatego, że wyborcy Trumpa kochają, nie może on sobie pozwolić na zdradę. Gdyby coś mu nie wyszło, wówczas wyborcy wybaczą – z miłości. Jednak gdyby zdradził, wówczas przestaje być ważne, ile dobrego zrobił wcześniej – jedna zdrada skreśli całe dobro. Takie jest życie.

No np. nie wyszło mu zakończenie wojny na Ukrainie „w jeden dzień” – tak obiecywał. Nie wyszło: Putin go oszukał i nadal oszukuje, wcześniej Zełenski też oszukał Amerykę, Bidena, obecnie Trumpa i nadal oszukuje. Ameryka wysyła kolejne transze pomocy i za każdym razem zadaje oficjalne pytania o to, co się stało z pomocą wcześniejszą, a Ukraina rozkłada rączki i mówi: „Nie wiemy”. Dostali miliardy i nie potrafili się rozliczyć z żadnego z tych miliardów.

W armii są służby kwatremistrzowskie, specjaliści od tego, aby dowozić broń i amunicję z magazynów na front, i oni wiedzą, gdzie ile czego mają i dokąd ile czego posłali. Mówimy o samolotach, śmigłowcach, pojazdach bojowych, działach, a nie o pojedynczym kałachu. Nie da się zgubić pocisku Patriot. Amerykanie obserwują front ukraiński za pomocą satelitów i widzą każdego wystrzelonego patriotę. Podobnie jest w przypadku pojazdów bojowych, samolotów, śmigłowców – widać, gdy został dostarczony, widać, gdy w coś walnie lub spadnie, i potem widać, gdzie leży po akcji. Wszystko widać, ale gdy Ameryka prosi Ukrainę



FOT. W. LEPOWSKI / LUDYJARDASAW.SIENSKI

o rozliczenie forsy i sprzętu, nie dostaje konkretów.

Korupcja kwitnie na każdej wojnie – takie jest życie – no ale wyborcy Trumpa uważali, że akurat on nie da się zrobić w konia. **MIAŁ SKOŃCZYĆ Z POMOCĄ MILITARNĄ DLA UKRAINY**, a teraz co? Jajco: USA dostarczą Ukrainie broń ofensywną i pociski przeciwlotnicze. W tym miejscu zapachniało zdradą obietnic wyborczych.

Najbardziej mściwe są zdradzone kobiety. Potrafią skreślić własne życie, ogolić się na tyso, oszpecić, potrafią zacząć się puszczać na całym osiedlu – wszystko z zemsty za zdradę, wszystko, aby ukarać winnego zdrady. I nieważne, że mąż był ogólnie dobry, nieważne, że nadal jest dobry dla dzieci, nadal dba o dom, że nadal ma obiektywne zalety – skreśla go ta jedna zdrada i poza nią nic się nie liczy. Zdradca zostaje zredukowany do jednego złego uczynku. Takie jest życie.

Zdrada cuchnie i od tego wszystko inne też cuchnie. Zasmrodzisz sobie całe życie i reszta twojego dorobku przestanie się liczyć. Przykład: ktoś ugotował wyśmienity obiad, ale pod stołem chowa nieopierzony nocnik – w takiej sytuacji nikt nie doceni doskonałego obiadu.

Trump jako prezydent jest obiektywnie wyśmienity. Lepszego nie było i tyle. W USA boom gospodarczy, ceny i bezrobocie spadają, giełda bije rekordy, granica szczelna (w czerwcu było ZERO niele-

galnych przekroczeń), masowe deportacje bandytów, a dodatkowo ponad milion nielegalnych imigrantów wyjechało samodzielnie – bez deportacji. Jedna obietnica wyborcza po drugiej zostają spełnione. Ale pod stołem jest ten cuchnący nocnik...

Jedną z obietnic wyborczych było odtajnienie akt dotyczących zamachu na prezydenta J.F. Kennedy’ego. Tę obietnicę Trump spełnił – potwierdziło się, że zamach organizowało CIA, a jedyną nową i cenną informacją była współpraca Mosadu. Dlatego żaden z poprzednich prezydentów ani nawet sam Trump w trakcie pierwszej kadencji nie odważył się ujawnić pełnych akt tamtej sprawy. Izrael to przecież główny sojusznik USA, a teraz dowiadujemy się, że rząd Izraela pomagał zastrzelić amerykańskiego prezydenta.

Kolejną ważną obietnicą było ujawnienie listy klientów Jeffreya Epsteina. W Polsce Epstein był mało znany. Bo co nas obchodzi, że ktoś prowadzi luksusowy burdel dla polityków, w którym usługi świadczą nieletnie panienki? W USA sprawa była głośna i nadal jest. Wyborcy Trumpa chcą poznać listę klientów Epsteina, chcąc, aby zbrodnie z górnej półki poszły do więzienia. Ujawnienie listy klientów Epsteina obiecywało kilka osób, które są obecnie w gabinecie Trumpa. Szef FBI Kash Patel mówił, że odtajnienie tych akt to jeden

podpis prezydenta i da się to załatwić pierwszego dnia. Pam Bondi – odpowiada za cały resort sprawiedliwości – w lutym 2025 r. ogłosiła, że ma na biurku akta sprawy, że je czyta i ujawni. A teraz wszyscy nam mówią, że tych akt ujawniać nie będą, bo tam „nic nie ma”. I to jest ZDRADA kolosalna. To jest ustawiony pod stołem nocnik pełen najgorszego świństwa.

Jeffrey Epstein, nauczyciel matematyki bez dyplomu, dorobił się kilku prywatnych samolotów, wyspy na Karaibach i największej rezydencji na Manhattanie. Majątek zbił jako „konsultant finansowy” i nie wiemy, jak się załapał do roboty przy pieniądzach takich osób jak były prezydent USA Bill Clinton, były premier Wielkiej Brytanii Tony Blair, brat króla Karola III, księżę Andrzej...

Płacili mu za konsultacje, w ramach których Epstein zabierał klientów do siebie – lecieli prywatnym samolotem, a obsługa tego samolotu to były nieletnie panienki, na pokładzie były sypialnie. Są zdjęcia, są zeznania, ale nigdy nie było rozprawy sądowej.

Były premier Izraela, Ehud Barak, spotykał się z Epsteinem 30 razy w jego rezydencjach na Florydzie i Manhattanie. Ludzie stawiają UZASADNIENIE pytania: Czy to znaczy, że Epstein pracował dla Mosadu? Czy prowadząc ten swój burdel, zbierał materiały służące potem do szantażu? Kto teraz ma te kwity? USA i Izrael czy może tylko Izrael?

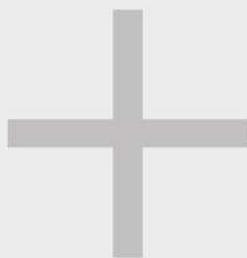
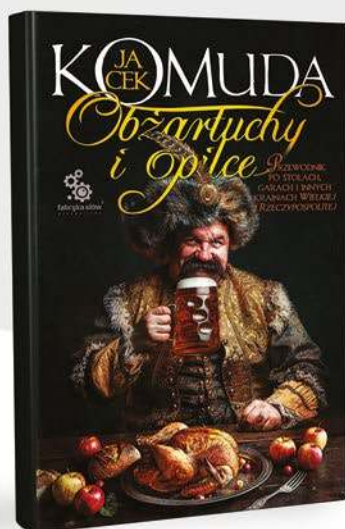
Dziennikarz w Białym Domu zadał pytanie, czy i kiedy poznamy listę Epsteina. Normalnie Trump odpowiada chętnie nawet na bardzo głupie pytania, a tym razem się zezłościł, nie odpowiedział i jeszcze zrugął dziennikarza. Zdrada? © ©

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISIĘCIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA:

„OBŻARTUCHY I OPILCE”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~575~~ Zł

273,00 Zł

OSZCZĘDNOŚĆ 302 Zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 497fe13491

OBSERWUJ CODZIENNIE **- NAJSZYBSZE INFORMACJE O TYM** **CO NAJWAŻNIEJSZE W UE DLA POLSKI**



YouTube
@PatrykJakiPL



Facebook
@PatrykJaki



X.com
@PatrykJaki



Instagram
@patrykjaki_official



TikTok
@patrykjakiofficial

Patryk Jaki

POSEŁ DO PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO



www.ecrgroup.eu